MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

# KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 02 (195) Luty 2021

## PORTRETY 2020: Finałowa setka i Złota Dwudziestka

Dla „Krakowa” mówią m.in. Anne Applebaum, Piotr Bratkowski, Stanisław Nicieja, Marisa de Lempicka

Andrzej Franaszek – Literatura to wspomnienie

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Kraków

PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA MIASTA KRAKOWA
JACKA MAJCHROWSKIEGO

# II KONKURS PORTRETY

## – najlepsze polskie dzieło biograficzne AD 2020

Portret. Autoportret. Biografia. Książka. Film. Spektakl. Wystawa.
Oto dzieła, które znalazły się w szerokim finale - czytelnicy i widzowie wybierają z nich swoją nagrodę

1. Paweł Potoroczyn, Anna Applebaum: *Matka Polka*, Osnova, Warszawa 2020. Osobisty wywiad – rzeka ze światowej sławy dziennikarką, laureatką Pulitzera (i żoną Radosława Sikorskiego).

2. Anna Arno: *Kot. Opowieść O Konstantym A. Jeleńskim*, Iskry, Warszawa 2020. Biografia Konstantego A. Jeleńskiego – współpracownika paryskiej „Kultury", przyjaciela Gombrowicza i Miłosza.

3. Piotr Bratkowski: *Mieszkam w domu, w którym wszyscy umarli*, Wielka Litera, Warszawa 2020. Krytyk literacki i publicysta sięga do własnej biografii, by rozprawić się z demonami polskiej historii – przede wszystkim z antysemityzmem.

4. Marek Gajczak (reżyser): *Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana*, Kraków Film Klaster 2020. Film dokumentalny o legendarnym domu literatów przy ulicy Krupniczej w Krakowie, w którym w latach 1945-1996 mieszkali m.in. Szymborska, Różewicz i Kisielewski.

5. Mikołaj Grabowski (reżyser): *Kochana Wisełko, najdroższy Zbyszku*, Narodowy Stary Teatr w Krakowie 2020. Spektakl na motywach korespondencji Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta – świadectwo przyjaźni dwójki ludzi o podobnym poczuciu humoru i dystansie do PRL.

6. Jan Holoubek (reżyser): *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy*, TVN/PISF, Warszawa 2020. Film fabularny o losach Tomasza Komendy, który w wieku 23 lat został niesłusznie skazany na 25 lat więzienia.

7. Tomasz Gregorczyk, Janusz Jabłoński i Mikołaj Trzaska: *Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020. Saksofonista awangardy jazzowej, kompozytor muzyki teatralnej i filmowej (m.in. do filmów Smarzowskiego), autor projektów muzyczno-literackich wraz z Marcinem Świetlickim i Andrzejem Stasiukiem – o muzyce i Polsce.

8. Anna Kaszuba-Dębska: *Bruno. Epoka genialna*, Znak, Kraków 2020. Wyczerpujący portret Bruno Schulza – jednego z najważniejszych prozaików 20-lecia międzywojennego, autora Sklepów cynamonowych. Z doskonale przedstawionym tłem historycznym!

9. Izolda Kiec: *Ginczanka, Marginesy*, Warszawa 2020. Pierwsza tak obszerna opowieść o poetce, która już za życia była legendą cyganerii II RP. Przyjaźniła się m.in. z Tuwimem i Gombrowiczem, zginęła w 1944 roku rozstrzelana w Płaszowie.

10. Anna Kozłowska: *Krzysztof Kozłowski. Książka do pisania*, Austeria, Kraków 2020. Publicysta, filozof i polityk Krzysztof Kozłowski, wieloletni z-ca redaktora naczelnego "Tygodnika Powszechnego" i twórca służb specjalnych III RP w mgnieniach, na które pozwala formuła Książki do pisania.

11. Adam Leszczyński: *Ludowa historia Polski*, W.A.B., Warszawa 2020. Opowieść o tym, co zostało zakłamane albo wyparte z polskiej pamięci. To historia 90 proc. Polaków — tych, którzy mieli tylko pracować i słuchać narodowych elit. Od poddaństwa i pańszczyzny do współczesnych fabryk i biur.

12. Anna Malinowska: *Komendant. Życie Salomona Morela*, Agora, Warszawa 2020. Dzieje człowieka, któremu w czasie wojny bestialsko zamordowano najbliższych, a po wojnie on sam stał się okrutnym komendantem obozu pracy w Świętochłowicach, w którym przetrzymywano Ślązaków.

13. Zbigniew Mentzel: *Kołakowski. Czytanie świata. Biografia*, Znak, Kraków 2020. Pierwsza biografia wybitnego filozofa, którego osobowość zawsze pozostawała w cieniu jego dzieła. Pozbawiony w PRL-u prawa nauczania, opuścił w 1968 roku Polskę, by zostać profesorem prestiżowego All Souls College w Oxfordzie.

14. Stanisław S. Nicieja: *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych. Tom XV Wilno*, Wydawnictwo MS, Opole 2020. W 15.tomowym cyklu autorowi udało się ocalić od zapomnienia tysiące ludzi różnych zawodów, kompetencji i talentów oraz różnego znaczenia w narodowych dziejach – którzy tworzyli nieistniejący już świat kresowych sztetli, ukraińskich i białoruskich siół, ormiańskich skupisk oraz polskich miasteczek i przysiółków, dworów i pałaców. W tym tomie – dzieje Wilna.

15. Chris Niedenthal, *Zawód: fotograf. Ciąg dalszy nastąpił*, Marginesy, Warszawa 2020.
Uzupełniona edycja kultowej książki autora fotograficznej ikony stanu wojennego – zdjęcia czołgu pod kinem Moskwa z Czasem apokalipsy.

16. Tadeusz Kantor. Widma, kuratorzy wystawy: *Małgorzata Paluch-Cybulska i Michał Kobiałka*, Cricoteka, Kraków 2020. Wystawa prezentuje w większości niepokazywane dotąd obiekty, przedmioty i kostiumy ze spektakli Tadeusza Kantora. Kuratorzy tworzą przestrzeń dla nowych interpretacji jego dzieła.

17. Marisa de Lempicka, Maria Anna Potocka: *Tamara de Lempicka*, Bosz, Lesko 2020. Album poświęcony Tamarze Łempickiej, „królowej art déco" i skandalistki. Przez lata zapomniana, dziś jej obrazy osiągają zawrotne ceny.

18. Justyna Sobolewska: *Miron, Ilia, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu*, Iskry, Warszawa 2020. Nie tyle biografia, co opowieść biograficzna o polskiej historii i wyborach lewicowej inteligencji, bo przez życie tego pisarza można zobaczyć całą epokę.

19. Anna Sulińska: *Olimpijki, Czarne*, Wołowiec 2020. Reportaż o determinacji, walce z własnymi słabościami i z polityką PRL-u. Portret kobiet, które mierząc się z dyskryminacją, biły kolejne rekordy, zdobywały serca kibiców i tworzyły pomijaną historię sportu.

20. Monika Śliwińska: *Panny z „Wesela". Siostry Mikołajczykówny i ich świat*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020. Opis życia córek bronowickiego chłopa portretowanych przez najwybitniejszych malarzy i literatów przełomu XIX i XX wieku. Ukazuje świat dziewcząt przygotowywanych do rezygnacji z niezależności, ale również kobiet, które zachowały duchową niepodległość.

Zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK
PORTRETY 2020.
Szeroki finał

Zapraszamy do oddania głosu na jeden z powyższych tytułów – na stronie www.Miesiecznik.Krakow.pl pomiędzy 1 lutego a 15 marca 2021 roku. (Każdy głosujący może oddać głos tylko raz). Tytuł, który otrzyma najwięcej wskazań, zostanie laureatem Nagrody Czytelników Miesięcznika „Kraków" oraz nagrodę pieniężną. Wszyscy głosujący wezmą udział w losowaniu cennych tytułów książkowych – warunkiem wpisanie adresu, na który można przesłać nagrodę.

**Głosuj na www.Miesiecznik.Krakow.pl**
- daj swemu faworytowi nagrodę czytelników „Krakowa"! -

Biblioteka Kraków · Consultronix · Czas Literatury · Świat Ma Sens Fundacja · Klezmer-Hois · Kraków · kbf: operator programu · Kraków Miasto Literatury UNESCO · Miesięcznik Społeczno-Kulturalny Kraków

# Serce się nie starzeje

**Tekst:** Andrzej Franaszek **Zdjęcie:** Artur Pawłowski/© Wikimedia Commons

**1.**

„Chrzczony z wody i oleju, kiedy wschodzi Gwiazda Piołun". Tak, wprowadzając chwilę w przestrzeń wielkiej metafory, odnajdując ją w zarodku spełniającej się dwudziestowiecznej apokalipsy, ale też najprościej rekonstruując początki własnego życia, pisał Czesław Miłosz o chłopcu, którego dzieciństwo upłynęło wśród wędrówek i ucieczek, w kolejowych eszelonach, pod żołnierskimi pałatkami, w cieniu strachu, ale też w świetle nadziei, w rajskim ogrodzie nad rzeką Niewiażą. Coraz wyraźniej widząc przed sobą słup graniczny siedemdziesiątych urodzin, nadal bardziej samotny rozbitek na ziemi kalifornijskiej niż poeta obsypany nagrodami i zachwytami, autor *Ocalenia* zapisał cykl wierszy, próz, refleksji, któremu nadał tytuł *Osobny zeszyt*. Rozpoczynał od spojrzenia w lustro, mimo wszystko pogodzony ze sobą, a przynajmniej czujący więcej melancholii niż gniewu. Oto więc zwierciadło, a w nim

Stary człowiek, wzgardliwy, czarnego serca,
Zdumiony, że tak niedawno był dwudziestoletni,
Mówi.
A chciałby nie mówić, rozumieć.
Kochał i pragnął, ale nie na dobre wyszło.
Gonił i prawie chwytał, ale świat był prędszy od niego.

Bodaj żaden inny poetycki cykl Miłosza nie przynosi aż tak wielu wspomnień – sięgających do rejonów najbardziej intymnych, do pamięci win i upokorzeń, pamięci miłosnej pasji i gaśnięcia uczuć. Krzyżują się historie, wybrzmiewa pytanie, czy kieruje naszym życiem zamysł Opatrzności czy jedynie przypadek, odległa przeszłość wyczytana z litewskich kronik spotyka krajobraz oceanu i sekwoi wokół Berkeley, nieludzkiej, obojętnej naturze próbują się przeciwstawić wytworzone ręką człowieka rzeczy, świadkowie naszego kruchego istnienia. Nie milknie głód zmysłów, choć większa jest jeszcze potrzeba ratowania przeszłości – choćby jednego tylko żywota, choćby najmniejszej jego cząstki. Poeta mówi do nieżyjących, do swych najbardziej bliskich umarłych, później wsłuchuje się w ich odpowiedzi, wszak „wszędzie tutaj przemawiają głosy, / A takie mnóstwo ich, że gotów słuchać wieki, / Kto raz chciał poznać swoje biedne życie". I rozmowa z samym sobą jest przy tym dialogiem z kimś na poły umarłym – nie z powodu depresyjnego otamowania, ale dlatego, że pośród biegu lat nasze kolejne wcielenia po części umierają, złuszczają się, łączy nas z nimi trudna do zrozumienia więź. Taka właśnie, jaka łączyła siedemdziesięcioletniego amerykańskiego profesora z młodym człowiekiem wiercącym się na twardej ławce wagonu trzeciej klasy w pociągu z Wilna do Suwałk, gimnazjalistą, o którym profesor myśli teraz; „ja dawny, niepojęcie ze mną tożsamy".

Myśląc o literaturze, musimy zawsze pamiętać o „konkretnym istnieniu", stojącym u początków wiersza lub powieści. Po to, by nie pozwolić sobie na dowolność pozornie błyskotliwej interpretacji, oderwanie się od uwarunkowań epoki i pierwotnego autorskiego zamysłu.

Odczuwając w sposób o wiele pełniejszy, bardziej namiętny niż ten, który jest dostępny większości z nas, przywoływał Miłosz fragmenty biografii własnej i historii cudzych, budował z nich opowieść, mógł ułożyć mozaikę odpowiadającą każdemu zamysłowi, wiedział dobrze: „co wybrać, co pominąć, moja wola". A przecież, daleki od naiwności pamiętnikarza, pragnął czegoś więcej niż literatura, przez zmyślenia i zapomnienia przedzierał się do prawdy. A przynajmniej do poczucia, że stara się tę prawdę wypowiedzieć. Z zastrzeżeniem, w trybie warunkowym, deklarował: „jakbym wierzył, że można wiernie odtworzyć, co było".

**2.**

W roku 1959 do kolekcji swych filipik drukowanych w paryskiej „Kulturze", na łamach której sąsiadował najczęściej z Czesławem Miłoszem, Witold Gombrowicz dołączył jeszcze jedną, skierowaną przeciwko krytyce literackiej, a właściwie przeciwko ułudzie tego, co nazwalibyśmy całkowicie obiektywnym, „naukowym" badaniem dzieła sztuki. Jak zawsze przenikliwy, grzmiał:

"(...) ileż szkód wyrządziły uniwersytety, wmawiając, że do sztuki można podejść naukowo. Jakże katastrofalna okazała się metoda polegająca na zajmowaniu się samym tylko dziełem, w oderwaniu od osoby autora (...). Nie domagam się bynajmniej, aby naiwnie interpretowano dzieło biografią twórcy i wiązano jego sztukę z jego życiowymi przygodami – idzie mi o zasadę zawartą w aforyzmie, że »styl to człowiek«, że zatem styl szopenowski to organizacja duszy szopenowskiej (...). Niewiele obchodzą mnie romanse Szopena z Georges Sand – ale poza muzyką Szopena szukam samego Szopena, chcę z dzieła zrozumieć twórcę, poza bajką, którą mi opowiada Poe, muszę odnaleźć tego, kto opowiada, jako – zrozumcie to – jedyną rzeczywistość, jedyny konkret. Tak tedy z dzieła muszę wnioskować o twórcy; ale znów ta osobowość twórcy ułatwi mi i otworzy dzieło, wiążąc je nierozdzielnie z kimś... z czyimś konkretnym istnieniem".

Oczywiście cytat ten, w którym i tak pominąłem sporo zjadliwości skierowanych przeciwko przygłuchym, a może tylko uwiedzionym kolejną modną teorią akademikom, pobrzmiewa nieodmiennie polemicznym i nie zawsze sprawiedliwym stylem pisa-

nia, a nawet: stylem istnienia swego autora; moglibyśmy rzec: spoza tekstu Gombrowicza wyłania się sam Gombrowicz. Sądzę przecież, że jak w wielu innych miejscach, także i tu ma autor *Trans-Atlantyku* całkowitą rację, myśląc zaś o literaturze musimy, czy może skromniej: muszę, zawsze pamiętać o „konkretnym istnieniu", stojącym u początków wiersza lub powieści. Po to, by nie pozwolić sobie na dowolność pozornie błyskotliwej interpretacji, oderwanie się od uwarunkowań epoki i pierwotnego autorskiego zamysłu, przesłonięcie dociekliwości teorią, na egocentryzm krytyka, zgubny dla rzeczywistej wartości jego pracy. By wiedzieć, że przynajmniej próbuję odnaleźć prawdę.

I jeszcze więcej: by w ten ułomny, ograniczony sposób, jaki jest nam dostępny, dotknąć istnienia pisarza, który nieraz odszedł już w śmierć, a przecież – naprawdę, mimo pozornego banału tej językowej kliszy – żyje w swoich słowach. Nieraz bardziej namacalny i ważniejszy od wielu otaczających nas, nadal żywych bliźnich.

**3.**

Pod koniec długiego życia Miłosz – teraz już nie tułacz, a osiadły w Krakowie Noblista, człowiek, którego starość w niektórych przynajmniej pasmach mogła być szczęśliwa – wspominał czasem, poniekąd wzorem tych artystów, którzy – jak choćby Wyspiański – na łożu śmierci mówią, że teraz wiedzą wreszcie, jak powinni malować czy pisać, tak więc powiadał Miłosz, że gdyby mógł raz jeszcze zacząć pracę poety, każdy jego wiersz byłby historią pojedynczego ludzkiego losu, jednego, jedynego życia z jego wspaniałością, ale też nieuchronnością klęsk, rozczarowań, cierpień.

Zapewne był to zamysł utopijny, którego nie udałoby się przyoblec w słowa. Czy jednak Miłosz nie spełnił go w inny sposób – poprzez refleksję nad życiem własnym, ten obejmujący tysiące stron poezji i prozy zapis, w którym tak często potrafimy odnaleźć samych siebie? I czy wyznaczając takie zadanie, autor *Światła dziennego* nie przypominał nam, jaki jest sens istnienia literatury? Sens pisania, któremu służy poetycka wyobraźnia, czyli – jak ją nazwał z kolei Zbigniew Herbert – „narzędzie współczucia"? Nie podpowiadał, że wielki artysta pisze po to, by wyrazić siebie, ale zarazem – czasem nieświadomie – wypowiedzieć losy innych ludzi, tych, którzy nigdy nie zamkną w słowach własnych losów, a których istnienia, nasze istnienia nie powinny być zapomniane?

Ta moc współodczuwania jest źródłem wspaniałości wielu wierszy Czesława Miłosza, choćby tych strof z poematu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, gdy poeta wyławia ze wspomnień młodości i stawia przed naszymi oczami litewską służącą Alżbietę, która owinięta chustką, ostrożnie stawiając niepewne już nogi, idzie mroźnym porankiem na mszę w którymś z wileńskich kościołów:

> Długo pewnie myślałem o życiu Alżbiety.
> Mógłbym policzyć lata. Ale wolę nie.
> Cóż lata, jeżeli widzę śnieg i jej buciki,
> Śmieszne, spiczaste, zapinane z boku.
> (...)
> Siostra nasza Alżbieta w świętych obcowaniu –
> Czarownic pławionych i łamanych kołem
> Pod wizerunkiem nadobłocznej Trójcy,
> Aż przyznawały się, że co noc zmieniają się w sroki,
> Dziewek służebnych ku pańskiej zabawie,
> Żon, którym posyłano list rozwodny,
> Matek z paczką pod murem –
> Paznokciem z czarną obwódką wzdłuż liter prowadzi,
> Kiedy przewodnik chóru, ofiarnik, lewita,
> Wchodząc na stopnie, śpiewa: *Introibo ad altare Dei.*
> *Ad Deum qui laetificat iuventutem meam*.

Dzięki tym słowom Alżbieta i teraz wędruje przez nasze myśli, choć może tak naprawdę miała niegdyś na imię Anna, a obserwujący ją wileński pisarz, autor tomu *Trzy zimy*, nie znajdował w sobie tej czułości, którą przyniosło mu doświadczenie kolejnych czterdziestu lat życia...[1] Jej przywołanie jest zarazem rozmyślaniem poety nad własną odeszłą młodością, raz jeszcze: niepojętą tożsamością z samym sobą, „choć zaczyna się i kończy się / Pycha ciała". Ale czy i ja nie wzruszam się jego wierszem po części także dlatego, że odnajduję cień siebie sprzed lat trzydziestu – chłopca w przed-

dzień matury, po raz pierwszy czytającego te słowa?

**4.**

Choć jeszcze dobrych parę lat dzieliło go wtedy od pięćdziesiątki, Gustaw Flaubert opowiadał George Sand w roku 1867, że już od dłuższego czasu nosi się z zamiarem napisania powieści, której akcja osadzona byłaby w domu starców. Wyjaśniał, że nie szukałby w tym temacie taniego komizmu, przeciwnie – powstałaby rzecz „okrutna i żałosna", a to dlatego, że – podejrzewał autor *Pani Bovary* – ludzkie „serce się nie starzeje". Innymi słowy, dopowiedzmy, mimo upływu czasu owo serce nieustannie pragnie, marzy, może zostać zranione, co staje się tym bardziej tragikomiczne, im bardziej nasze ciało gaśnie, więdnie, zdając się zgoła nieprzydatne do tego rodzaju awantur. Mogłoby to piękne zdanie przyciągnąć uwagę Józefa Czapskiego, portretującego paryski Dom św. Kazimierza, przytułek, w którym – skądinąd na rok przed śmiercią Flauberta – zmarł Cyprian Norwid. Z pewnością byłoby bliskie Miłoszowi, także w wynikających z niego wnioskach francuskiego pisarza, który z autoironią, może też lekką pozą, ale bodaj również wzruszeniem dopowiadał, iż serce „u niektórych nawet z wiekiem rozkwita, dwadzieścia lat temu byłem bardziej oschły i brutalny niż dzisiaj. Czas, który innych wysusza, dodał mi kobiecości i dobroci. Bardzo mi się to nie podoba. Czuję, że krowieję. Byle co mnie wzrusza. Wszystko wyprowadza mnie z równowagi. Jestem jak trzcina, najmniejszy zefirek jest dla mnie wichurą"[2].

Wielki artysta pisze po to, by wyrazić siebie, ale zarazem – czasem nieświadomie – wypowiedzieć losy innych ludzi, tych, którzy nigdy nie zamkną w słowach własnych losów, a których istnienia, nasze istnienia nie powinny być zapomniane.

Niewątpliwie i Miłosz łagodniał, pamiętam, że gdy poznawałem go pod koniec XX wieku, zwłaszcza z początku odczuwając strach przed tą gromowładną osobowością, moi starsi koledzy z „Tygodnika Powszechnego" oceniali, że jeszcze dekadę wcześniej, nawet wkrótce po Noblu, był on nieporównanie bardziej pryncypialny i najeżony. Dziś zrozumiałbym: stanowczością i skłonnością do gniewu po części także próbujący zakryć własne cierpienie, ból człowieka, który – bezsilny – widzi, jak choroby duszy i ciała niszczą jego najbliższych.

Ta rosnąca z wiekiem łatwość wzruszenia dotyczy wielu z nas, choć stanowczo nie wszystkich – myślę, walcząc z łamiącym się głosem, gdy odczytuję na głos wiersz *Stary poeta* Jarosława Iwaszkiewicza. Nie musi przecież ten stan równać się taniemu sentymentalizmowi, może być drogą do zrozumienia wspólnej nam ludzkiej doli, do przekonania, że literaturę czytamy głównie po to, by ustanowić małe ognisko przestrzeni opierającej się przemijaniu, odnaleźć odpowiedź na gaśnięcie, ciemnienie, łuszczenie – uporczywą pracę nieistnienia. I jeszcze po to, by odnaleźć w sobie właśnie mądrze pojętą litość, czułość, ten rodzaj miłości, który niedawno skupił na sobie naszą uwagę, a to dzięki Nagrodzie Nobla dla Olgi Tokarczuk. Autorka *Prawieku* bowiem mądrze nam przypominała:

„Tworzenie opowieści jest niekończącym się ożywianiem, nadawaniem istnienia tym wszystkim okruchom świata, jakimi są ludzkie doświadczenia, przeżyte sytuacje, wspomnienia. Czułość personalizuje to wszystko, do czego się odnosi, pozwala dać temu głos, dać przestrzeń i czas do zaistnienia, i ekspresji. To czułość sprawia, że imbryk zaczyna mówić.

Czułość jest tą najskromniejszą odmianą miłości. To ten jej rodzaj, który nie pojawia się w pismach ani w ewangeliach, nikt na nią nie przysięga, nikt się nie powołuje. Nie ma swoich emblematów ani symboli, nie prowadzi do zbrodni ani zazdrości.

Pojawia się tam, gdzie z uwagą i skupieniem zaglądamy w drugi byt, w to, co nie jest »ja«.

Czułość jest spontaniczna i bezinteresowna, wykracza daleko poza empatyczne współodczuwanie. Jest raczej świadomym, choć może trochę melancholijnym współdzieleniem losu. Czułość jest głębokim prze-

jęciem się drugim bytem, jego kruchością, niepowtarzalnością, jego nieodpornością na cierpienie i działanie czasu.

Czułość dostrzega między nami więzi, podobieństwa i tożsamości. Jest tym trybem patrzenia, które ukazuje świat jako żywy, żyjący, powiązany ze sobą, współpracujący, i od siebie współzależny.

Literatura jest właśnie zbudowana na czułości wobec każdego innego od nas bytu[3]".

**5.**

Od wielu już lat czytając polską literaturę, zadaję pytania o polskość, w dniu dzisiejszym znów tak bardzo obolałą, jakby opętaną przez demony z odległej o stulecia przeszłości. O sposoby radzenia sobie z przemijaniem, z drogą, na której musimy stawiać kroki prowadzące nas ku „wiecznemu odpoczywaniu", jeśli nie ku nicości. O Boga i duszę. O okrucieństwo historii. O rywalizację między pisarzami, która – jak przyznawał autor *Świadectwa poezji* – jest niczym „turniej garbusów". Ale też o czułość, o braterstwo łączące poetów, o radość i czystość spojrzenia, które przynosi nam podróżowanie. Pytam i słucham odpowiedzi, które wypowiadali Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz, Józef Czapski, Witold Gombrowicz, Zbigniew Herbert, Tadeusz Różewicz, Paweł Huelle, Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski, Andrzej Stasiuk, Marcin Świetlicki czy Julia Hartwig.

Obok apokaliptycznej gwiazdy Piołun, która zatruwa goryczą wody naszego życia, w tych odpowiedziach daje się też odnaleźć pokrzepiające promieniowanie czułości. Tej, o której mówi Tokarczuk, i zarazem tej, o której przed laty pisał Miłosz: „*Tendresse*. Wolę to słowo niż polskie czułość. Kiedy ściska w gardle, dlatego że istota, na którą patrzę, jest tak bardzo krucha, ranliwa, śmiertelna, wtedy *tendresse*".

Tekst powyższy jest wstępem do zbioru esejów Andrzeja Franaszka, który ukaże się nakładem wydawnictwa Znak.

**Dr hab. Andrzej Franaszek** (1971) – krytyk literacki, wykładowca Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, sekretarz Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta, laureat Nagrody Miasta Krakowa. Autor książek: *Ciemne źródło. Esej o cierpieniu w twórczości Zbigniewa Herberta* (Londyn, 1998; wyd. II: Kraków, 2008), *Przepustka z piekła. 44 szkice o literaturze i przygodach duszy* (Kraków, 2010), *Miłosz. Biografia* (Kraków, 2011) oraz *Herbert. Biografia*, t. 1–2 (Kraków, 2018). Pracuje nad biografią Józefa Czapskiego.

1 Por.: „Mam mieszkanie na Zaułku Literackim, w najstarszych zaułkach Wilna, i służącą Annę, starą Litwinkę, która dość wiernie człapie pantoflami" – *List Cz. Miłosza do J. Iwaszkiewicza*, Wilno, 21 stycznia 1936 r., [w:] Cz. Miłosz, J. Iwaszkiewicz, *Portret podwójny*, opr. B. Toruńczyk, R. Papieski, Warszawa 2011, s. 88.

2 *List G. Flauberta do G. Sand,* Croisset, 23–24 stycznia 1867 r., [w:] G. Flaubert, G. Sand, *Korespondencja*, tłum. R. Engelking, Warszawa 2013, s. 93.

3 *Czuły narrator. Przemowa noblowska Olgi Tokarczuk*, https://www.nobelprize.org/uploads/2019/12/tokarczuk-lecture-polish.pdf (dostęp: 23.11.2020).

## TEMAT MIESIĄCA: POLSKIE PORTRETY 2020

**Witold Bereś:** s. 8

*Konkurs PORTRETY to wspólna zabawa smakoszy kultury, w której chodzi o to, aby wyłowić i nagrodzić najlepsze dzieła minionego roku, powiązane z Polakami. A słowo „PORTRETY" traktujemy szeroko: to może być portret człowieka, środowiska czy miasta – w różnej postaci artystycznej.*

*Rok temu najlepszym dziełem została książka Doroty Sznajderman* Pusty las, *później laureatka innych wielkich konkursów literackich, a Nagrodę Czytelników zdobyła* Jaremianka *Agnieszki Daukszy.*

*O nagrodzie głównej za rok 2020 zadecyduje jury pod przewodnictwem reżysera Artura „Barona" Więcka, a o Nagrodzie Czytelników – głosy oddane na stronie www.miesiecznik.krakow.pl. Zapraszamy do typowania!*

## ESEJ

**Serce się nie starzeje** Andrzej Franaszek s. 1

## CZŁOWIEK „KRAKOWA"

**Profesor Roman Banaszewski (1932–2021)**
Anna Stafiej s. 86

## PORTRETY 2020

**Matka Polka Applebaum**
Krzysztof Zajas s. 12
**Kot (Jeleński). Ambasador największych**
Krzysztof Burnetko s. 15
**Dom zmarłych Piotra Bratkowskiego**
Witold Bereś s. 18
**Krakowska kamienica przy Krupniczej 22**
Maria Malatyńska s. 21
**Wisełka (Szymborska) i Zbyszek (Herbert)**
Magda Huzarska-Szumiec s. 25
**Radykalne improwizacje Mikołaja Trzaski**
Krzysztof Burnetko s. 28
**Sprawa Tomka Komendy**
Łukasz Maciejewski s. 31
**Schultz – mag z Drohobycza**
Magda Huzarska-Szumiec s. 34
**Ginczanki czuła biografia**
Krzysztof Zajas s. 37
**Krzysztof Kozłowski do zapamiętania**
Witold Bereś s. 40
**Ludowa historia Polski**
Artur „Baron" Więcek s. 44
**Odwet Samuela Morela**
Krzysztof Jakubowski s. 47
**Czytanie Leszka Kołakowskiego**
Krzysztof Burnetko s. 54
**Kresowa Atlantyda Stanisława Nicieji**
Janusz M. Paluch s. 57
**Podróż Chrisa Niedenthala**
Paweł Głowacki s. 60
**Widma Tadeusza Kantora**
Magda Huzarska-Szumiec s. 63
**Sztuka życia królowej Łempickiej**
Sylwia Pyzik s. 66
**Czar Kornela Filipowicza**
Katarzyna Jakubowiak s. 69
**Sportsmenki w świecie mężczyzn**
Anna Barańska s. 72
**Panny z *Wesela***
Magda Huzarska-Szumiec s. 75
**Setka (ponad) finalistów i ZŁOTA DWUDZIESTKA** s. 80

## LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

**Kronika kulturalna** s. 88
**Krakowski łącznik** s. 90
**Kraków (Główny)** s. 91
**Linia A–B** s. 92

## OBYWATELE KRAKOWA

**Dla wymiany myśli (Anna Gulińska/ Księgarnia Ogniwo)**
Marta Gruszecka s. 10
**Książka nie ma równych (Katarzyna Klimek/Karakter)**
Marta Gruszecka s. 11

## GALERIA „KRAKOWA"

**Dominik Lisik**
Magda Huzarska-Szumiec s. 50

## FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska s. 7
OKIEM BERESIA Witold Bereś s. 8
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 9
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 79
LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska s. 96

# Nowy rok

**Tekst:** Ewa Lipska

Nowy rok rozpoczął się KAPITOLnie! Władzy raz zdobytej, nie oddamy! Drobno-ustroje polityczne tak mają...

**Ewa Lipska** – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Rys. Piotr Błachut

# Portrety polskie 2020

**Tekst:** Witold Bereś

**Że pandemia? Że smutek? Że łamanie praw człowieka? A mimo to w minionym roku polska kultura broniła się dzielnie. Dowodem aż 103 nader ciekawe opowieści biograficzne – wyróżniające się książki, filmy, spektakle i wystawy spełniające kryteria PORTRETÓW.**

Sporym kłopotem było to, że można z nich było wybrać jedynie dwadzieścia.

Ze zbolałym sercem zauważam tytuły – i to ograniczając się do książek, a pomijając spektakle, filmy i wystawy – które do ZŁOTEJ DWUDZIESTKI nie weszły.

Prof. Jerzy Aleksandrowicz, wybitny psychiatra, filozof, odszedł jesienią 2018 roku – kilka godzin przed śmiercią pożegnał się, wysyłając do Dominiki Dudek – czego nie miał w zwyczaju – esemes „Całuję na dobranoc". A tymczasem ona, wraz z Małgorzatą Skowrońską, pracowała nad wywiadem rzeką z nim (*Terapia na życie*, WL). Powstała rzecz o życiu, Holokauście, wierze, a przy okazji barwna opowieść o polskiej psychiatrii.

Konkurs PORTRETY to wspólna zabawa smakoszy kultury, w której chodzi o to, aby wyłowić i nagrodzić najlepsze dzieła minionego roku, powiązane z Polakami. A słowo „PORTRETY" traktujemy szeroko: to może być portret człowieka, środowiska czy miasta – w różnej postaci artystycznej.

Ewy Wachowicz – kto nie zna? Ja, przyznaję się bez bicia, wręcz ją uwielbiam. *Wszystkie korony Ewy Wachowicz* (Znak), wywiad rzeka przemyślnie skonstruowany przez nią i Marka Bartosika, to nie tylko opowieść o pięknej, rozsądnej i skromnej dziewczynie z Klęczan pod Gorlicami. To nie tylko przepisy na kuchnię doskonałą. To również przepisy na życie, jak choćby opowieść Ewy o ojcu Knabicie, który był dla niej oparciem w najcięższych czasach.

O silnym związku Anki Kowalskiej z Marią Dąbrowską wiedzą wszyscy, którzy kochają kulturę. Sylwia Chwedorczuk w biografii *Kowalska. Ta od Dąbrowskiej* (Marginesy) przypomina właśnie Kowalską – niesłusznie zapomnianą pisarkę, autorkę przejmującej *Szczeliny*, autorytet dla Andrzejewskiego, Broniewskiego, Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Słonimskiego czy Hartwig.

Kuba Ciećkiewicz to moje literackie odkrycie ubiegłego roku. Dziennikarz, który, gdy trzeba było, został taksówkarzem, nagle, w drugiej połowie życia napisał piękny poetycki i nostalgiczny portret Krakowa, głównie Olszy, gdzie mieszka. Książka wspaniała graficznie, opatrzona pięknymi, autorskimi zdjęciami (*Koniec świata na mojej ulicy*, Austeria).

Gdy Sylwia Frołow pisze biografię – to człeka wbijają w fotel emocje. Albo dramatyczne – jak w przypadku biografii Dzierżyńskiego, albo obyczajowe jak w książce *Antonówki. Kobiety i Czechow* (Czarne). Opowieść o facecie, który dokądkolwiek wyjeżdżał, zawsze w pierwszej kolejności odwiedzał: świątynię, cmentarz i dom publiczny. Niby wiemy, że nie ma pisarza Czechowa bez kobiet, ale dotychczas myślałem, że to był kobiet przyjaciel.

Janusz Górski, profesor i grafik genialny – każda jego książka to arcydzieło sztuki edytorskiej. Ja mam szczególną słabość do książko-albumu (współtwórca: Łucja Mróz-Raynoch) *Przekrój przez Mroza* (Czysty Warsztat). Tu jest Daniel Mróz, artysta wielki, nareszcie w pełni pokazany.

A na deser seks, seks i jeszcze raz seks – nie bajkowy, a udokumentowany kochanek króla Stasia (*Faworyty* Manueli Gretkowskiej, Znak).

A był jeszcze *Asteroid i półkotapczan* Katarzyny Jasiołek, opowieść o dizajnie epoki PRL, ciepła przechadzka po mniej znanej Malcie (Piotr Ibrahim Kalwas *Gozo. Radosna siostra Malty*), rewelacyjne wywiady Michała Nogasia *Z niejednej półki* z pisarzami całego świata, album do cna krakowski Andrzeja Nowakowskiego *Czas. Rynek w Krakowie* czy opowieść o muzie malarzy krakowskich pierwszej połowy XX wieku (Aleksander Skotnicki *Róża Aleksandrowicz*).

Tych tytułów, i wielu innych, w ZŁOTEJ DWUDZIESTCE niestety nie ma – bo są inne znakomite dzieła!

Miesięcznik „Kraków", „Biblioteka Kraków", „Fundacja Świat ma Sens", „Kraków – Miasto Literatury UNESCO" wspólnie ze sponsorem Nagrody Głównej – firmą Consultronix po raz drugi organizują konkurs PORTRETY. To wspólna zabawa smakoszy kultury, w której chodzi o to, aby wyłowić i nagrodzić najlepsze dzieła minionego roku, powiązane z Polakami. A słowo PORTRETY traktujemy szeroko: to może być portret człowieka, środowiska czy miasta – w różnej postaci artystycznej.

Rok temu najlepszym dziełem została książka Doroty Sznajderman *Pusty las*, później laureatka innych wielkich konkursów literackich, a Nagrodę Czytelników zdobyła *Jaremianka* Agnieszki Dauksz.

O nagrodzie głównej za rok 2020 decyduje jury pod przewodnictwem reżysera Artura „Barona" Więcka, a o Nagrodzie Czytelników – głosy oddane na stronie www.miesiecznik.krakow.pl.

Zapraszamy do typowania!

**Witold Bereś** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

# Radio górą przez internet

**Tekst:** Krzysztof Burnetko

**Okazuje się, że nie tylko modne podcasty i vlogi, ale i stare dobre radio – tyle że w formule internetowej – może wciąż być ważnym elementem sceny medialnej. Zarówno tej opiniotwórczej (i wolnej od nacisków władzy), jak kulturotwórczej. Dowody można znaleźć także w Krakowie.**

Analitycy mediów wieszczą ostatnio, że hitem branży są i będą (w każdym razie na przewidywalny czas) podcasty i vlogi. Tymczasem nad Wisłą minione miesiące wniosły do dyskusji o przyszłości mediów nowy wątek. Mowa o spektakularnym sukcesie Radia Nowy Świat.

Rzecz nawet nie tyle w politycznych okolicznościach narodzin stacji, ile w tym, że stało się ono świadectwem, iż można stworzyć wpływowy środek przekazu, wyłącznie opierając się na zaufaniu i poparciu (także tym najbardziej wymiernym, bo czysto finansowym, wyrażanym w formie zbiórki publicznej) słuchaczy, nie oglądając się na ministerialne fundusze czy reklamy ze spółek Skarbu Państwa. Ba, Radio Nowy Świat powstało wbrew władzy – bo przecież traktuje ona nową rozgłośnię jako przejaw buntu ludzi, których z racji ich słabej podatności na wytyczne propagandy, a równocześnie silnego (a więc groźnego) poczucia zawodowej solidarności nie chciała widzieć w mitycznej przez lata „radiowej Trójce". Do rangi symbolu taniej zemsty należy pomysł dyrekcji Polskiego Radia zastrzeżenia nazw audycji prowadzonych niegdyś w Programie III przez obecnych prezenterów Nowego Świata – tylko po to, by na zasadzie dziecinnego „nie bo nie" zerwać piękne tradycje i pokazać, kto tu (niby) rządzi.

Nowy Świat potwierdza nadto, że dziś można trafiać do wcale licznych słuchaczy drogą internetową – bez potrzeby ubiegania się (czasem przypominającego żebranie) u państwowych decydentów o koncesje, dostęp do częstotliwości, masztów itd. I nie chodzi tu – co też znamienne – o program sprowadzający się do mechanicznego prezentowania muzyki z komputerowej playlisty. Ramówka Nowego Świata to wszak regularne audycje, cykle i bloki programowe. Na dodatek nie sprowadzają się one do tematyki muzycznej – jest też literatura, są sprawy społeczne i naturalnie polityka – tyle że przedstawiana przez ekspertów i komentatorów, a nie samych polityków.

Przyświecające Nowemu Światu hasło „pion i poziom" okazuje się nie tylko świetne w rozumieniu *public relations*, ale i zasadne – bo codziennie praktykowane w programie zarówno pod względem pionu – kręgosłupa ideowego, jak poziomu – merytorycznego czy, na przykład, kultury języka.

Nie bez powodu do setki szerokiego finału naszego plebiscytu PORTRETY 2020 trafiła audycja Jana Emila Młynarskiego *Wesoła warszawska fala* (wcześniej *Dancing, salon, ulica*) przypominająca przedwojennych mistrzów muzyki rozrywkowej.

Kto wie jednak, czy nie równorzędnym medialnym osiągnięciem są lokalne internetowe rozgłośnie serwujące własne – i też trzymające poziom – treści. Nieważne, jak wielkie jest grono słuchaczy ani że czasem tematyka ogranicza się do muzyki – byleby tylko została ona zaprezentowana ze znawstwem i klasą. Prócz roli kulturotwórczej samo tworzenie się wokół takich stacji kręgów fanów jest wartością samą w sobie i pełni funkcję społeczną.

Akurat w Krakowie jest wiele przykładów takiej aktywności. Wymienię dwa tylko i to jedynie ze sfery muzyki właśnie. Pierwszy to Rockserwis FM – mające już kilkuletnią historię (działa od 2014 roku!) dzieło Piotra Kosińskiego (skądinąd też byłego współpracownika Trójki), a tworzone przez grono fanów muzyki – jak to sami nazwali – „do słuchania, a nie do »słyszenia«". Reklamują się zapewnieniem: „Zero polityki. Zero reklam. Za to wyselekcjonowana muzyka i towarzyszące jej mądre słowo". Faktycznie: w programie można znaleźć rozmaite niebanalne dźwięki – głównie rockowe, ale też bluesowe, folkowe i jazzowe. I to prezentowane w formie audycji autorskich, a więc opatrzone profesjonalnym komentarzem.

Oraz najmłodsza inicjatywa: Jazz Radio Dworek Białoprądnicki. Ten pomysł ma swe źródła w działającym przy tej instytucji kultury pół wieku temu klubie muzycznym. W latach 70. i 80. minionego stulecia spotykali się w nim i dawali koncerty między innymi Tomasz Stańko, Kora, Osjan, Ewa Bem, Andrzej Zaucha, Janusz Muniak, Laboratorium, Dżem i Ryszard Skibiński. Dworek był też przystanią – i miejscem prób dla muzycznego podziemia – chociażby Püdelsów z Maciejem Maleńczukiem. Teraz w ramach internetowych audycji grupa zapaleńców prezentuje z dworkowego studia szeroko pojmowany jazz. Co istotne, w programie przypominani są zarówno artyści, którzy tam lata temu występowali, jak i najmłodsze twarze. Znowu: inicjatywa powstała dzięki zapałowi kilku ludzi i bez państwowych pieniędzy, a jedynie dzięki wsparciu samorządowemu (też znalazła się w finale PORTRETÓW).

Jest raz lepiej, raz gorzej, ale ekipa walczy.

**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

# Dla wymiany myśli

**Tekst:** Marta Gruszecka **Zdjęcie:** Robert Słuszniak/Księgarnia Ogniwo – za wiedzą i zgodą

**Anna Gulińska nauczyła się czytać, jeszcze zanim poszła do szkoły. Nic dziwnego – czytane przez rodziców bajki, ale i słuchane z kaset magnetofonowych, rozbudzały jej wyobraźnię.**

Chciała więcej i więcej... Z dzieciństwa pamięta kilka tytułów. – Jedną z pierwszych książek, którą przeczytałam, były *Baśnie* Hansa Christiana Andersena z pięknymi ilustracjami Jana Szancera. Nieco później pochłonęłam całą serię *Ani z Zielonego Wzgórza* Lucy Maud Montgomery, do której wracałam zresztą wielokrotnie. Z kolei książką, która w dzieciństwie wzruszyła mnie najbardziej, była *Lassie, wróć!* Erica Knighta – wspomina.

W dorosłym życiu jej miłość do książek ewoluowała w stronę reportaży i powieści kryminalnych. Pani Anna często sięga też po prozę debiutujących polskich autorów i autorek. – Lubię skupiać się na jednej książce i przeczytać ją od deski do deski, ale zdarza się, głównie z przyczyn zawodowych, że jak najszybciej chcę zapoznać się z różnymi nowościami. Wtedy czytam po dwie, a nawet trzy książki jednocześnie – przyznaje.

Dziś jest wieloletnią pracownicą instytucji kultury, członkinią Stowarzyszenia Miasto Wspólne, prezeską Spółdzielni Ogniwo zarządzającej księgarnio-kawiarnią Ogniwo przy ulicy Smolki 11a. To właśnie miejsce wygrało plebiscyt Krakowskie Księgarnie Roku 2020 w kategorii „Najlepszy klimat".

Wśród ostatnio przeczytanych książek wymienia *Wyspę* Sigríður Hagalín Björnsdóttir w tłumaczeniu Jacka Godka. – Trafiłam na ten tytuł dzięki zeszłorocznemu Festiwalowi Conrada, na którym gościła autorka. Książka opowiada o Islandii, która nagle zostaje odcięta od świata. Nie jest to lektura optymistyczna, ale ważna, bo pokazuje, jak łatwo i za pomocą jakich mechanizmów otwarte i gościnne społeczeństwo staje się ksenofobiczne, podatne na manipulacje, a ludzie nastawieni przeciwko sobie – komentuje.

W jej księgarnio-kawiarni ważnych społecznie książek nie brakuje.

To właśnie dostęp do zaangażowanej publicystyki i reportażu oraz organizowane przed pandemią spotkania autorskie, debaty, a nawet pokazy filmowe sprawiły, że dzięki Annie Gulińskiej księgarnia stała się jednym z najważniejszych miejsc wymiany myśli w Krakowie. Przy Smolki 11a (ale też w księgarni internetowej pod adresem sklep.ogniwo.org) znajdziemy między innymi *Wiek kapitalizmu inwigilacji. Walka o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy* Shoshany Zuboff w tłumaczeniu Alicji Unterschuetz. – Większość z nas funkcjonuje na co dzień w cyfrowym świecie, dlatego musimy zdawać sobie sprawę z tego, jak cyfrowa rewolucja wpływa na nas i na światową gospodarkę – podkreśla Gulińska.

Mimo pandemicznych utrudnień Ogniwo cały czas działa stacjonarnie (wtorek–piątek w godz. 12–20, sobota w godz. 17–20 oraz poniedziałek w godz. 12–20).

**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

# Książka nie ma sobie równych

**Tekst:** Marta Gruszecka **Zdjęcie:** Katarzyna Klimek/za wiedzą i zgodą

**Z literaturą Katarzyna Klimek związała się zawodowo ponad dwie dekady temu. Dostała się wtedy na polonistykę, gdzie obowiązkowych lektur nie brakowało.**

Do dziś czyta kilka tytułów jednocześnie, bo nigdy nie może zdecydować się, co wybrać ze swojej pokaźnej domowej biblioteki. I choć często nosi ze sobą czytnik („wygodny w komunikacji miejskiej" – tłumaczy), uważa, że książka papierowa nie ma sobie równych. Kupuje ich dużo, a potem rozdaje, jeśli jej regały definitywnie komunikują: „miejsca brak".

Katarzyna Klimek jest kierowniczką Karakteru, najmłodszej krakowskiej księgarni, zlokalizowanej w samym sercu Krakowa – przy ulicy Tarłowskiej 12. W plebiscycie na Krakowską Księgarnię Roku Karakter zajął 1. miejsce w kategorii „Najlepsze książki".

Karakter założyła w październiku 2018 roku, ale z książkami serdecznie przyjaźni się od dzieciństwa. – Uwielbiałam wizyty w bibliotece miejskiej i Domu Książki, jedynej wtedy księgarni w moim rodzinnym Brzesku. Odkrywałam tam kolejnych autorów i tytuły, czytałam wszystko, co było dostępne. Klasykę dziecięcą mam w sercu do dziś. Moim dzieciom, a także młodszym czytelnikom polecam *Pippi Pończoszankę* i przeczytane dwa razy *Dzieci z Bullerbyn* Astrid Lindgren, *Białego kła* i *Zew krwi* Jacka Londona, *Tajemniczy ogród* Frances Hodgson Burnett oraz *Wyspę skarbów* Roberta Louisa Stevensona. Był też czas *Jeżycjady* Małgorzaty Musierowicz, a potem *Opowiadań* Marka Hłaski, *Szklanego klosza* Sylvii Plath czy książek Kurta Vonneguta... – wymienia.

Ostatnia książka, która zapadła jej w pamięć? – Jest sporo tytułów, których fragmenty wirują w mojej głowie i nie pozwalają zasnąć. Takim jest bez wątpienia książka naszego wydawnictwa Karakter *O czasie i wodzie* Andri Snær Magnasona. Wielogłosowe dzieło łączy w sobie elementy reportażu, eseju i wywiadu. Tradycja i historia przodków oraz czas przeszły są dla autora wstępem do upomnienia się o przyszłość, klimat naszej planety i nasz los na niej. Magnason wciąga nas w rodzinną opowieść, aby pokazać relacje z naturą i przemówić do naszej wyobraźni. To przejmujące wezwanie brzmi: najwyższy czas na działanie tu i teraz – mówi księgarka.

Podczas pandemii pani Katarzyna nadrabiała książkowe zaległości, ale też zaczęła czytać poezję. – Poemat Tomasza Bąka *Bailout* to nie tylko krytyka ekonomii i kapitalizmu, ale również jednostkowej postawy wobec wyzysku. Teraz, w kryzysie, jeszcze bardziej aktualna – podkreśla.

Księgarnia Karakter jest czynna od poniedziałku do piątku w godz. 9–18 oraz w sobotę od godz. 10–16.

**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

# Dać władzę Applebaum

**Tekst:** Krzysztof Zajas/juror konkursu

**Mnożą się głosy, by skończyć z męską dominacją w polityce i oddać władzę kobietom. Nie tylko jestem za, ale od razu na szefową tego rządu zgłaszam kandydaturę Anne Applebaum.**

Gdyby ktoś miał jakieś wątpliwości, po lekturze *Matki Polki* się ich pozbędzie. Applebaum w rozmowach z Pawłem Potoroczynem mówi właściwie o wszystkim. Jest wielka polityka współczesna i jej uwikłanie w nową rzeczywistość mediów społecznościowych. Jest wielka literatura, także w kontekstach historycznych i cywilizacyjnych. Jest historia XX wieku z jej totalitarnym dramatyzmem, gdzie ciągle próbujemy znaleźć odpowiedzi na uwierającą nas teraźniejszość. Są przenikliwe uwagi o różnicach i podobieństwach kulturowych, łącznie z naszym ulubionym porównywaniem Polski i Ameryki. Jest o życiu w Polsce, USA i Wielkiej Brytanii, o uwikłaniu domowej prywatności w politykę, o rodzinie i przyjaciołach, o pasji działania.

W mojej propozycji nie ma cienia ironii. Za to jest wiele szczerego uwielbienia – dla inteligencji Anne Applebaum, dla jej racjonalnego wyważenia oraz imponującej wiedzy, rozciągniętej na wiele dziedzin. Jej wypowiedzi są balsamem równowagi i spokoju, nakładanym na nasze rozhuśtane emocjonalnym politykierstwem nerwy; wskazówkami, jak złapać zdrowy dystans, czasem wręcz gotowymi receptami do natychmiastowej realizacji. Na przykład precyzyjny, w sześciu punktach, przepis na poprawę naszej zrujnowanej edukacji, z konkluzją o tym, że nauczycielom należy płacić więcej niż posłom i policjantom.

Applebaum z amerykańskiego oddalenia patrzy na Polskę, a zarazem jako Polka potrafi z kapitalnym dystansem patrzeć na Amerykę. Perspektywa cudzoziemki otrzeźwia. Perspektywa jednej z nas wzmacnia, dodaje otuchy. Nie tylko my się borykamy z absurdem i złem w polityce, nie tylko w naszym kraju dzieją się rzeczy jeżące włos na głowie.

Wiele uwag autorki *Gułagu* czytelnik powinien koniecznie wynotować i powtarzać dla wielkiej wspólnej korzyści. Na przykład proste i mocne: „Ukraina jest dla Polski wyłącznie dobra". To o naszych zaniedbaniach wobec najważniejszych geopolitycznie sąsiadów. Albo: „Szacunek jako cnota jest jednym z fundamentów tej cywilizacji".

Przy całej kategoryczności sądów jest to książka bardzo pozytywna. Uczy zaufania i wiary w siłę ludzkiej aktywności, w sprawczość każdego i każdej z nas. Lektura tych rozmów napełnia nową energią, od razu chcesz iść coś zrobić pożytecznego, publicznego. Szczególnie budująco dla człowieka kultury brzmi opowieść amerykańskiej dziewczyny o tym, jak uczyła się polskiego na Herbercie, Miłoszu, Mickiewiczu. Filarem każdego narodu jest jego kultura, sztuka, teksty...

Profesjonalizm Applebaum daje znać o sobie w prognozach politycznych. Na kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi w USA, jeszcze w fazie prawyborów, pada sugestia, że jedynym skutecznym kandydatem przeciwko Donaldowi Trumpowi może być demokrata Joe Biden. Pada wprost sformułowanie „prezydent Biden", którego dzisiaj używają wszyscy, a wtedy nikomu nie przychodziło ono do głowy. I że wiara PiS-u w Trumpa (Fort Trump!) to niebezpieczna halucynacja, jeśli bowiem dojdzie do zmiany na fotelu prezydenckim, następca nie będzie nas zauważał. No i doszło do zmiany...

Umiejętnie prowadzi te rozmowy Paweł Potoroczyn. Wie, kiedy dać się wygadać dziennikarce, kiedy skontrować jednym słowem, kiedy dopytywać i drążyć. W tych spotkaniach słychać dialogi ludzi świetnie się znających i nadających na podobnych falach. Sądziłem początkowo, że tytuł jest ironiczny, ponieważ oni w ogóle o matce Polce nie rozmawiają. Że to taka prowokacja pod adresem spolonizowanej Amerykanki. Ponad ironią snuje się tu jednak opowieść bardzo poważna, wręcz patetyczna o dzielnej dziewczynie zza oceanu, która rzuca się głową w dół, w Polskę, w polski dom, rodzinę, wychowywanie dzieci, gotowanie, remontowanie, wieczne użeranie z codziennością. A także pisanie, czytanie, podróżowanie, zbieranie materiałów, politykowanie, nieustanne dokształcanie... Nadludzka robota dla trzech osób w pełnym wymiarze godzin. Mądra, silna, pozytywna matka Polka. Dać jej władzę.

*Matka Polka. Anne Applebaum w rozmowie z Pawłem Potoroczynem*, Osnowa, Warszawa 2020.

**Krzysztof Zajas** – pisarz, badacz literatury, kulturoznawca, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; wielbiciel kultury wysokiej i pokątny wyznawca kultury popularnej; kiedy ma dość pisania i czytania, włóczy się z psem po łąkach.

Anne Applebaum Zdjęcie: ©WikimediaCommons

Paweł Potoroczyn Zdjęcie: Konrad Ćwik

**Anne Applebaum** – dziennikarka, publicystka, absolwentka Yale University i London School of Economics. Karierę dziennikarską rozpoczęła w 1988 r. jako korespondentka „The Economist" w Warszawie, później była zastępcą redaktora naczelnego londyńskiego „The Spectator". W latach 2002–2006 była członkinią kolegium redakcyjnego „The Washington Post", gdzie jako komentatorka polityczna nadal prowadzi cotygodniową kolumnę poświęconą sprawom zagranicznym. Za pierwszą książkę *Between East & West* otrzymała w 1996 r. Nagrodę im. Adolpha Bentincka, a za *Gułag* (2003) – Nagrodę Pulitzera w kategorii „General nonfiction". Książka *Za żelazną kurtyną. Ujarzmienie Europy Wschodniej 1944–1956* została wyróżniona Cundill Prize w 2013 r. Człowiek Roku 2018 „Gazety Wyborczej".

**Paweł Potoroczyn** – (ur. 1961) menedżer kultury, dziennikarz, publicysta, przedsiębiorca i dyplomata. Absolwent Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. W 1981 r. założył, a następnie do 1987 kierował jako redaktor naczelny drugoobiegowym wydawnictwem Studencka Oficyna Literatów i Dysydentów SOLID. Od roku 1995 pracował w Konsulacie Generalnym RP w Los Angeles jako konsul ds. kultury, skutecznie lobbując na rzecz przyznania Andrzejowi Wajdzie honorowego Oscara. W 2000 r. objął funkcję dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku, a pięć lat później analogiczne stanowisko w Londynie. Pomysłodawca wielu wydarzeń kulturalnych – między innymi koncertu Adama Makowicza i Leszka Możdżera w Carnegie Hall. W latach 2008–2016 kierował Instytutem Adama Mickiewicza. Jego debiutancka powieść *Ludzka rzecz* (2013) była nominowana do Nagrody Literackiej „Nike" oraz do Nagrody Literackiej Gdynia.

**Anne Applebaum i Paweł Potoroczyn dla „Krakowa":**

**Paweł Potoroczyn: Dobrymi duchami tej książki były Iza Bartosz i Agnieszka Wolak z Wydawnictwa OsNova, to ich pomysł. Bez nich ta książka nigdy by nie powstała. Nawet by mi nie przyszła do głowy.**

Ann Applebaum: Dobrym duchem był Paweł Potoroczyn! Nie tylko przekonał mnie do tego projektu, ale też starannie przemyślał, jakie pytania i tematy mogą zainteresować polskich czytelników. Zrobił świetną robotę.

**AA: Złym duchem naszej pracy mogli być kłamcy. I każdy kto używa kłamstwa dla politycznych korzyści.**

PP: Cham, kołtun, bigot, psychopata, rasista, mizogin, ksenofob, antysemita, płaskoziemiec, antyszczepionkowiec (foliarz wszelkiego autoramentu), cynik smoleński i paranoik smoleński, a także eurosceptyk oraz zakompleksiony ignorant, chroniczny męczennik i zwykły głąb.

*

**PP: Mój typ dzieła biograficznego z ostatnich lat? Macieja Łubieńskiego *Portret rodziny z czasów wielkości*. To nie jest biografia w sensie ścisłym, raczej saga. Z sagą mamy do czynienia wówczas, kiedy indywidualne, ludzkie losy opowiadają wielką Historię. Łubieński opowiada z wielką wrażliwością, przenikliwością i czułością. Nieuniknione luki w archiwalnych dokumentach wypełnia wiarygodną intuicją i zrozumiałą sympatią dla swoich antenatów.**

AA: Ron Chernow, *Grant*. Biografia Ulyssesa Granta, amerykańskiego generała, który wygrał wojnę domową i został prezydentem, by nadal walczyć, tym razem z Ku-Klux-Klanem. Analogia do teraźniejszości jest oczywista.

# *Matka Polka. Anne Applebaum w rozmowie z Pawłem Potoroczynem*

**(fragmenty)**

**Paweł Potoroczyn: Mam słabość do wielu brytyjskich rzeczy: muzyka, samochody, English breakfast, tweed, whisky. I brytyjscy pisarze historyczni. Dlaczego są najlepsi? (...) Że mają tradycyjny warsztat oparty na dokumentach archiwalnych, doprowadzony do perfekcji na brytyjskich uczelniach przez stulecia. Że są outsiderami, więc pisząc o Francji, Niemczech, Rosji, Chinach, Polsce lub Portugalii, są neutralni, bezstronni i obiektywni. Że biografia Napoleona napisana przez Francuza raczej nie będzie obiektywna. Że zdarza się, iż historycy zajmujący się krajami, z których pochodzą, piszą tak, jak piszą, z powodu politycznej agendy, że są motywowani teraźniejszością, a nie badaniem przeszłości. (...)**

Anne Applebaum: To bardzo angielska tradycja – pisanie historii dla szerokiej publiczności, bo w Anglii literatura historyczna nie jest uważana za wąski przedmiot dla ekspertów, w Anglii od XVIII wieku próbowano pisać dla całego świata. To się chyba zaczyna od Edwarda Gibbona. *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego*, który opublikowano w 1776 roku, jest wznawiany i czytany do dzisiaj.

**I trafił do watykańskiego indeksu ksiąg zakazanych... Był tam jeszcze w 1948...**

Podobnie jak Kopernik, Pascal czy Kant... *I grew up reading this kind of history books*. Ta tradycja pisania dla szerokiej publiczności ma już 200 lat. W XVIII wieku w Anglii było wystarczająco wielu ludzi, którzy umieli czytać i interesowali się życiem publicznym. Pisanie dla nich miało sens zarówno intelektualny i poznawczy, jak i ekonomiczny, bo przybyło ludzi, którzy mogli sobie pozwolić na zakup bardzo, bardzo drogich wówczas książek. W Polsce czy w Rosji tego nie było, grupa piśmiennych była bardzo mała, mniej niż dziesięć procent populacji. Nie jest bez znaczenia, że Anglia, w odróżnieniu od takich rozdrobnionych na wiele księstw Niemiec, była zjednoczonym krajem ze stabilną monarchią, dzięki czemu Anglicy mieli ugruntowane poczucie tożsamości wcześniej niż inni. Może to też jest związane z imperium brytyjskim? (...)

**Przyszłość prasy?**

Dekoncentracja, decentralizacja. To w zasadzie już się dzieje, jednak będzie się pogłębiało. Różnie w różnych krajach, ale niektóre dzienniki opinii przetrwają, bo utrzyma się popyt na *quality journalism*. To kwestia skali. W Stanach przeżyje kilka tytułów ze względu na rozmiary i potrzeby wykształconych czytelników, którzy potrzebuje wiarygodnych informacji, chociażby dla swoich decyzji politycznych, inwestycyjnych, konsumenckich. Nadal będą istnieć „The Washington Post", „The New York Times", może „Los Angeles Times", pewnie jeszcze „The Wall Street Journal". (...) Bez wiedzy, co robi władza, nie jesteśmy w stanie jej kontrolować. Tymczasem lokalne media padają wszędzie. „The New York Times" sobie poradzi, ale „Detroit Free Press" czy inny „Louisville Courier" już nie. Może przekształcą się w NGO? Skoro są bogaci ludzie skłonni ufundować cały szpital, to może znajdą się tacy, którzy sfinansują gazetę choćby po to, żeby mieć wiarygodny dział ekonomiczny? Problem w tym, że bogaci unikają kontrowersji, a gazety wywołują kontrowersje. (...) Widzimy, jak dostęp do rzetelnej informacji jest reglamentowany, jak staje się statusowy, jak staje się przywilejem elity. A reszta społeczeństwa go nie ma i nawet nie rozumie, do czego jest potrzebna rzetelna informacja. To jeszcze jedna linia polaryzacji, szczególnie niebezpieczna dla liberalnej demokracji.

**Po wyborach 2016 roku te największe amerykańskie gazety, które wymieniłaś, odnotowały kilkunastoprocentowy wzrost prenumerat.**

To z jednej strony wyraz tęsknoty za *quality journalism*, a z drugiej lęk przed tym, co może zrobić zmasowana podaż fake newsów. Wykształceni zobaczyli, jak niebezpiecznych wyborów dokonują ludzie pozbawieni rzetelnej informacji i jak łatwo można nakręcić społeczną frustrację. Pewnie dlatego znów sięgnęli po wiarygodne, czyli płatne gazety. Subskrybcje *online* mają niesamowity wzrost, „The Washington Post" znowu przynosi zyski. (...) Ludzie zaczynają mieć poczucie, że potrzebują czegoś wiarygodnego i są gotowi na to płacić. Tak więc pytanie nie brzmi: papier czy cyfra? Ta rewolucja już się dokonała. Czy wrócą do papieru czy zostaną z tabletem, jest drugorzędne. Ważniejsze jest utrzymanie popytu na prawdę.

# Ambasador największych. I wolnej Polski

**Tekst:** Krzysztof Burnetko/juror konkursu

**„Był moim serdecznym przyjacielem i najuważniejszym czytelnikiem, a może jedynym, jakiemu ufałem. Szczere były moje pochwały jego cudownej inteligencji i osobistego uroku". Kimże trzeba być, żeby zasłużyć na takie słowa samego Czesława Miłosza?**

I to zamieszczone w *Abecadle*, książce poświęconej osobom i zdarzeniom, które najmocniej wbiły się w pamięć noblisty (nie bez powodu początkowo tytuł miał brzmieć *Alfabet wspomnień*). Konstanty Jeleński – bo to o nim Miłosz tak pięknie i z nieskrywanym podziwem pisał – sąsiaduje tam z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim, Stanisławem Brzozowskim, Albertem Camusem, Marią Dąbrowską, Fiodorem Dostojewskim, Stefanem Kisielewskim, Arturem Koestlerem, Janem Lechoniem, Jakiem Maritainem czy Zofią Nałkowską. Postaciami czasem zaskakującymi, lecz zawsze pod jakimś względem wybijającymi się w swojej epoce – i już przez to mającymi na nią wpływ.

Bo Kot – jak mówili o Jeleńskim przyjaciele – też oddziaływał na swoje czasy. A pewnie jego największą zasługą było propagowanie na Zachodzie kultury z drugiej strony żelaznej kurtyny (czy też berlińskiego muru).

Dowodzi tego precyzyjnie Anna Arno, pokazując w biograficznej opowieści o Jeleńskim, ile starań wymagało wprowadzenie na zachodnie salony intelektualne – i co ważniejsze: do obiegu kulturalnego – Witolda Gombrowicza. Bo to Kot zainteresował *Ferdydurke* prestiżową we Francji oficynę Julliard, a potem nagłośnił pisarza również w Niemczech i we Włoszech – ten więc miał powody, by napisać potem: „Wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczątką »dzięki Jeleńskiemu«". To samo tyczyło pomocy Miłoszowi i Aleksandrowi Watowi, promowania malarstwa Józefa Czapskiego czy Jana Lebensteina.

Zwracałem tu swego czasu – za biografką Kota właśnie – że miał on zacne podstawy, by brylować (w najlepszym sensie) na światowych, bez żadnej przesady!, salonach. Składało się na to, po pierwsze, dzieciństwo (urodził się w 1922 roku) i wychowanie w rodzinie cenionego dyplomaty II RP (ojciec jeszcze przed 1918 współpracował z Ignacym Paderewskim w Komitecie Narodowym, a potem pracował na placówkach w Rzymie, Bukareszcie, Wiedniu, Królewcu i Monachium). Swoje robiło też klasyczne przedwojenne wykształcenie (warszawskie gimnazjum Batorego, potem szkoła dominikanów w Lozannie, wreszcie matura w 1939 roku w wielkopolskiej Rydzynie) i studia – już w czasie wojny – na Oxfordzie i najstarszym uniwersytecie Szkocji St Andrews. Znajomość języków: domowym był najpierw francuski, a potem włoski, od dzieciństwa rozumiał też niemiecki, po angielsku regularnie publikował, czytał nadto po hiszpańsku i flamandzku. A przy tym już na uchodźstwie cały czas podkreślał, że mimo wieloletniego oddalenia od Polski to polszczyzna właśnie jest dlań językiem przeżywania, najpełniejszej lektury – i wreszcie tworzenia. „Uważam się za pisarza (krytyka?, eseistę?) polskiego" – zapewniał.

W wypracowaniu przez Jeleńskiego pozycji na Zachodzie znaczenie miało odmienne także od większości powojennych emigrantów podejście do Polski. Daleki był on mianowicie od „choroby na Polskę" (choć papiery politycznego wygnańca zachował do śmierci), bo za swe naturalne środowisko uważał Europę. Choć znowu: zauważał przy tym, że nieprzypadkowo przymiotnik „nieeuropejski" oznacza w Polsce barbarzyński i niecywilizowany, a polska kultura przez dekady rozwijała się na emigracji – czyli na Zachodzie.

Był wreszcie błyskotliwym erudytą oraz mężczyzną dystyngowanym i pięknym. Wszyscy bodaj, którzy się z nim zetknęli, byli pod wrażeniem nie tylko jego inteligencji i nienagannych manier, ale też czaru. Słynął nadto ze złośliwej czasem ironii (ale i autoironii) – co tylko dodawało smaczku spotkaniom.

Wszystko to składało się też na jego poczucie wolności. Nie tylko intelektualnej czy towarzyskiej (jednym z jej przejawów może być biseksualizm Kota), lecz i politycznej. Tu symbolem są jego zaangażowania publiczne: zwłaszcza aktywność w Kongresie Wolności Kultury, zrodzonej w 1950 roku inicjatywie zachodnich intelektualistów (między innymi Jamesa Burnhama i wspomnianego Koestlera), która miała wspierać wolną myśl w krajach bloku komunistycznego. Podobny cel miało pozyskiwanie, znowu dzięki swoim stosunkom, pomocy dla „Kultury" i Instytutu Literackiego Jerzego Giedroycia oraz dla związanych z nim pisarzy – także krajowych. Rzadziej natomiast, o co Giedroyć miał do niego zresztą pretensje, używał do celów politycznych swojego pisarskiego talentu. Owa wstrzemięźliwość publicystyczna wynikała jednak z tego, że Jeleński na wartości polityczne patrzył nie tyle z perspektywy historii, państwa czy nawet zaangażowanego obywatela, ile każdej jednostki. Wolność i demokrację miał za ważne dlatego, że miały służyć każdemu człowiekowi – kształtować jego kondycję moralną i „piękną duszę". Niewola była dlań złem głównie dlatego, że skazywała poddanych jej bądź ją akceptujących na duchowe ubóstwo.

Anna Arno, *Kot. Opowieść o Konstantym Jeleńskim*, Iskry, Warszawa 2020.

**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Fot. Anna Morgowicz

**Anna Arno** (pseudonim) – ukończyła historię sztuki w Institute of Fine Arts, New York University. Autorka książek biograficznych *Niebezpieczny poeta. Konstanty Ildefons Gałczyński* (Znak, 2013) i *Jaka szkoda. Krótkie życie Pauli Modersohn-Becker* (słowo/obraz terytoria, 2015) oraz tomów opowiadań *Okna* (Zeszyty Literackie, 2014) i *Ten kraj* (Wydawnictwo Literackie, 2018). Przekłada z francuskiego i angielskiego. Swoje teksty ogłaszała też w „Znaku", „Gazecie Wyborczej", „Przekroju", „Zeszytach Literackich". Laureatka Nagrody za Debiut „Zeszytów Literackich". Mieszka w Krakowie.

**Anna Arno dla miesięcznika „Kraków":**

Konstanty Jeleński wyznałby na pewno, że jego dobrym duchem, aniołem, wybawicielką była Leonor Fini – ekscentryczna, postsurrealistyczna włoska malarka i artystka. Razem z malarzem Stanislao Leprim stworzyli trwający kilkadziesiąt lat rodzinny trójkąt. Była to z pewnością najważniejsza miłość Jeleńskiego, który poza tym wiązał się przede wszystkim z mężczyznami. Kapryśna, dominująca Leonor Fini paradoksalnie sprawiła, że Jeleński żył w Paryżu w sposób dosyć ustatkowany. Była dla niego wzorem artysty aktywnego, dążącego do stworzenia dzieła. On sam był raczej pisarzem potencjalnym, istniał „w odbiciach", był pośrednikiem twórców, których podziwiał.

*

Z kolei swoim największym wrogiem był na pewno on sam, ze swoimi sprzecznościami, niezrealizowanymi pragnieniami, naturą kameleona. Trudna, zawikłana relacja łączyła go z matką, Teresą Jeleńską. Przedwojenna piękność, kobieta egotyczna, wymagająca i kapryśna. Konstanty Jeleński był jej nieślubnym dzieckiem ze związku z wybitnym włoskim politykiem Carlo Sforzą. Był z nią silnie związany, latami ją utrzymywał, a zarazem zawsze się z nią zmagał. Nigdy nie zaakceptowała jego orientacji seksualnej, nienawidziła też Leonor Fini. Długo nie traciła nadziei, że znajdzie dla niego „dobrą partię": próbowała między innymi wyswatać go z jedną z córek włoskiego filozofa Benedetto Croce.

*

Ostatnio ze wzruszeniem przeczytałam *Here We Are: My Friendship with Philip Roth* Benjamina Taylora (2020). Są to zapiski wieloletniego przyjaciela pisarza: migawki ze wspólnych weekendów i seansów filmowych, charakterystyczne powiedzonka, zapisy nastrojów. To nie jest pomnik ani apologia Rotha: raczej żywy portret, niewolny od słabości, a przede wszystkim pisany przyjaźnią i to nadaje mu szczególną wartość i urok.

# *Kot. Opowieść o Konstantym Jeleńskim*

**(fragmenty)**

W 1937 roku, kiedy ukazała się *Ferdydurke*, Jeleński miał piętnaście lat. Książkę podarowała mu ciotka Magda Skarżyńska. Ona z kolei dostała ją od przyjaciółki, Ireny Gombrowiczówny, z komentarzem, że ogłosił ją młodszy brat; w domu boją się, że zwariował. Kot już jako nastolatek był w rodzinie uważany za erudytę. Wspominał po latach, że dzieło Gombrowicza przeczytał z wypiekami na twarzy, jak adresowany do siebie list: „Przygody bohatera tej podróży inicjacyjnej, jaką jest *Ferdydurke*, toczyły się w tym samym środowisku co moje. Rozpoznałem w nim samego siebie, moją szkołę, moje środowisko, mój kraj i wszystko zostało naświetlone i zinterpretowane".

(...)

W latach wojennych Jeleński nie wracał do *Ferdydurke*. „Zostało mi po niej tylko cudowne wspomnienie, które zapewne podlegało przemianom w mojej pamięci". Tym bardziej ucieszył się, gdy w majowej „Kulturze" z 1951 roku ukazał się pierwszy fragment *Trans-Atlantyku*. Przeczytał go z entuzjazmem; odżyły też wrażenia z młodzieńczej lektury. Postanowił zrobić wszystko, aby obie książki zaistniały na Zachodzie. (...) Oddanie Jeleńskiego sprawie Gombrowicza nie miało nic wspólnego z polskim sentymentem czy „patriotyzmem": „Gdyby był włoskim pisarzem, zrobiłbym to samo. Uważałem, że są to utwory genialne i że to skandal, że pozostają nieznane. Odkryłem rzecz piękną i chciałem ją wszystkim pokazać".

(...)

O francuskie wydanie *Ferdydurke* Gombrowicz zabiegał już od kilku lat: pod koniec 1949 roku wysłał hiszpański przekład do Gallimarda, ale propozycji nie przyjęto. Również Julliard odesłał „trudną w odbiorze" i „wymykającą się klasyfikacji" powieść nieznanego autora. W 1953 roku Jeleński sam przełożył na francuski fragmenty *Ferdydurke* i *Trans-Atlantyku* i rozniósł je po wydawnictwach. „Byłem prawie wszędzie – wspominał. – Pamiętam, że dałem je Mascolo, którego znałem. Odmówił. Manès Sperber odmówił i Calmann-Lévy. A potem niektórzy mi zarzucali, że im wcześniej nie pokazałem *Ferdydurke*. Zapomnieli, że ją zanosiłem".

Uparty Jeleński w końcu przekonał do *Ferdydurke* François Bondy'ego. To też było „drugie podejście". O Gombrowiczu Bondy'emu opowiadał wcześniej Józef Czapski, ale ten wówczas rekomendację zlekceważył: „On był mi w stanie codziennie przyprowadzać nowego polskiego geniusza". Do lektury redaktor „Preuves" zasiadł ponaglany przez Kota. Wspominał ją jako wstrząs. Szczególnie zaciekawił go motyw niedojrzałości, powrotu dorosłego do szkoły. I nie przeszkadzały mu „egzotyczne" realia przedwojennej Polski, podobne sytuacje znał z francuskiej rzeczywistości. „[Gombrowicz] pokazał mi też nowy wymiar: siłę głupoty". W dodatku specyficzny styl nieźle wypadał w przekładzie na hiszpański, który podobnie jak polski obfituje w zgrubienia i zdrobnienia... „Genialne", „arcydzieło" – pisał Bondy w „Preuves" w październiku 1953 roku. W grudniu Jeleński opublikował własną notę o Gombrowiczu oraz fragmenty przekładów.

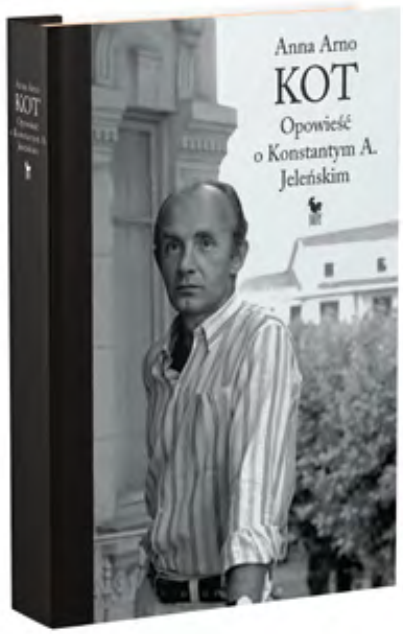


Walka o Paryż pod przewodem „marszałka Jeleńskiego" trwała jednak kolejne cztery lata. W końcu Jeleński zdołał zaciekawić Maurice'a Nadeau, redaktora naczelnego czasopisma „Lettres Nouvelles" oraz serii wydawniczej pod tym samym tytułem u Julliarda. Nadeau lubił odkrywać nowych pisarzy. „Wybierałem utwory, które mi się podobały – wspominał – wartość oceniałem, nie zastanawiając się przy tym, czy będą się dobrze sprzedawały czy też nie". W 1958 roku, dwadzieścia lat od polskiej premiery wreszcie ukazała się francuska edycja *Ferdydurke.* Nieoficjalnym redaktorem, dyrektorem publikacji, korektorem oraz szefem promocji był Jeleński. Jego nazwisko widnieje na okładce – napisał również przedmowę. Później Gombrowicz przyznawał: „Wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczątką »dzięki Jeleńskiemu«".

# Miłość nie mija

**Tekst:** Witold Bereś/juror konkursu

**„Ojciec też umierał niejeden raz, parokrotnie zostawiając nawet list pożegnalny – ale to akurat tylko do czasu, gdy miał siłę, by się solidnie sponiewierać". A kiedy autor wspomina, że nawet gdy ojcu pomagał wchodzić po schodach, w rzeczywistości próbował zepchnąć go ze schodów, już wiemy – pozornie – o czym to książka.**

Wątek przemożny, najcięższy to niechęć, co ja mówię – to WOW, wielki osobisty wk... na ojca. Powie ktoś – to się zawsze i wszędzie dzieje, to wątek kulturowy obecny od Chama i rzuconego na niego przekleństwa Noego, a może i dawniej?

Powody żalów rozlicznych wobec ojca? Oto, na przykład, ojciec Bratkowskiego latami prowadził coś w rodzaju pamiętnika pełnego pretensji wobec bliskich (w tym i syna). Hm... Spisywanie żalów to, fakt, dowód emocjonalnej pretensjonalności, ale pręgierz za to? A może obrzydliwa przemoc domowa, choćby słowna? Nie, tato Bratkowski nie był tyranem z tych opowieści. Raczej był tym, którzy muszą na bliskich wisieć emocjonalnie. Owszem, męczące to, ale w zemście zepchnąć ze schodów?

Autor jest zbyt inteligentny, by nie widzieć, że małość krzywd popełnianych przez ojca wobec syna jest – bezstronnie patrząc – dojmująco niewielka jak na synowską niechęć.

O co więc tak naprawdę autorowi idzie?

Może o wielką (małą/średnią) Tajemnicę Rodzinną, przemyślnie skrywaną? Tajemnicę o żydowskim pochodzeniu?

„– To właściwie kim chciałbyś być, żeby twoje życie miało sens? – spytał mnie pewnego dnia ojciec. A ja – kompletnie dziś nie potrafię powiedzieć dlaczego – odparłem, że na przykład amerykańskim Murzynem, walczącym o prawa czarnoskórych. Ojciec się na tę odpowiedź ironicznie skrzywił.

– A nie wolałbyś może być polskim Żydem, walczącym tu, na miejscu z antysemityzmem? – zapytał zgryźliwie.

– Bardzo chętnie – odpowiedziałem.

– No to jesteś tym Żydem – poinformował mnie ojciec".

Hm... Teoretycznie – tak. Tajemnica jest tematem.

Jest zresztą widoczny we współczesnym pisarstwie coraz wyraźniejszy ciąg esejów/wspomnień sięgających do czasów PRL i – jakże często – zahaczających o żydowskie korzenie Polski. Monika Sznajderman *Fałszerze pieprzu. Historia rodzinna*, Marcin Wicha i *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*, Marek Bieńczyk i *Kontener*, Zygmunt Sieradzki *Nie płacz, kiedy odjadę*. Teraz Bratkowski.

Ktoś powie, że to moda. Że to właściwie aż męczące. Że właściwie można już mówić o niknącej kategorii Polak pochodzenia nieżydowskiego. A ja powiem tak: jest wspólna nić tych książek – chęć ukrycia rodzinnego pochodzenia nie tyle PRZED DZIEĆMI, ile DLA NICH. Dla ich bezpieczeństwa.

I dzieciaki te – a znam takich opowieści dużo więcej niż opisywanych w książkach – ni stąd, ni zowąd faktycznie dowiadywały się o swych protoplastach dopiero w wieku jako tako inteligentnym. Chciałbym powiedzieć tym, którzy są teatralnie znudzeni: czy widzicie, że żyliśmy w kraju, gdzie głośniejsze westchnięcie o dziadku Szlomie czy babci Ester budziło strach, że TO znowu wróci?

Przepraszam – „żyliśmy"? Użyłem czasu przeszłego? *Mea culpa*. Przecież ten faszystowsko-nacjonalistyczny pysk od kilku lat znowu się unosi. I, obym się mylił, za chwilę znowu matka do ojca powie: – Ale nie mów naszemu dziecku, że jego praojciec żył w sztetlu...

Więc: antysemityzm to temat *Domu...* Bratkowskiego? A może opis PRL oraz podróż do czasów dzieciństwa i młodości? Że sentymentalizm, tęsknota za PRL budowanym nie dzięki władzom, ale pomimo nich? (Tu pyszne anegdoty, jak choćby o Konradzie Swiniarskim i jego dogłębnej lekcji, jak się przygotowywać na *party*). Może to miłość do podwórek, kapsli, szkolnych bijatyk, do krainy, której już nie ma, ale kiedy byliśmy młodzi?

Ja jednak, jak wielu z pokolenia zbliżonego do Piotrowego, czytam tę książkę jeszcze inaczej: poprzez odczytanie kłopotów z rodzicami epoki PRL. Bo kłopoty dzieci-rodzice były i będą, ale w PRL – miały ciut inne smak, podszyty ideolo strachem.

*

*Mieszkam w domu, w którym wszyscy umarli* jest nie tylko świetnie napisane. To nie tylko spójne śledztwo genealogiczne, nie tylko książka o rozrachunkach rodzinnych.

To jest poemat o podróży w głąb siebie.

To opis miłości, z której zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, gdy ktoś/coś przeminie.

Piotr Bratkowski, *Mieszkam w domu, w którym wszyscy umarli*, Wielka Litera, Warszawa 2020.

**Witold Bereś** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Fot. Klaudyna Kozłowska

**Piotr Bratkowski** (ur. 1955) – poeta, krytyk literacki i publicysta. Absolwent LO im. ks. Poniatowskiego w Warszawie oraz filologii polskiej na UW. Debiutował na łamach prasy literackiej w 1974 r. W latach 80. był felietonistą miesięcznika „Literatura" i publikował w czasopismach drugiego obiegu. W latach 90. pracował jako dziennikarz, od 1992 w „Gazecie Wyborczej", później w „Rzeczpospolitej". Od 2002 jest członkiem redakcji „Newsweek Polska", gdzie pełnił między innymi funkcje kierownika działu społecznego i działu kulturalnego.

Ma też za sobą kartę polityczną: w latach 1990–1993 z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" był radnym Żoliborza, a równocześnie członkiem Rady Krajowej Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna (ROAD), zalążka Unii Demokratycznej.

Do jego najważniejszych książek należą tomy poetyckie *Uniwersytet* (1981), *Strefa skażeń* (1983), *Nauka strzelania* (1990), *Wiersze stare i nowe*, (2003) oraz powieść *W stanie wolnym* (1983) i wspomnienia *Mieszkam w domu, w którym wszyscy umarli*.

**Piotr Bratkowski dla „Krakowa":**

Dobry duch mojej książki? Mógłbym, jak pan Bóg przykazał, napisać, że jej dobrymi duchami byli moja żona i mój wydawca. Marta, gdy nadchodziły kolejne fale zwątpienia, naciskała, bym wracał do pisania. Paweł Szwed też naciskał, a przy tym wykazywał anielską cierpliwość, gdy zawalałem kolejne terminy (o ile pamiętam, pierwotnie książka miała się ukazać na początku 2018 roku).

Ale Marta i Paweł to nie żadne duchy, to żywi i życzliwi ludzie. Prawdziwym dobrym duchem był Duch Miejsca. Owszem, kawałeczek napisałem na Warmii, kończyłem pisać na chorwackiej wysepce Pasman. Ale zasadniczo książka została napisana przy tym samym biurku, o które rozwaliłem sobie głowę, gdy miałem trzy lata. A za biurkiem miałem okno z widokiem na stok warszawskiej Cytadeli i park; tym samym widokiem, który towarzyszył mi, gdy w podstawówce odrabiałem lekcje. W Warszawie poczucie zasiedzenia jest czymś egzotycznym – a ja miałem luksus pisania w tym malutkim kawałku świata, gdzie czuję się u siebie.

*

Zły duch? Początkowo, oczywiście, był nim mój świeżo zmarły ojciec. To miała być bardzo brutalna książka o nim, o naszych toksycznych relacjach; zacząłem ją pisać na potężnym wkurwie. Ale pisałem powoli, emocje zaczęły we mnie wygasać, a relacje z ojcem stały się tylko jednym z tematów książki. Choć do dziś ojciec bardzo często mi się śni i zawsze – bez wyjątku – to są koszmarne sny.

*

Byłem w trakcie pisania, gdy ukazały się *Rzeczy, których nie wyrzuciłem* Marcina Wichy. Książka niezwykle podobna tematycznie do mojej i tak dobra, że przestałem wierzyć w sens mojego pisania. Przerwałem pracę prawie na rok; to wtedy najbardziej potrzebna okazała się dla mnie pomoc dobrych duchów i życzliwych ludzi.

# *Mieszkam w domu, w którym wszyscy umarli*

**(fragment)**

Kiedyś mówiono o Polsce: „najweselszy barak w obozie socjalizmu". Ale dziś to smutny kraj, pełen złych emocji – odgórnie zarządzanych, ale przecież z radością wyrażanych przez miliony moich rodaków. „Niech nas nienawidzą, byle się bali", mawiają piłkarscy kibice. Bać się wprawdzie nie boją, raczej się brzydzą lub śmieją, że w środku Europy w XXI wieku zrekonstruowano mentalny Park Jurajski. Ludzie podobni do mnie to już margines odchodzący w niebyt; często czuję się jak Stiepan Wierchowieński wywożony na dwukółce z majątku, w którym wcześniej po starej znajomości pozwolono mu rezydować.

Jadąc więc na tej dwukółce i jednocześnie patrząc na Adriatyk z nieuchronnie zbliżającego się do Zadaru promu, nucę sobie starą piosenkę, napisaną przez pewnego młodego czeskiego ceramika. Po polsku idzie to tak: „Gdy władcę z jego zbrodni piekieł król rozgrzesza, a tłuszcza na kasztanie innowierców wiesza, z tysiąca moździerzy grzmią dziękczynne wiwaty – wszak pierwszym z rycerzy jest sam wielmożny kat".

Na krótko przed powstaniem tej piosenki i tuż po zakończeniu na Bliskim Wschodzie wojny sześciodniowej Władysław Gomułka grzmiał, że każdy Polak powinien mieć jedną ojczyznę. Antoni Słonimski, poeta i wielki szyderca, pytał retorycznie: „Dobrze, ale dlaczego to musi być Egipt?".

Otóż ja się z nikim nie umawiałem, że na stare lata moją ojczyzną ma zostać Czechosłowacja z czasów Gustava Husaka, dla niepoznaki nazywana Polską wstającą z kolan. Tak, przyznaję, jedną z wakacyjnych przyjemności było sprawdzanie w internecie, jaka jest procedura zrzeczenia się obywatelstwa. Ile kosztuje kupno obywatelstwa innego kraju (cholerna drożyzna w tym segmencie rynku) i jakie niedogodności mogą wynikać ze statusu bezpaństwowca.

Ale wiem, że to tylko taka zabawa. Przecież nie będę dokładał sobie spraw do załatwienia, szkoda sił i czasu.

Dlatego dzisiaj, kiedy jedziemy do ojczyzny, z czystym sumieniem powtarzam: „Chce mi się wyć".

Nie zawsze mi wolno mówić takie rzeczy. Przecież nie raz i nie dwa mam ochotę powiedzieć: „Koszmarnie się dzisiaj czuję, jestem w wyjątkowo kiepskiej formie". Albo: „Nie mam już na to wszystko siły, nic mi się nie chce". Bywają też dni, kiedy zastanawiam się, czy aby nie mam marskości wątroby i raka prostaty – sprawdzać tego rzecz jasna nie będę, bo się boję. A czasem rozważam sobie, czyby nie strzelić samobója, choć prawdę mówiąc, robię to bez wielkiego przekonania, zwłaszcza odkąd regularnie zażywam oleum konopne. Wiem przecież, że Marta czuwa. I gdy tylko wychylę się przy niej z takim depresyjnym tekstem, natychmiast odpowie sakramentalnym i kończącym wszelką debatę: „Robisz się taki sam jak Janek".

Janek to mój zmarły i zarazem wiecznie zmartwychwstający ojciec. „Nie bądź taki jak Janek!" – ten nakaz towarzyszy mi od licealnych lat.

Więc na co dzień zwierzam się tylko kotom, a raz na kilka tygodni – psychiatrce. Ale dziś jest inaczej, dziś jest święto, wolno mi jęczeć. Jedziemy przecież do tego coraz bardziej idiotycznego kraju, a Marta nie chce tam jechać jeszcze bardziej niż ja. Kiedy wleczemy się przez tradycyjnie rozkopaną Częstochowę, która nagle rozrasta się od krańców Śląska prawie po Łódź, klnie prawie bez przerwy.

Tak, kiedy wjeżdżamy do Warszawy, a zwłaszcza gdy skręcamy z Powązkowskiej w Krasińskiego, wjeżdżając na Żoliborz, zaczynamy się czuć trochę lepiej. Moje miasto jeszcze się broni i chwilami – choć słabo rozumiem dumę – jestem z tego dumny.

Może więc po prostu trzeba się zaszyć w domu, w którym wprawdzie wszyscy umarli, ale za to z okna widać Cytadelę i park? Wychodzić tylko do któregoś z kilku znajomych sklepów po zakupy i do kiosku z papierosami pana R.? A oswojone żoliborskie rewiry opuszczać tylko po to, by zobaczyć dzieci i wnuki? Tyle że oni przecież podchodzą coraz bliżej, ze wszystkich stron. A ja mam sześćdziesiąt cztery lata i wcale nie chcę umierać w takiej właśnie coraz bardziej zdurniałej i ugnojonej Polsce. Ich Polsce. Tej Polsce.

Wypisuję się stąd.

# Portret czuły i zwielokrotniony

**Tekst:** Maria Malatyńska

**Kamienica przy ul. Krupniczej 22. To stąd twórcy wychodzili potem na całą Polskę: ukształtowani, barwni i „geniuszem naznaczeni". W swoim pierwszym spojrzeniu film stał się rzeczywiście portretem szarej, dosyć ponurej i brzydkiej kamienicy, która przez blisko pół wieku była domem literatów. Ale jest ten dokument również portretem zbiorowym tych wszystkich, którzy przewinęli się przez liczne mieszkania trzypiętrowego domu, zarówno te od frontu, jak i mieszczące się w jego dwóch oficynach.**

A tych ludzi było stu! Dzisiaj wszystkich tych mieszkańców można odnaleźć na kartach historii polskiej literatury powojennej i nie ma w tym ani odrobiny przesady!

To dlatego film stał się również portretem pewnej epoki literackiej, która obrosła legendą. Wszystko w tym obrazie jest: miejsce akcji, ludzie, epoka, czas. Co zrobić z tak zwielokrotnionym portretem? Rozsupłać go pojedynczo? Przebadać sposobem? Prześwietlić? Uporządkować we wspominaniu?

Tę ostatnią metodę przyjęli znakomici twórcy dokumentu. Ten obraz, jak każdy film, ma oczywiście swojego reżysera, jest nim Marek Gajczak, operator pierwszych filmów Małgorzaty Szumowskiej. Ale tu, choć dobry i sprawny, świetnie uzupełniający narrację fragmentami starych dokumentów – nie ma takiego pola twórczego manewru, jaki posiadają zwykle reżyserzy. Bo tu, ze względu na porządek akcji i sam pomysł filmu, a także jego temperaturę uczuciową – liczy się głównie scenarzysta, zresztą również współnarrator całości. To specyfika tego pomysłu. Tym scenarzystą jest Jan Polewka, krakowski scenograf, najbardziej znany jako były, długoletni dyrektor Teatru Lalki i Maski „Groteska". Drugim jest Jerzy Kisielewski, radiowy dziennikarz z Warszawy, syn Stefana Kisielewskiego, ostentacyjnie antykomunistycznego pisarza.

Oni dwaj, synowie swoich ojców, są „filarami" tego dokumentu. Trzymają jego konstrukcję i są dowodem na autentyzm wspomnień. Bo dobrze zostało to pomyślane: Adam Polewka i Stefan Kisielewski mieszkali w domu przy Krupniczej wiele lat, ich synowie tu się urodzili, Jan w roku 1945, a Jerzy – w 1951, tu się wychowali, a Jan Polewka mieszka tu nawet bez przerwy do dziś, choć kamienica po przejściach administracyjnych, własnościowych i finansowych dawno przestała być domem literatów. Ojcowie, Adam Polewka i Stefan Kisielewski, byli wówczas przeciwnikami politycznymi, wielokrotnie dyskutowali i kłócili się zawzięcie, choć potrafili, jak mówią synowie, serdecznie i normalnie ze sobą rozmawiać, a także, prywatnie, mieć do siebie pełne zaufanie. Jan Polewka i Jerzy Kisielewski nie mają takich dylematów: przyjaźnią się od lat. Jest więc rzeczą naturalną, że musieli tu razem wystąpić.

Ale tytuł tego filmu ma swoją drugą, ważną część: „*... czyli kartoteka zebrana*", a każdy wie, że słowo „kartoteka" należy od zawsze i na zawsze

do Tadeusza Różewicza. Różewicz też był mieszkańcem tego domu. Mieszkał w Krakowie dosyć krótko, między swoim czasem w Gliwicach i ukochanym miejscem na całe życie, czyli Wrocławiem. W Krakowie nie czuł się dobrze. Mówił, że pokój ma zbyt ciemny, zbyt niewygodny. Ale właśnie ten pokój, prosty, surowy, z metalowym łóżkiem i skromnym stołem stał się potem podstawową scenografią jego słynnej *Kartoteki rozrzuconej* – nowatorskiego dzieła teatralnego, w którym liczą się tylko „didaskalia". To tam właśnie „pokój trwa", a „do niego" przychodzi cały świat teatralny poety. Nasi przewodnicy po domu literatów zachowali ten porządek: wchodząc do swojego domu, prowadzą nas na samą górę, do pokoju Różewicza.

Film ma w sobie siłę obrazu i ciepło opowieści.

I to wszystko jest – ale ten film zwycięża tu, bo jest... obrazem. Krupnicza czekała na swój obraz. A to staje się niespodziewanie najważniejszym walorem tego portretu.

*Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana,* reżyseria: Marek Gajczak, scenariusz: Jerzy Kisielewski i Adam Polewka, premiera: czerwiec 2020, producent: Krakowski Klaster Filmowy.

**Maria Malatyńska** – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Fot. archiwum producenta

**Marek Gajczak** (ur. 1966) – operator filmowy, montażysta, scenarzysta, reżyser. Absolwent Łódzkiej Szkoły Filmowej na wydziale operatorskim. W 2000 r. pracował przy *Szczęśliwym człowieku* Małgorzaty Szumowskiej. Za krótkometrażowy film fabularny *Antychryst* (2002) Adama Guzińskiego na Festiwalu European Short Film w Stuttgarcie-Ludwigsburgu (2003) otrzymał nagrodę za zdjęcia (w 2002 film ten zdobył Grand Prix na MFF w Bilbao). W 2006 r. zadebiutował jako reżyser i scenarzysta w pełnometrażowym filmie fabularnym *Pod powierzchnią*. W ostatnich latach zrealizował zdjęcia do filmów: *Oszukane* (2013), reż. Marcin Solarz, i *Bokser* (2012), reż. Tomasz Blachnicki, oraz dokumentów: *Bartoszewski. Droga* (2011), reż. Artur „Baron" Więcek, *Boris Dorfman – A Mentsh* (2014), reż. Uwe i Gabriela von Seltmann.

**Marek Gajczak dla miesięcznika „Kraków":**

*Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana* jest portretem zbiorowym środowiska literackiego skupionego wokół domu literatów przy ulicy Krupniczej w Krakowie. Niemniej gdybym miał wskazać jednego z nich, byłby to bez wątpienia Stefan Kisielewski. Wpisał się na stałe w historię tego domu nie tylko jako człowiek o wyraźnych antykomunistycznych poglądach, których nigdy nie ukrywał, ale także jako postać obdarzona niezwykłym poczuciem humoru, wokół której narosła niezliczona liczba opowieści i anegdot.

*

Trudno jednoznacznie wskazać, kto był złym duchem Krupniczej. W dużym uproszczeniu można przyjąć, że był to system komunistyczny. W domu mieszkali literaci zarówno o poglądach prawicowych, jak i lewicowych. Potrafili jednak żyć razem, pić wódkę, prowadzić spory ideologiczne, dyskutować, ale też wspierać się, kiedy zaistniała taka potrzeba. Dopiero sytuacja polityczna po stanie wojennym w 1981 roku doprowadziła do takiego podziału w środowisku literackim, z którego to konfliktu Krupnicza już nigdy się nie podniosła.

*

Są dwie pozycje biograficzne, które bardzo cenię. Pierwsza to biografia Władysława Broniewskiego *Miłość, wódka, polityka* autorstwa Mariusza Urbanka. Książka, która w przejmujący sposób pokazuje tragiczne losy bohatera, stawiając go w zupełnie nowym świetle. Przyzwyczailiśmy się myśleć o Broniewskim jako czołowym poecie w służbie komunizmu, autorze *Słowa o Stalinie*. Dzięki książce Urbanka poznajemy Broniewskiego jako człowieka niejednoznacznego, uwikłanego w skomplikowany system zależności politycznych i uczuciowych, którego historia oceniła bardzo niesprawiedliwie i brutalnie. Urbanek swoją książką przywraca mu właściwe miejsce i zwraca tę część życiorysu, której pozbawił go PRL.

Druga pozycja to autobiografia *Pokonać mur* Mariny Abramović. To książka, która pokazuje niezwykłą siłę i pasję, z jaką artystka tworzyła swoją sztukę, nieustannie przekraczając bariery własnych ograniczeń. Bez kompromisów i bez udawania, nawet za cenę samotności, bólu czy zagrożenia życia i zdrowia.

# *Dom literatów, czyli kartoteka zebrana*

**(fragmenty ścieżki audio/wideo)**

**Plansza:**
My w Krakowie mieszkamy wszyscy na tej samej ulicy
i jesteśmy wszyscy nieprawdopodobni cynicy,
do krwi cynizm wlazł
i cynizm męczy nas
oj!
Pieskie życie, życie, życie, życie, życie, życie
pieskie życie, życie, życie
życie cyników
Konstanty Ildefons Gałczyński
(...)

**Aniela Kott. Mieszkanka Domu literatów. Nagranie archiwalne/1994 r.**
Mieszkał tutaj Polewka i mieszkał równocześnie Kisielewski, no więc były takie różne spięcia pomiędzy nimi, ale to nie było takie tragiczne. No, znaczy, jest... Mieli... Tym bardziej że zabawność, na przykład jeśli chodzi o Kisielewskiego i Polewkę, była taka, że wprawdzie oni się ze sobą spierali i by się zdawało, że się nienawidzą, to synowie szalenie się przyjaźnili.
**Jerzy Kisielewski:** I tutaj w lewo w Krupniczą.
**Jan Polewka:** Witaj w domu.
**Kisielewski:** Ja pamiętam, że tu były takie wahadłowe drzwi, z szybkami, po drodze.
**Polewka:** Były, pomiędzy, i tu.
**Kisielewski:** To oficjalne wejście.
**Polewka:** Tu było główne oficjalne jak były spotkania z pisarzami, to tutaj. A tu są zdjęcia, gdzie nie było tej ściany i szatnia Pani Loli.
**Polewka:** Tadeusz Kwiatkowski prawdopodobnie osobiście odkrył ten dom [tak], że będzie pusty, bo Niemcy mieli hotel, więc jak uciekali, został pusty dom. Przejęli to na chwilę oficerowie radzieccy, ale była to szansa, i na pewno nie od władz to wyszło, tylko jakby oddolnie, a jak wiemy, w Krakowie było mnóstwo wtedy bezdomnych pisarzy, no bo War-

szawa zburzona, Lwów już stracony i wszyscy dosłownie w momencie, jak dostali zgodę, to był luty–marzec ’45, to tak w trzy tygodnie, w miesiąc ten dom się wypełnił.

**Tadeusz Kwiatkowski. Pisarz, satyryk. Nagranie archiwalne 1994 r.**

Ktoś powiedział, nazwał ten dom czworaki literackie i to tak zostało. A potem to się nazywało tak powszechnie, dość ironicznie, Dom Wieszczów. I z tym jest związana taka historia, że ktoś stanął na ulicy i krzyknął „Wieszczu!” i wtedy się otwarły wszystkie okna na ulicy i ukazały się twarze naszych kolegów.

**Polewka:** Alkohol lał się [ale może dlatego?] w tej stołówce literatów może dlatego, no bo oni byli nauczeni, że tam po wojnie w ogóle się piło. Długi czas to były wyłącznie ciężkie trunki, czysta wódka. Opowiadania często całonocne ktoś ciągnął i też w tym klimacie nasz ojciec prowadził dyskusje, dialogi ze Stefanem Kisielewskim.

**Mariusz Urbanek:** Z jednej strony komuniści, z drugiej strony katolicy, nie pozagryzali się nawzajem? Przez pierwsze lata oni mieli trochę ważniejszych problemów. Skończyła się wojna, trzeba było te sześć lat jakoś odrobić. Przede wszystkim ucieszyć się z tego, że skończyła się wojna.

*

**Kisielewski:** To była... *Traktat o językoznawstwie*..., *Rzecz o językoznawstwie* Stalina, która się ukazała i w stołówce literatów spotkanie, oczywiście, tam wszyscy jak zwykle o pewnej porze, no i ojciec w pewnym momencie powiedział, że Stalin idiota, no z językoznawstwa był. No i jest problem i to właśnie świadczy o krakowskiej kulturze politycznej i o szczególnym klimacie Krupniczej 22. Bo co się dzieje? To przecież twój ojciec wpadł na pomysł chyba [tak], że trzeba zrobić sąd koleżeński.

**Polewka:** Adam Polewka dokładnie w tym momencie był prezesem chyba przez dwa lata. Oddajmy, powiedział, głos koledze Kisielewskiemu, no i kolega Kisielewski przystąpił do pewnej samokrytyki.

**Stefan Kisielewski** (nagranie archiwalne): No i ja się broniłem, że Stalin wygrał wojnę, głupi nie jest, a gadać wolno wszystko. Wolno psu na Pana Boga szczekać, szczekano na Napoleona, na Piłsudskiego, można i na Stalina. No i potem Polewka mówi: „Ja zwracam kolegom uwagę, że samokrytyka kolegi Kisielewskiego »wolno psu na Pana boga szczekać« jest daleko idąca. Ustawił siebie, ustawił Stalina według swoich pojęć. No, wobec tego, skazano mnie tylko na jakieś zawieszenie i że nie wolno mi chodzić do stołówki przez ileś miesięcy. No i za miesiąc spotykam Polewkę, a on mówi: „No co, wstąpimy na jednego?”. Ja mówię: „Nie mogę!”. Pyta: „Dlaczego?”. Ja mówię: „Pan mi zabronił!”. „A ze mną to możecie”.

*

**Jan Polewka:** To był jeden taki nieustanny szmer maszyn do pisania. To była muzyka tego domu. Wiemy, że Andrzejewski napisał *Zaraz po wojnie*, czyli *Popiół i diament*. Wiemy, że Kruczkowski napisał *Niemc*ów. Wiemy, że Otwinowski napisał *Wielkanoc* i wiemy, że Sławomir Mrożek zadebiutował z tworem *Policja* w ’58 roku, który napisał na Krupniczej.

**Jerzy Kisielewski:** No, Gałczyński, długa lista.

**Jan Polewka:** No, Gałczyński to wtedy okres Zielona Gęś przecież, to też [tak] to też było to.

**Mariusz Urbanek:** Cały „Przekrój”, czyli *Listy z fiołkiem*, też tutaj powstawały.

**Jan Polewka:** Jakby te utwory wszystkie zebrać, no to niezła biblioteka byłaby z tego przez te pół wieku.

*

**Monika Majewska-Wysogląd (**z domu **Kwiatkowska)**

Część wstawała na kacu, bo musiała wstawać na kacu, i potem znowu tego samego dnia wieczorem, znowu się zaczynał kolejny bankiet. Kiedy oni znajdowali czas i zdrowie, po prostu normalne zdrowie do tego, żeby pisać takie świetne rzeczy, prawda. Niektóre były genialne. Gałczyński przecież geniuszem był.

**Fragment wiersza czyta K.I. Gałczyński** (nagranie archiwalne)

*Nocne WYPYCHANIE PTAKÓW,*
*nocne KURSY STENOGRAFII,*
*nocny TEATR KRÓL SZLARAFII,*
*nocne GORSETY KOLUMBIA,*
*nocny TRAMWAJ, nocna TRUMNA,*
*nocny FRYZJER, nocny RZEŹNIK,*
*nocny chór męski CZEŚĆ PIEŚNI,*
*nocne SERY, nocne MLEKO,*
*nocne TAŃCE WIECZYSTEGO,*
*nocne DZIŚ PARÓWKI Z CHRZANEM,*
*nocne TOWARY MIESZANE,*
*nocna strzałka: PRZY KOŚCIELE!*
*nocny szyld: TYBERIUSZ TROTZ,*
*słowem, nocni przyjaciele,*
*wieczny wiatr i wieczna noc.*
K.I. Gałczyński, *Zaczarowana dorożka*

**Kwiatkowska:** To był chyba jedyny twórca, który mówił swoją twórczość tak jak dojrzały aktor.

**Gałczyńska:** On też był szczęśliwy, że przeżył, że wrócił, że wszystko tak się cudownie układa, że ma ten „Przekrój”. Nagle po tych latach milczenia w nim się otworzyła taka bania z poezją.

**Kisielewski:** A jak nie pisał, to wtedy się trochę alkoholizował, nawet nie trochę. I stał taki odęty przy bufecie, nic nie mówił, i przyszedł z siwą brodą stary profesor, a tam przy bufecie była taka odbita, na przybitce pisana, na maszynie, karta, (...) patrzy i pyta: „Przepraszam bardzo, jaka dziś jest zupa? Bo nie mogę odczytać, jaka dziś jest zupa?”. Gałczyński na to: „Chujowa, drogi panie, chujowa”.

# Poeci listy piszą

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec/jurorka konkursu **Zdjęcia:** Ryszard Kornecki/za wiedzą i zgodą Starego Teatru

***Kochana Wisełko, Najdroższy Zbyszku* to błyskotliwa, teatralna opowieść o przyjaźni Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta.**

Wcale się nie dziwię, że Tadeusz Nyczek postanowił napisać scenariusz przedstawienia na podstawie listów Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta. Domyślam się, że już po pierwszej lekturze dostrzegł w nich nie tylko oczywisty walor literacki, ale też sprzyjającą scenicznym dialogom formę, teatralny potencjał ukryty pod płaszczykiem inteligentnej gry, przejawiającej się w absurdalnym poczuciu humoru i autentycznej czułości, którą obdarzali się autorzy korespondencji. W ich role, w spektaklu *Kochana Wisełko, Najdroższy Zbyszku*, wyreżyserowanym przez Mikołaja Grabowskiego w Starym Teatrze, wcielili się Katarzyna Krzanowska i Jacek Romanowski.

Aktorzy już na samym wstępie zastrzegają, że nie zamierzają udawać autentycznych postaci. Wyłaniają się z ciemności niczym duchy przywołujące niegdysiejsze wydarzenia. „Szanowny Kolego, przygotowujemy w »Życiu« rozkładówkę poświęconą poetom, których debiuty książkowe ukażą się niebawem. Zamieścimy kilka utworów każdego z tych poetów z króciutkim omówieniem dokonanym przez krytyków lub wybitnych starszych poetów. Was chciałby omówić kol. Błoński. Prosimy Was: przyślijcie Błońskiemu kilkanaście swoich utworów (na adres »Przekroju« najlepiej) w tym dobrze by było, gdyby znalazło się parę wierszy jeszcze niedrukowanych. Ponieważ czasu niewiele – prosimy o jak najszybsze skontaktowanie się z Błońskim. Łączę serdeczne pozdrowienia. Wisława Szymborska” – tak 24 listopada 1955 roku ówczesna redaktorka „Życia Literackiego” rozpoczęła korespondencję z ważnym dla niej poetą Zbigniewem Herbertem. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że ich wymiana listów będzie trwała 40 lat i stanie się czymś w rodzaju literackiego, a może nie tylko, flirtu.

Mikołaj Grabowski w sposób prosty, czysty wydobył z niego subtelne nuty, lekkość i błyskotliwość, skupiając się na prowadzeniu aktorów, pomiędzy którymi przepływa świetna energia. Dzięki niej z finezją razem z reżyserem przeprowadzają nas przez kilka etapów poetyckiej i nie tylko poetyckiej przyjaźni.

Jednym z nich było stworzenie fikcyjnej postaci Frąckowiaka. Opowieść o nim to jeden z najzabawniejszych momentów przedstawienia, pełen ironii i fantastycznego purnonsensowego dowcipu. Otóż pewnego dnia Wisława Szymborska dostała przydział na telefon, co w tamtych czasach nie było oczywistością. Nie mogła się powstrzymać i od razu podzieliła się szczęściem z przyjacielem, który, traf chciał, właśnie przebywał w Krakowie. Herbert pobiegł do mieszkania poetki, by wypróbować owo cudo techniki. A wypróbowywanie polegało na tym, że poprosił Wisławę o notesik z telefonami krakowskich literatów i zaczął do nich dzwonić. „Moje nazwisko nic panu nie powie, nazywam się Frąckowiak, przyjechałem z Jasła i mam

przy sobie walizę z wierszami, to jest dwa tysiące sonetów i chciałbym bardzo prosić, żeby pan zechciał je przeczytać i ocenić" – mówi do słuchawki Jacek Romanowski, dając nam szansę wyobrazić sobie, jaki popłoch taka propozycja musiała wzniecać w domach pisarzy, którzy na gwałt wymyślali wyjazdy, choroby i inne życiowe kataklizmy, niepozwalające zagłębić się im w proponowanej lekturze.

Ów Frąckowiak nie znalazł przychylnego recenzenta, ale za to doprowadził do łez, oczywiście ze śmiechu, Szymborską, stając się później w słanych do niej listach *alter ego* Herberta. Widać, jak Katarzyna Krzanowska, zapalając kolejnego papierosa, czerpie przyjemność z tej literackiej gry i jak ważna dla jej bohaterki jest ta przyjaźń. Tym boleśniejszym zgrzytem okazuje się ostatni list, jaki wysłał do poetki Herbert, kiedy została laureatką Nagrody Nobla. Chłód telegramu jest naprawdę przenikliwy. Składa się on z dwóch słów: „Serdeczne gratulacje", co świadczy o zazdrości, jak dopadła pisarza. Szymborska odpisuje mu jak zwykle z wyczuciem: „Zbyszku, Wielki Poeto! Gdyby to ode mnie zależało, to Ty byś teraz męczył się nad przemówieniem... Wisława".

To zdanie rozładowuje zaistniałe napięcie. W finale Katarzyna Krzanowska i Jacek Romanowski schodzą ze sceny jako dwójka starych, podtrzymujących się nawzajem ludzi. Tak jak Szymborska z Herbertem podtrzymywali się na duchu przez całe życie w wysyłanych do siebie listach, które w żaden sposób, tak jak ich autorzy, nie pasowały do PRL-owskiej rzeczywistości.

Stary Teatr, *Kochana Wisełko, Najdroższy Zbyszku*, scenariusz Tadeusz Nyczek, reżyseria, dramaturgia i opracowanie muzyczne Mikołaj Grabowski, reżyseria światła Michał Grabowski, występują: Katarzyna Krzanowska i Jacek Romanowski

*

Mikołaj Grabowski jest uznanym od lat reżyserem i dyrektorem teatrów. W Krakowie prowadził Teatr im. J. Słowackiego i Stary Teatr. W latach 60. ubiegłego wieku angażował się w działania awangardowe w zespole MW2, dla którego pisał Bogusław Schaeffer. Grabowski z powodzeniem występował w sztukach tego dramaturga, w tym w głośnym *Scenariuszu dla trzech aktorów*. Krytycy docenili szczególnie takie przedstawienia reżysera jak *Opis obyczajów* Jędrzeja Kitowicza w Teatrze STU, *Trans-Atlantyk* Witolda Gombrowicza w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie i w Teatrze Telewizji oraz *Proroka Ilję* Tadeusza Słobodzianka w Teatrze Nowym w Łodzi.

*

Katarzyna Krzanowska, aktorka Starego Teatru, która w spektaklu *Kochana Wisełko, najdroższy Zbyszku* wciela się w postać Wisławy Szymborskiej – dla „Krakowa":

– Uwielbiam biografie, właśnie jestem w trakcie lektury *Leonarda da Vinci* Waltera Isaacsona. Jednak poprzednia biografia, którą miałam w ręce, czyli *Wanda: opowieść o sile życia i śmierci. Historia Wandy Rutkiewicz* autorstwa Anny Kamińskiej zrobiła na mnie większe wrażenie, bo ostatnio fascynują mnie ludzie, którzy coś ryzykują. Kilkakrotnie obejrzałam świetny hollywoodzki film *Everest*, podczas którego zastanawiałam się, co tak naprawdę ciągnie ludzi w góry, na czym polega ta pasja. Po przeczytaniu biografii Wandy Rutkiewicz zrozumiałam, że wspinaczka jest jak narkotyk. Tak mocny, że himalaiści godzą się z tym, iż dziś są, a jutro może ich nie być.

**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

# Improwizator radykalny

**Tekst:** Krzysztof Burnetko/juror konkursu

**To przede wszystkim opowieść ważnej postaci ostatnich trzech dekad dziejów polskiego jazzu. Ba, współautora rewolucji, jaką była działalność sceny yassowej. Ale jest też o rocku, muzyce etnicznej i filmowej. A wreszcie kontrkulturze, kulturze i polityce.**

Taki choćby epizod: „Zagraliśmy fajny koncert ze Stańką w Cyganerii, chyba w 1992 roku... Fajny, niefajny, w każdym razie Tomkowi tak się spodobało, że postanowił z nami grać. Tak jak później z Simple Acoustic Trio — czyli chciał mieć swój band. Ale trafiła kosa na kamień. Stańko przyjechał do Gdańska i przyniósł swoje utwory. Bardzo proste bossy, nawet dla mnie. Cenię wujka Tomka, ale te tematy były po prostu straszne. Tymon je gra, a Tomek mu mówi: »Ty, Tymon, idź tam bardziej, graj bardziej straightaheadowo...«. I Tymon tego nie wytrzymał. »Wiesz co, Tomek – mówi – nie idą mi te utwory. Zagrałbyś mój?«. »No to daj«. I Tymon dał mu najprostszy, taki chromatyczny kawałek, chyba *Ordre Omnitonique*. To było okropne. Okazało się, że Tomek nie bardzo może go przeczytać. Gimnastykuje się, lecą kurwy, shity... W końcu Stańko mówi, że nie. Że zrywamy trasę. Media były poruszone (*śmiech*)".

Mikołaj Trzaska, bo to on jest autorem tego wspomnienia o perypetiach yassowej grupy Miłość z jednym ze światowej klasy trębaczy jazzowych, w podobnym stylu – z humorem, autoironią, swadą, szczerością i bezkompromisowością, ale i ciepłem oraz nutą melancholii – mówi nie tylko o muzyce. Także o dorastaniu w Gdańsku lat 70. i 80. ubiegłego wieku – podwórkowych bijatykach, strajku w Stoczni, demonstracjach i imprezach (dzisiaj powiedzielibyśmy: domówkach) w stanie wojennym. O znaczeniu The Beatles i odkrywaniu jazzowych nut na płytach King Crimson oraz w dźwiękach trąbki imitującej rżenie konia w czołówce telewizyjnego programu *Zwierzyniec* Michała Sumińskiego. O słynnych performansach trójmiejskiego Totartu i o pracy przy zdzieraniu farby z przeznaczonych do remontu domów w Norwegii, by zdobyć pieniądze na wymarzony saksofon. O odkrywaniu żydowskich korzeni. O dysleksji i chorobie afektywnej dwubiegunowej. O przyjaciołach – wśród nich Marcinie Świetlickim i Andrzeju Stasiuku. A wreszcie o życiu codziennym muzyka i wyzwaniach rodzinnych.

Ale naturalnie wątkiem wiodącym u tego saksofonisty-samouka, który od lat próbuje najtrudniejszego jazzu (niektórzy nazywają go „improwizatorem radykalnym"), jest muzyka.

Fascynująca jest choćby właśnie historia jego dźwiękowej edukacji. W 1988 roku zaczął studia na wydziale malarstwa gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych, ale że równocześnie rosła w nim fascynacja jazzem lat 60., zwłaszcza poczynaniami Johna Coltrane'a i Ornette'a Colemana, więc podjął – samodzielną! – naukę gry na saksofonie altowym (z czasem sięgnął też po saksofon sopranowy, klarnet basowy, a końcu saksofon barytonowy). Jako saksofonista występował w rockowo-awangardowych akcjach trójmiejskiego podziemia artystycznego. A co najważniejsze: współtworzył (między innymi z Tymonem Tymańskim, Leszkiem Możdżerem, Jerzym Mazolewskim Mazzolem, Maciejem Sikałą i Jackiem Olterem) kolejne składy Miłości – najważniejszego zespołu ówczesnej jazzowej rewolucji, czyli tak zwanej sceny yassowej. W 1991 roku porzucił uczelnię, by skupić się na muzyce. Założył Łoskot, z którym zadebiutował na festiwalu Gdynia Summer Jazz Days. W tym okresie grał między innymi z Lesterem Bowiem. Rozpoczął też współpracę z Marcinem Świetlickim, wygrywając improwizacje do recytacji wierszy. Z nim, Tymańskim, Olterem oraz Milo Kurtisem i Robertem Brylewski stworzyli też rockowy The Users. Inicjatywy literacko-muzyczne podejmował także z Andrzejem Stasiukiem i Jurijem Andruchowyczem. Zaczął występować z muzykami żydowskimi, brytyjskimi, skandynawskimi, francuskimi. Tworzył też muzykę filmową – choćby do produkcji Wojciecha Smarzowskiego.

Jest o czym barwnie gawędzić – i czytać.

PS Co do dalszych relacji ze Stańką, to: „Podczas tej kłótni Stańko krzyczał na Tymona. Tymon na to, że nie podobają mu się Stańki kawałki i nie będzie ich grał. »Co?! Żebyś w ryj nie zaliczył, bracie!«. Ale Tymon był duży, a Tomek niezbyt. »Chuj ci w dupę, *man*!«, mówił tylko, bo był wściekły. (...) Kiedy po wielu latach zobaczyliśmy się ze Stańką, powiedział: »Kurczę, wiesz co? Jednak ten Tymański to jest mocny cat. Że wyście mi się wtedy nie dali... Macie jaja«. Dla mnie Stańko zawsze był kimś, kto być może w polskim jazzie zrobił najwięcej. Był dzierżawcą linii Komedy i utrzymał — uwaga! (*śmiech*) — narodową, polską linię grania. Naprawdę czuć, że to jest ten korzeń. (...) Tomek chciał być gwiazdą – i nią został. Ale ja z zupełnie innych powodów go szanuję. Chociaż za to też – że był gwiazdą, że przestał być »jazzem«, a został Stańką".

*Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia. Rozmawiają Tomasz Gregorczyk i Janusz Jabłoński*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Fot. z archiwum wydawcy

**Tomasz Gregorczyk** – dziennikarz i krytyk muzyczny. W Programie II Polskiego Radia prowadzi cykle *Czas na jazz* i *Rozmowy improwizowane*. Jego (i Janusza Jabłońskiego) audycja *Improwizator* w 2011 r. została nominowana do Prix Italia. Publikował w serwisach „Diapazon", „Independent", „Kultura Enter", „Jazzarium" oraz w pismach „Ruch Muzyczny", „Glissando", „Twój Blues" i „Jazz Forum". Jest felietonistą poświęconego muzyce klasycznej miesięcznika „Muzyka w Mieście" i członkiem zespołu kwartalnika kulturalnego „Fragile". Mówi o sobie: „W pierwszych klasach szkoły podstawowej byłem jazzowym purystą, ale na szczęście ten okres mam już za sobą... Dzieciństwo upłynęło mi przy dźwiękach Milesa Davisa, Art Ensemble of Chicago oraz Wiaczesława Ganielina. Opowiadam o muzyce w Polskim Radiu, piszę (nie tylko o muzyce), gdzie tylko się da. Usiłuję przekonywać, że muzyka nie jest »światem osobnym«, ale łączy się z otaczającą nas rzeczywistością bardziej, niż nam się wydaje. Cenię sztukę głębokiej analizy i interpretacji, ale preferuję klasyczną dziennikarską metodę – zapytać u źródła".

**Janusz Jabłoński** (wiek 30+) – dziennikarz muzyczny. Jego teksty ukazywały się w „Tygodniku Powszechnym", „Ruchu Muzycznym", „Jazz Forum", „Glissandzie" i „Muzyce w Mieście". Od 2008 roku w radiowej Dwójce prowadzi regularnie audycje o jazzie i muzyce improwizowanej. Pracuje w Dziale Promocji i PR Wydawnictwa Literackiego

**Tomasz Gregorczyk i Janusz Jabłoński dla „Krakowa":**

Dobrym Duchem bohatera była ona. Bo on się bał, a ona mówiła: „Spoko, damy radę". Od połowy lat 90. Ola Trzaska, żona Mikołaja, jest jego życiową kotwicą. Wsparcie, kiedy brakowało na czynsz, zachęta, kiedy brakowało odwagi, dziesiątki wspólnie wydanych płyt, ale również konflikty i kryzysy, przez które razem przeszli – związek lekko oderwanego od rzeczywistości artysty i twardo stąpającej po ziemi konkreciary nie mógł się udać. A jednak.

*

A Złym Duchem bohatera był Duch Rywalizacji – z ojcem, z kolegami z zespołu, z samym sobą. Niszczący, nakładający trudny do udźwignięcia ciężar. Dopiero po latach Mikołaj Trzaska może powiedzieć, „że już nikomu nic nie udowadnia. To naprawdę się skończyło". Pytanie, czy skończyłoby się, gdyby jednak nie postawił na swoim i udowodnił: ojcu, że nie skończył, podgrywając do kotleta w knajpie, kolegom, że potrafi poradzić sobie bez nich, sobie, że mimo łatki amatora jego muzyka została doceniona przez największych? I czy zły duch nie był jednocześnie dobrym, zmuszając Trzaskę do wysiłku i konsekwencji?

*

Do kanonu dzieł biograficznych ostatnich lat przejdą *Bogowie* Łukasza Palkowskiego. Bo film ten, jak to film, jest ciekawszy niż rzeczywistość. Palkowski opowiedział o Zbigniewie Relidze lepiej, niż opowiadał o sobie sam Religa. Ale rzeczywistość – ta nieciekawa, niespektakularna, niemieszcząca się w legendzie i w opowieści – jakoś z tego obrazu i tak wyziera. Co też czyni go tak wielkim filmem.

# *Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia. Rozmawiają Tomasz Gregorczyk i Janusz Jabłoński*

**(fragmenty)**

**Tomasz Gregorczyk i Janusz Jabłoński: Improwizacja, improwizowany, improwizowanie – tyle o tym mówimy, a właściwie kogo to obchodzi, czy coś jest improwizowane czy nie? Dlaczego to jest ważne? Na czym polega ten fenomen z punktu widzenia muzyka?**
Mikołaj Trzaska: Na tym, że jestem nieprzygotowany. Całe mistrzostwo tej sytuacji polega na tym, że się nie przygotowuję. To coś się zaraz wydarzy, zaraz będzie wydarzone, razem się wydarzamy – jakoś tak. (*śmiech*) Oczywiście do tego, żeby być dobrym improwizatorem, przygotowuję się całe życie. Chodzi raczej o to, że świat podlega ciągłej przemianie, a my, muzycy, próbujemy być na to gotowi.
**Co czujesz na scenie, kiedy jest naprawdę dobrze?**
Że muzyka jest w ślizgu, unosi się i nic mnie już nie łączy z deskami sceny. Czasem widzę, że nie tylko ja się unoszę, ale i publiczność leci ze mną.

Tu, w Gdańsku, mamy możliwość patrzenia w przestrzeń, a to powoduje, że czujemy się tak, jakbyśmy byli ciągle przed podróżą. (...) Każdy początek koncertu jest takim momentem, w którym decydujemy się na odcumowanie statku. Kolos rusza i już, już płyniemy, trochę się chybocząc. Zaraz uderzy w nas pierwsza fala odboja, może zawieje wiatr albo zajdzie słońce, może będzie trudniej. Ale jeśli to jest ta wspólnota sił i działania, to nawet jeżeli fala bryzga po pokładzie – wiemy, że utrzymamy kurs.
**Koncepcyjnie swobodna improwizacja wiele obiecuje – muzycy są wolni od wszelkich konwencji, każdy koncert jest inny, nic nigdy się nie powtarza. Kraina wiecznej szczęśliwości artystycznej. Z czasem okazało się, że improv też doczekał się swoich klisz, schematów, powtarzalnych wzorów.**
Można nauczyć się wielu technik: slap tongue'ów, multifonów i tak dalej. Ale jeśli nie nauczysz się budować czegoś naprawdę od zera, nawet w improvie staniesz się ofiarą patentów. Często się to spotyka i aż przykro na to patrzeć. To już wolę sobie posłuchać megakliszowego mainstreamu, bo przynajmniej jest przyjemnie, można się napić wina i poprzeszkadzać zespołowi, który gra *Stella by Starlight*.

Słowo „improwizowany" ma jakiś związek ze słowem „prowizoryczny". (*śmiech*) O to właśnie chodzi. (...) Dajmy sztuce płynąć. Dajmy jej biec. Pozwólmy jej meandrować, spływać ze strugami deszczu, naturalnie. Jeśli coś zostaje wymyślone, w tym samym momencie przestaje być sztuką. (...)

Ale ludzie lubią, jak ktoś im pokazuje, że gra szybko, sprawnie palcami przebiera. Że potrafi wysoko, nisko, że może śpiewać, grając, pierdzieć, gwiżdżąc, że się nauczył oddychać cyrkulacyjnie, wykonując te wszystkie zawijasy i chujoploty. Publiczność będzie klaskać, ale nie będzie w tym żadnej historii. Ludzie czekają na cyrk. (...) Nienawidzę tego klimatu.

Z drugiej strony szkoda, że nie widzieliście Claytona Thomasa i Michaela Zeranga słuchających koncertu Jana Ptaszyna Wróblewskiego. Michael patrzył na mnie i mówił: „Wow, jaki dźwięk! A jakie on gra melodie!". Po występie pobiegli go uściskać! (...)
**Zatem jak to się dzieje, że są ludzie – chyba większość – na których to nie robi żadnego wrażenia?**
Moja fryzjerka jest pod wielkim wrażeniem Paula Coelho. Jest nim wzruszona i uważa, że to najlepsza literatura na świecie. I co ja jej mogę powiedzieć?
**Tomasz Stańko w *Desperado* mówi tak: „Kiedy słucha pan Beethovena, liczy się nie tylko muzyka, ale i pana wzruszenie. Tak samo cenne są łzy baby, która słucha Szczepanika. Bo coś się dzieje, wędrują atomy".**
Oczywiście! Ona może się wzruszać nawet bardziej niż ja, bo jestem bardziej cyniczny. Choć przecież płaczę, kiedy słyszę rosyjskie melodie wojenne. (...) Czasami podziwiam ludzi, którzy przychodzą na nasze koncerty. Jestem pełen uznania, że są w stanie to znieść. Tę masę napierdolonego dźwięku, emocji rzygającej, masy, która wciąga się w jakąś strukturę i nie odpuszcza ani na chwilę.

Dzisiejszy świat nie chce się posługiwać tym językiem. Popkultura najczęściej ogranicza wrażliwość do dwóch stanów: piosenka jest albo smutna, albo radosna. Albo euforia, albo deprecha. Komercja pojawia się właśnie wtedy, kiedy artyście zaczyna brakować odcieni w palecie. Kiedy nie zadajemy pytań, ale chcemy trafiać celnie. (...) Tak działa edukacja, reklama, tak też się tworzy kulturę. Ale myślę, że muzyka improwizowana i jazz to wbrew pozorom najbardziej zaangażowana społecznie i politycznie muzyka instrumentalna na świecie.
**Dlaczego?**
Po pierwsze dlatego, że z założenia muzyka improwizowana ma charakter społeczny, wydarza się pomiędzy ludźmi, na równych zasadach. Nie chcę powiedzieć, że jest demokratyczna – zawsze musi być szef albo chociaż pomysłodawca. Ale liderować nie znaczy: zagłuszyć wszystkich. Po drugie – muzyka improwizowana nie ma sensu bez publiczności. Fatalnie nagrywa się w studiu bez publiczności, naprawdę. Po trzecie – ta muzyka odpowiada na sytuację społeczną i polityczną. Ma charakter buntu. (....)

Ja was zapytam: czy teraz wszystko jest OK?
**Nie jest.**
No właśnie. Mnie bez przerwy coś na tym świecie śmierdzi i wkurwia.

# Zła przyjąć nie możemy

**Tekst:** Łukasz Maciejewski **Zdjęcia:** Robert Palka/za wiedzą i zgodą dystrybutora

**André Gide pisał w *Mokradłach*: „Wydarzenia opowiadane nie zachowują tych walorów, jakie miały w życiu. Aby mogły pozostać prawdziwymi, musimy je aranżować. Ważne jest to, bym uzewnętrzniał wzruszenie, jakie nam dają". Cytuję Gide'a nieprzypadkowo. W *25 latach niewinności. Sprawie Tomka Komendy*, pełnometrażowym reżyserskim debiucie Jana Holoubka, udało się w sposób nieoczywisty opowiedzieć o wydarzeniu znanym, głośnym, szeroko komentowanym.**

Postulowana przez francuskiego noblistę aranżacja sytuacji biograficznej w tym przypadku daje poczucie wzruszenia świeżego, w żaden sposób nieskorelowanego z dotychczasową, inspirowaną medialną histerią wykładnią tytułowej sprawy Tomka Komendy. Tomasz Komenda przestaje być bohaterem tabloidów i ofiarą brutalnej pomyłki sądowej, stając się postacią z krwi i kości. Ciekawość i współczucie zamienia się w zrozumienie.

Mimo że historia została opisana dziesiątki razy, przypomnę najważniejsze fakty. W noc sylwestrową z 1996 na 1997 rok, w miejscowości Miłoszyce pod Wrocławiem doszło do gwałtu i morderstwa nastolatki. Sprawa zrobiła się głośna, a opinia publiczna domagała się od policji natychmiastowego ujęcia sprawcy. Wkrótce o gwałt i morderstwo oskarżony został Tomasz Komenda, chłopiec bez wykształcenia, bez stałej pracy, niemający pieniędzy na zatrudnienie obrońcy. Choć większość świadków zeznawała na rzecz Tomasza, a w czasie morderstwa nie było go na miejscu zbrodni – Komenda został skazany. Doświadczając wszelkiego rodzaju upokorzeń i form przemocy, ten niewinny człowiek odsiedział w więzieniu 18 lat.

W filmie Jana Holoubka Komenda staje się postacią niemal biblijną. Nienapisany rozdział z Księgi Hioba. „W tym wszystkim Hiob nie zgrzeszył i nie przypisał Bogu nieprawości". Za pośrednictwem idealnego medium aktorskiego – Piotra Trojana w roli Komendy, podążamy, nieomal chronologicznie, krok za krokiem za bohaterem. Twórcom nie zależało jednak na prowokowaniu u widza litości, byli świadomi, że w tym przypadku szantaż emocjonalny, chociaż stosunkowo ła-

twy do uzyskania, osłabiłby opowieść. Dlatego zarówno Komenda, jak i jego matka w poruszającej interpretacji Agaty Kuleszy są jak skała. Chociaż niewinni, nie domagają się wzruszeń, są ponad to. Nie zgrzeszyli, dlaczego więc mieliby się przed nami spowiadać? Raz jeszcze sięgnę po Księgę Hioba: „Dobro przyjęliśmy z ręki Boga. Czemu zła przyjąć nie możemy?".

*25 lat niewinności*, film pokazujący najtrudniejsze momenty w biografii Komendy, staje się pokrzepieniem. Daje nadzieję: na ludzką solidarność, na sprawiedliwość. Przypadek Komendy jest pod tym względem modelowy. Grany przez Dariusza Chojnackiego policjant, odkrywający nieprawidłowości w sporządzeniu oskarżenia oraz podważający rzekome dowody w sprawie Komendy, tworzy wiarygodny profil ostatniego sprawiedliwego, rodem z amerykańskiego kina, z westernu – przychodzi w odpowiednim czasie, podaje dłoń, załatwia sprawę, po czym znika w oddali. Słusznie, Korejwo (Chojnacki) wykonał swoje, również i filmowo, może zniknąć, nie zniknie natomiast sam Tomek Komenda i jego sprawa. Wspominałem o Księdze Hioba, ale przecież film Holoubka odwołuje się również do innych, równie oswojonych tropów kulturowych. Komenda jest również bohaterem kafkowskim, bohaterem *Procesu*. Jest oskarżenie, ale nie ma winy, zaczynają się przesłuchania, ale podejrzany nie wie w jakiej sprawie, jest proces, ale wciąż brakuje dowodów, jest w końcu więzienie, ale ofiara pozostaje niewinna.

Biografia filmowa, zwłaszcza jeżeli dotyczy lat stosunkowo nieodległych, wymaga szczególnego przygotowania, pietyzmu realizacyjnego. Zbyt wiele osób pamięta tamte czasy, nie można się pomylić. I dlatego chciałbym zwrócić uwagę na pracę scenografa Macieja Fajsta, dekoratorki wnętrz Karoliny Kosickiej i autorki kostiumów Weroniki Orlińskiej. Akcja filmu zaczyna się niby w latach 90. ubiegłego wieku, ale to już jest przecież film kostiumowy. W Polsce od tamtej pory zmieniło się prawie wszystko: wnętrza mieszkań, kurtki, czapki, samochody, witryny sklepowe. I pion scenograficzny bezbłędnie to wyzyskuje. W tym przypadku chodzi o istotny, również narracyjnie, element opowieści. Film staje się przypowieścią wtedy, kiedy na plan pierwszy pracuje tło. Zmienność świata przedstawionego, zmieniająca się Polska, staje się metajęzykiem filmowym dla monolitu, którym od początku do samego końca pozostaje tytułowy bohater.

Przypowieść o Tomaszu nie rości sobie pretensji do zbawienia świata, zbawienia sumień, jest jednak pewnie warsztatowo zaaranżowanym kinem, które może się przyczynić do indywidualnego i zbiorowego rachunku sumienia. Ponadnormatywny sukces frekwencyjny *Sprawy Tomka Komendy* w kinach wydaje się to potwierdzać. W 2020 roku, podczas kilku zaledwie miesięcy przerwy między lockdownami, *25 lat niewinności* zebrało w kinach imponującą ponad siedmiuset-

tysięczną widownię. Owszem, chodzi o pozytywną siłę filmowego przekazu, wynikającą z pandemicznej bezradności, potrzebę otuchy, happy endu, ale to nie załatwia sprawy. *Sprawa Tomka Komendy*, zwłaszcza z pewnej czasowej perspektywy, wydaje się projektem zdecydowanie ważniejszym niż pokrzepiający biopic z happy endem. Znękani agresją, będącą powoli dominującą narracją w relacjach międzyludzkich, potrzebowaliśmy portretu człowieka cierpiącego, upokorzonego, ale mimo to zachowującego człowieczeństwo, humanizm, siłę. Ten człowiek wygrywa. Zwycięstwo dobra jest możliwe.

*

***25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy***, reż. Jan Holoubek, dramat sensacyjny; premiera: 18 września 2020, czas trwania: 112 minut, dystrybucja w Polsce: Kino Świat.
**Twórcy między innymi.:** scenariusz – Andrzej Gołda, zdjęcia – Bartłomiej Kaczmarek, scenografia – Maciej Fajst, montaż – Rafał Listopad, muzyka – Colin Stetson, Sarah Neufeld.
**Producent:** Anna Waśniewska-Gill (TVN)
**Obsada, między innymi:** Piotr Trojan (Tomek Komenda), Agata Kulesza (Teresa Klemańska), Dariusz Chojnacki (Remigiusz Korejwo), Jan Frycz (Stary), Mikołaj Chroboczek (prokurator Sobieski), Łukasz Lewandowski (prokurator Tomankiewicz), Magdalena Różczka (Katarzyna, żona Korejwy)
Zdjęcia do produkcji były kręcone we Wrocławiu, Warszawie i okolicach oraz w Wałbrzychu i Zabrzu.

**Łukasz Maciejewski** - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach", kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film", członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.

**Jan Holoubek** (ur. 1978) – absolwent Wydziału Operatorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi (2001).
W 2007 r. zdobył główną nagrodę na Festiwalu „Młodzi i Film" za krótkometrażowy dokument *Słońce i cień*. W 2012 pracował przy *Supermarkecie* Macieja Żaka, za co uzyskał nominację w Konkursie Debiutów Operatorskich na festiwalu Camerimage. W 2016 r. na ekrany kin weszła nakręcona przez niego komedia *Po prostu przyjaźń* Filipa Zylbera, w 2018 zaś *Podatek od miłości* Bartłomieja Ignaciuka. Za kamerą pracował także przy serialach *Na wspólnej* oraz *Lekarze*. Jednym z jego ważniejszych projektów były *Pocztówki z republiki absurdu* – alternatywna historia Polski z roku 2014. Autor głośnego i popularnego serialu *Rojst*, za który był nominowany do Polskich Nagród Filmowych „Orły" w kategorii „Najlepszy filmowy serial fabularny".
Realizuje również reklamy oraz współpracuje przy realizacji Teatru Telewizji (między innymi *Śluby panieńskie, czyli magnetyzm serca*, 2003, i *Król Edyp*, 2005).
Syn pary aktorskiej Magdaleny Zawadzkiej i Gustawa Holoubka.

**Jan Holoubek o swoim filmie:**
Film rozpoczyna cytat z *Procesu* Kafki: „Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany".
Historia Tomka Komendy to niemal dokładne odtworzenie myśli Kafki, tyle że ta historia wydarzyła się naprawdę. W kwietniu 2000 roku Tomasz Komenda został aresztowany na podstawie donosu sąsiadki. Osadzony w areszcie, niemal do rozpoczęcia procesu nie dowiedział się, o co tak naprawdę jest oskarżony. To, że wyszedł po 18 latach więzienia za zbrodnię, której nie popełnił, wie niemal każdy. Jednak mało kto zdaje sobie sprawę, jak to wszystko wyglądało w rzeczywistości, jakie mechanizmy doprowadziły do tej tragedii, kto go uratował i jaką cenę za to zapłacił.
Chciałbym, żeby film dał nadzieję wszystkim tym, którzy znaleźli się w beznadziejnym położeniu, w sytuacji, z której, wydaje się, nie ma wyjścia. Historia Komendy dowodzi, że zawsze może zdarzyć się cud i zjawić się człowiek, którzy wyciągnie nas z najgorszej opresji.
Jednak, co najistotniejsze, *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy* to przede wszystkim film o więzi i emocjach. Najważniejszym kryterium, którym chcę się kierować przy wszelakich wyborach, jest prawda. Prawda o tym, kim jest Komenda i jego bliscy, prawda o ich biedzie i bezbronności wobec systemu, w końcu prawda o relacjach i emocjach, jakie nimi targały.

# Nieśmiały mag z Drohobycza

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec/jurorka konkursu

**Anna Kaszuba-Dębska w biografii Bruno Schulza *Bruno. Epoka genialna* rozprawia się z mitami, jakie narosły wokół autora genialnych rysunków i opowiadań.**

Ta książka ma odcień czarno-biały, mimo pomarańczowej, rzucającej się w oczy okładki. Tak jak twórczość maga z Drohobycza, jego pełne niepokojącego erotyzmu rysunki z *Xięgi bałwochwalczej* czy kipiące od fantasmagorycznych obrazów *Sklepy cynamonowe*. Gdy raz się wejdzie do mitycznego świata dzieciństwa twórcy, trudno go opuścić i zostawić za sobą otaczającą go paletę szarości. Jednak w książce Kaszuby-Dębskiej, będącej pierwszą tak obszerną biografią Schulza, znajduje się jedna kolorowa fotografia, która może być kluczem do opowieści o twórcy.

To obraz artysty zatytułowany *Spotkanie*. Widzimy na nim spotkanie dwóch pięknych kobiet z mężczyzną w stroju chasydzkim, w którego twarzy można dostrzec rysy samego Schulza. Mężczyzna obserwuje kobiety, jest nimi zainteresowany, może chciałby im towarzyszyć, lecz nie ma śmiałości. I właśnie ta nieśmiałość, mająca swoje konsekwencje w stanach psychicznych autora *Sanatorium pod Klepsydrą*, a co za tym idzie w jego twórczości – szczególnie plastycznej – jest tematem przewodnim książki. Wynika to pewnie z tego, że sama Kaszuba-Dębska jest malarką, artystką sztuk wizualnych inspirującą się twórczością Schulza, o czym we wrześniu 2020 roku pisaliśmy na łamach „Krakowa".

Rozpoczyna pisaną przez siebie biografię nie klasycznie, od przedstawienia dzieciństwa artysty, ale od bardzo dla niego ważnej podróży do Paryża. Miał już wtedy na koncie publikacje swoich opowiadań, które odniosły w kraju sukces. To go jednak nie zadowalało, koniecznie chciał zaprezentować się jako malarz, grafik. Jednak nie został we Francji doceniony tak, jak inni żydowscy malarze – Roman Kramsztyk czy Mojżesz Kisling. Przyczyna była dość prozaiczna: choć dostał propozycję zorganizowania wystawy, nie miał jej za co sfinansować.

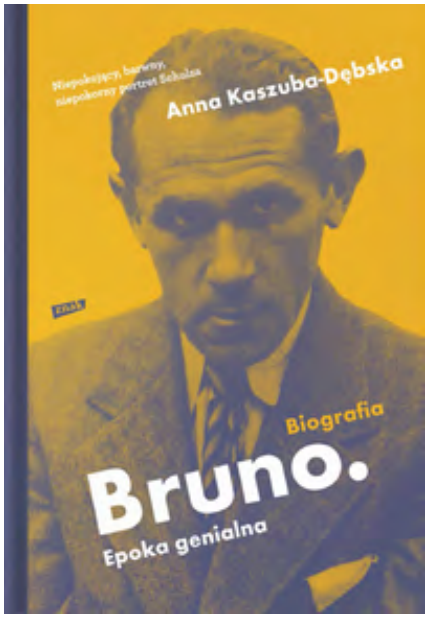


Wrócił więc do Drohobycza na tarczy, a jego niestabilność emocjonalna coraz bardziej się pogłębiała. Jej przyczyn autorka szuka w dzieciństwie twórcy, w jego sytuacji rodzinnej. Dorastał bowiem w domu, w którym prym wiodła energiczna matka, a schorowany, nieobecny ojciec nie miał nic do powiedzenia. Autorka biografii wydobywa na powierzchnię postać matki, a przy okazji demitologizuje obraz ojca, Jakuba, który w opowiadaniach syna został pokazany jako mag, demiurg... A tak naprawdę był człowiekiem bardzo schorowanym, z poważnymi problemami psychicznymi, uzależnionym od trzymającej całą rodzinę w pionie żony.

Niewątpliwą zaletą książki Kaszuby-Dębskiej jest owo kwestionowanie narosłych wokół pisarza mitów. Wbrew temu, czego uczono nas nieraz w szkole, nie pochodził z biednej, małomiasteczkowej rodziny. Schulzowie byli znaczącą żydowską familią, która dokonała wielu istotnych rzeczy dla rozwoju polskiego przemysłu, szczególnie związanego z wydobyciem ropy naftowej.

Autorka biografii stara się na swój sposób przedstawić historię jego śmierci, która najczęściej powtarzana jest za Jerzym Ficowskim, innym badaczem życia i twórczości Schulza. Otóż według niego Schulz, będąc w getcie, ozdabiał swoimi malunkami pokój dziecka gestapowca Feliksa Landauda. Pewnego dnia Niemiec zabił żydowskiego dentystę, który był podopiecznym innego gestapowca Karla Günthera. I to właśnie on, mszcząc się, miał zastrzelić autora Sklepów cynamonowych. Anna Kaszuba-Dębska na wszelki wypadek podaje 13 wersji zamordowania artysty. Opierając się na opowieściach świadków, z których każdy widział i zapamiętał to inaczej, składa zwielokrotniony obraz śmierci Schulza, która staje się tu niezwykle symboliczna. Symbolicznego wymiaru dopatruje się też w samym jego pochówku. Jedni twierdzili, że pisarz leżał kilka dni na bruku, inni że jego zwłoki od razu zostały zakopane w zbiorowej mogile. To nieoczywiste, wątpiące podejście do niedających się sprawdzić faktów stanowi jedną z wielu zalet tej świetnie napisanej i udokumentowanej biografii.

Anna Kaszuba-Dębska, *Bruno. Epoka genialna*, Znak, Kraków 2020.

**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Fot. Alicja Brodowicz

**Anna Kaszuba-Dębska** – malarka, graficzka, ilustratorka. Pisarka. Reżyserka filmów animowanych i reklam. W 2000 r. ukończyła z wyróżnieniem Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Malarstwa (pracownia prof. Leszka Misiaka) oraz Aneks z Książki (pracownia prof. Romana Banaszewskiego). W 2004 r. obroniła dyplom na Wydziale Grafiki krakowskiego ASP w Pracowni Filmu Animowanego prof. Jerzego Kuci. W 2011 r. ukończyła studia doktoranckie na ASP w Warszawie w Pracowni Projektowania Książki i Typografii u prof. Macieja Buszewicza. W 2018 r. otrzymała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie literatura.

Znana z instalacji artystycznych *Projekt szpilki* i *Emeryty* inspirowanych dziełami Bruno Schulza oraz projektu *loveKrólowe* (wystawa plenerowa pod Wawelem, Kraków; Centrum św. Jana, Gdańsk, 2018). Swoje prace wystawiała w Polsce i na całym świecie (w Niemczech, Holandii, Czechach, Słowacji, USA, Tajwanie, Rosji, Ukrainie).

Współtworzy Fundację Burza Mózgów organizującą największy w Europie Festiwal Literatury dla Dzieci.

Autorka filmów animowanych dla dzieci, między innymi *Felicjanek 10* oraz *Pierwsze dni z życia Kaki*, zrealizowanych przez Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej.

Autorka książki *Kobiety i Schulz*.

**Anna Kaszuba-Dębska dla „Krakowa”:**

Zaryzykuję: dobrym duchem Bruno Schulza niemal przez całe życie były najbliższe i najdroższe mu osoby – matka Henrietta i starszy brat inżynier Izydor Schulz. To oni czuwali od najmłodszych lat nad odpowiednim rozwojem intelektualnym mojego bohatera. Jednak w życiu zawodowym i w zdobywaniu pozycji na arenie literackiej Schulz zawdzięcza wiele fantastycznym kobietom: Zofii Nałkowskiej i Doborze Vogel.

Złym Duchem dla bohatera zdecydowanie byli nazistowscy oficerowie okupujący Drohobycz, którym Schulz co prawda zawdzięczał w getcie względne bezpieczeństwo, ale jednak to byli pozbawieni wszelkich skrupułów mordercy.

*

W nurcie książek biograficznych fascynują mnie herstorie artystek, malarek czy rzeźbiarek. Ostatnimi laty biografii o tych często zapomnianych postaciach jest coraz więcej. Można podać wiele tytułów, ale wymienię tylko: *Kobro* Małgorzaty Czyńskiej, *Jaremiankę* Agnieszki Daukszy czy *Stryjeńską* Angeliki Kuźniak.

# *Bruno. Epoka genialna*

**(fragmenty)**

A więc wojna. Ostatni rozkaz Hitlera: „Bądźcie bez litości, bądźcie brutalni, nasza przewaga daje nam wszystkie prawa" – jest wprowadzany przez agresorów z najwyższą precyzją i stanowczością. (...)

Schulz słucha wiadomości rozgłośni Polskiego Radia, by być na bieżąco z wydarzeniami z linii frontu. W pierwszych dniach września gości młodego krytyka z pobliskiego Sambora Artura Sandauera, który zgodnie z nakazem władz wojskowych jako mężczyzna w wieku poborowym ucieka na wschód. Wspólnie, jak reszta ogarniętego paniką miasta, słuchają radia. Sandauer wspomina: „Słuchaliśmy komunikatów polskich, a gdy te zamilkły – niemieckich. »Wiesz? Ich samoloty są podobno pilotowane przez młode dziewczęta« – powiedział mi Bruno z błyskiem podniecenia w oczach. Zginąć z rąk bombardiera płci żeńskiej – było snadź szczytem jego marzeń. Albo – innym razem... »Popatrz! Hitler i ja... Niby nic wspólnego, a jednak...«. Przypomniało mi się – podobnie metafizycznie megalomańskie zdanie z jego *Wiosny*: »Tu jest miejsce na przeprowadzenie paraleli między Aleksandrem Macedońskim a moją osobą«. Niemcy wkroczyli do Drohobycza: był to najdalszy punkt ich marszu na wschód. Pobyli ze dwa–trzy dni, zdążyli spalić synagogę, gdy z radia napłynęła radosna wiadomość o wkroczeniu Armii Czerwonej. Radosna, gdyż Schulz i ja – jak większość inteligencji polskiej pochodzenia żydowskiego – komunizowaliśmy, poza tym zaś – po Niemcach – jakakolwiek zmiana była zmianą na lepsze". (...)

Wraz z nastaniem sowieckiej władzy w Drohobyczu nastają nowe porządki. Zaganiana masowo do urn wyborczych ludność oficjalnie opowiada się za przyłączeniem do zachodniej Ukrainy. Zaczyna się terror. Znikają całe rodziny, głównie przedstawiciele polskiej inteligencji. Trwają masowe aresztowania, wielotysięczne transporty wywożą wrogów nowego ustroju do sowieckich łagrów. Schulz „w czasie wzmożonych wywózek na Sybir mówi: »Narodu nie można unicestwić. Ale czy nie ocaleją pośledniejsi, a zginą najlepsi?«". Sam robi, co należy: ostrzega o planowanej wywózce rodzinę byłego dyrektora gimnazjum profesora Kaniowskiego. Przeznaczonych do wywózki nocą budzi stukanie do drzwi. Na rozkaz radzieckich żołnierzy ubierają się i opuszczają dom, na zewnątrz czekają na nich sanie, którymi jadą do budynku Towarzystwa Szkoły Ludowej w Tustanowicach. Ludzi – nawet starych i chorych – zwozi się tu z okolicznych miejscowości do samego rana. Odważniejsi przychodzą się pożegnać z najbliższą rodziną, ale trzeba uważać, bo można oberwać pałką po plecach. Zgromadzeni płaczą. Rano ładuje się ich na sanie, wiezie na stację w Borysławiu i ładuje do pociągu.

W sowieckim Drohobyczu zamyka się polskie szkoły, zwalnia urzędników państwowych. Kto nie należy do związków zawodowych, nie może otrzymać zatrudnienia, szerzy się donosicielstwo. Schulz traci grunt pod nogami. Zmuszony sytuacją, by ratować siebie i rodzinę, pisze podanie do Związków Zawodowych Zachodniej Ukrainy. Używając języka ówczesnej propagandy i nowomowy, zeznaje: „Pragnąc wejść w poczet członków Zach. związku profesjonalnego, zgłaszam moją kandydaturę i składam następujące zeznanie: Ojciec mój był subiektem-buchalterem w firmie bławatnej, później otworzył sobie sklep z manufakturą. (...) Moja twórczość malarska, a potem literacka, która mi przyniosła pewien rozgłos, nie miała tematyki społecznej, pragnęła jednak służyć wyzwolonym masom jako wypoczynek, jako czysta gra wyobraźni dająca smak życia i radość. Pragnę zgłębić teoretycznie naukę komunizmu, gdyż widzę w nim system myślowy ujmujący najgłębiej, ogarniający całość życia, a ponadto wspaniały program oparty na zasadach ludzkości i zapewniający wyzwolone w masach maximum sił twórczych i wspaniały rozkwit twórczości ludzkiej. Pragnę też w miarę sił i na terenie mej własnej pracy współdziałać w dziele budowy przyszłości socjalistycznej ludzkości". Najpierw pisze podanie na brudno, skreślając, dopisując, wykreślając zwroty, które w oczach sowieckiej władzy przedstawiałyby go jako inteligenta, wroga ludu. Pomija historię matki i jej burżuazyjnych krewnych. Kiedy kończy, odwraca kartkę i ołówkiem rysuje siebie. Rysunkowy Bruno Schulz z 1939 roku patrzy smutno i bezradnie.

# Czuła biografia

**Tekst:** Krzysztof Zajas/juror konkursu

**Dobra biografia jest portretem podwójnym. Mówi coś ważnego o bohaterze, ale i odsłania autora. Życie jednego człowieka staje się tematem, pasją, punktem odniesienia dla innego człowieka.**

Przedmiot ulega upodmiotowieniu. Twój los ogarnia mnie, oplata bluszczem zdarzeń i przeżyć, które zaczynają być moimi zdarzeniami i przeżyciami. Zamazuje się granica pomiędzy tobą i mną. Dobra biografia ma coś z prawdziwej miłości.

Do takich biografii miłosnych niewątpliwie należy *Ginczanka* Izoldy Kiec. Z jednej strony to panoramiczna, dobrze ulokowana w realiach i klimatach epoki opowieść o utalentowanej poetce z Kresów, która już jako nastolatka zdobywa wyróżnienie w konkursie „Wiadomości Literackich" i wydaje – jak się okazało jedyny – tomik wierszy *O centaurach* (1936). Z drugiej – zapis życiowej pasji Izoldy Kiec, która przez ponad trzydzieści lat gromadzi ogromną liczbę szczegółów, zapisków, wspomnień i protokołów, układając życiorys tajemniczej żydowskiej dziewczyny. Życiorys, który nigdy się już nie ułoży, ponieważ kilka brakujących elementów przepadło bezpowrotnie. Życie zbyt wcześnie skończone pozostało niedokończone.

Zuzanna Ginczanka (1917–1944) była gwiazdą ostatnich przedwojennych lat literackiej Warszawy. Sierota z Równego (dzisiejsza Ukraina Zachodnia) podbiła stolicę fascynującą egzotyczną urodą i niezwykłym talentem poetyckim, wspartym błyskotliwą inteligencją i erudycją. Mieszanka wybuchowa, która onieśmielała najwybitniejszych. Ginczanka przyciągała i obezwładniała, wielbiciele jej talentu i urody wpadłszy raz w jej orbitę, nie umieli się od niej uwolnić. Od największych, Juliana Tuwima, Mieczysława Grydzewskiego i Witolda Gombrowicza, przez Józefa Łobodowskiego, Jana Śpiewaka i Tadeusza Wittlina, aż po drugorzędnych malarzy, wierszokletów, żurnalistów – wszyscy ulegali jej magnetycznej osobowości. Izolda Kiec przestawia korowód oddanych apologetów poetki z podstępną pieczołowitością, by na końcu skontrować stadne męskie zachwyty dwoma słowami kluczami: samotność i zdrada. Przychodzi wojna i okupacja, i cała ta oszałamiająca wspaniałość rozpada się w proch. Dosłownie.

Podstawowe narracyjne napięcia napisało samo życie. Tu literackie elity – tam ponura czynszówka z antysemickimi donosicielami. Tu szum miłosnych deklaracji – tam podłość bliźniego. Tu wykwintny bal w Adrii – tam wleczenie za włosy więziennym korytarzem. Tu obietnica – tam przekleństwo. A może powinniśmy odwrotnie: tam poetycka obietnica, tu przeklęta polska rzeczywistość. „Kawior i popiół", mówiąc słowami Marci Shore.

W biografii Izoldy Kiec zawiera się kilka dobrze ze sobą współgrających opowieści. Dla zarysowania epoki autorka przywołuje sporo świadectw cudzych. Fragmenty wspomnień osób znających Ginczankę, zapisy spotkań literackich, wyimki z przewodników, fotografie, kopie dokumentów – świat poetki ma swój klimat, swoje zakorzenienie w czasie i przestrzeni. Autorka nie poprzestaje jednak na relacjach zewnętrznych, prowadzi również swoją relację wewnętrzną. Przytacza wiersze, wnika w ich materię z czułością, wchodzi do środka poetyckiej frazy, szukając w niej okruchów tamtej osobowości, tamtej duszy. To biografia na różne sposoby intymna, nadwrażliwa, miłosna. Czuła biografia.

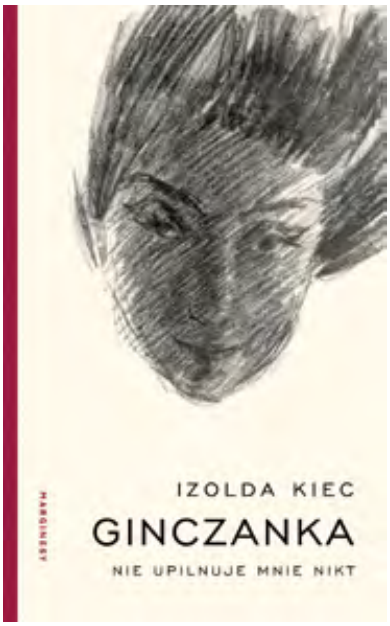


Jest w tym również opowieść o przeraźliwej samotności poetki w czasie marnym. Jej ponura okupacyjna poniewierka w kamienicach we Lwowie i w Krakowie, gdzie na Ginczankę donoszą do gestapo polscy sąsiedzi, a później w krakowskim więzieniu, skąd (prawdopodobnie) zostaje wywieziona na rozstrzelanie w Płaszowie, jest zarazem metaforą losu poezji podczas wojny. Piękna, krucha, nadwrażliwa, bezradna, niepotrzebna i znienawidzona przez gruboskórnych, silniejszych od siebie – musi umrzeć. Wiemy to od początku. Nie dlatego, że znamy tragiczną historię żydowskiej dziewczyny, wyprowadzonej w końcu na rozstrzelanie wiosną 1944 roku („maszerujące żydowskie dziewczęta", pisał Czesław Miłosz), ale dlatego, że inaczej być nie może w epoce bestii spuszczonej z łańcucha.

Tak brzmi jeszcze jedna, najtragiczniejsza opowieść tej biografii. Że to my, wielbiący poetów i deklamujący z pamięci ich anielskie frazy, od czasu do czasu wypuszczamy te bestie.

Izolda Kiec, *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt*, Marginesy, Warszawa 2020.

**Krzysztof Zajas** – pisarz, badacz literatury, kulturoznawca, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; wielbiciel kultury wysokiej i pokątny wyznawca kultury popularnej; kiedy ma dość pisania i czytania, włóczy się z psem po łąkach.

Fot. Mariusz Forecki/za wiedzą i zgodą wydawcy książki

**Izolda Kiec** – literaturoznawczyni, teatrolożka, kulturoznawczyni. Zajmuje się głównie poezją i teatrem XX wieku oraz badaniem form popularnych (przede wszystkim kabaretem, piosenką i musicalem), a także metodologią badań kultury popularnej. Inspiruje ją krytyka feministyczna, *gender studies* i szkoła nowej krytyki. Założyła Fundację Instytut Kultury Popularnej, w ramach której współtworzy m.in. projekt Archiwum Kultury Popularnej. Autorka opracowania wierszy Zuzanny Ginczanki *Poezje zebrane (1931–1944)* (Marginesy 2019).

**Izolda Kiec dla miesięcznika „Kraków":**

Dobrymi Duchami – Zuzanny Ginczanki (i moimi) – byli wszyscy ci, których spotkałam w czasie wieloletniej znajomości z poetką. Jej koleżanki i koledzy oraz siostra cioteczna, których poznałam trzydzieści lat temu, pisząc doktorat o niewielu osobom znanej autorce, a do wspomnień których – utrwalonych w listach bądź na taśmach kasetowych – wróciłam kilkanaście miesięcy temu, gdy nareszcie wiedziałam, że nadszedł moment, by po raz drugi zmierzyć się z biografią Ginczanki. Nikogo z dawnych – naszych wspólnych – znajomych już nie ma. Ale podczas tej pracy cały czas byli z nami, pisałam nie tylko o Ginczance i dla niej, ale także o nich i dla nich: Tadeusza Błażejowskiego, Izaaka Gasko, Lusi Gelmont, Lorki Laszewskiej, Miry Wigdorowicz, Antoniego Knolla – z Równego... Kazimierza Brandysa, Tadeusza Wittlina, Eryka Lipińskiego – z Warszawy... Krystyny Garlickiej – z celi krakowskiego więzienia przy Czarnieckiego. Dzięki nim wiem, że powroty są możliwe.

*

Starałam się zawczasu pozbyć Złych Duchów, bo nie sprzyjają pisaniu, rozmyślaniom, rozmowom, które prowadzę sama z sobą i z moją Bohaterką. Ale jeśli już mam wskazywać coś, co niepozytywne, a o czym musiałam pamiętać i mierzyć się z tym – to jako towarzyszącego mi Złego Ducha traktuję opresję stereotypów. Jedną z przyczyn podjęcia decyzji o napisaniu biografii Ginczanki był mój wewnętrzny sprzeciw przeciwko etykietowaniu poetki, wpisywaniu jej w ramy stereotypu, oznaczaniu, pewności, z jaką padają słowa na temat kobiety, o której wiemy tak niewiele... Mówię o stereotypach, którym niegdyś sama uległam, zajmując się biografią i twórczością Ginczanki trzydzieści lat temu, a które uobecniają się w określeniach typu „Gwiazda Syjonu" czy „Sulamita".

Ale Zły Duch to także stereotyp ostatnich lat – Ginczanki superstar, gwiazdy Holokaustu. Stereotyp, za sprawą którego uśmierca się Zuzannę Ginczankę po raz drugi, wyznaczając ciasne miejsce w ramach współczesnej popkultury.

*

Książka, pod której wrażeniem jestem od kilku tygodni, to opowieść Sylwii Góry *Ewa Kierska. Malarka melancholii* (Universitas, Kraków 2020). Spotkałam bowiem nieznaną mi dotąd krakowską, zapomnianą malarkę, przepełnioną cierpieniem kobietę, i poznałam wrażliwą, uważną, oddaną swojej bohaterce autorkę. Wśród wielu biografii wybitnych ludzi i niezwykłych zjawisk, napisanych przez znakomitych pisarzy i badaczy, ta książka zachwyciła mnie z dwóch jeszcze powodów. Po pierwsze – kompozycją, dzięki której postać Kierskiej wyłania się z tła epoki, ze świata, który decydował o jej estetycznych i życiowych wyborach, i zza pleców ludzi, którzy byli blisko, czasem bardzo blisko.

Po drugie – książka o Ewie Kierskiej, która powstała jako rozprawa doktorska Sylwii Góry, jest dowodem na to, że nie ma rozdziału pomiędzy biografistyką popularną i naukową. Że dla biografistyki liczy się przede wszystkim odpowiedzialność – za bohatera, za pamięć o nim, za jego życie po śmierci.

# *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt*

**(fragmenty)**

Zuzanna Ginczanka początkowo przebywała w oddziale kobiecym więzienia Montelupich, które mieściło się w bocznym prawym skrzydle budynku Zakładu dla Ubogich im. Helclów, a po zakończeniu śledztwa przeniesiono ją do więzienia przy ulicy Czarnieckiego.

Tutaj w celi poznała Krystynę Garlicką, która po wielu latach napisała do mnie:

„Jestem starą kobietą (prawie 80 lat), a tamte straszne czasy, mimo upływu tylu lat, tkwią we mnie. (...) Cele, a raczej izby rozległe, podłogi były nie malowane. Było nas chyba kobiet 15 lub więcej. Na noc rozkładało się sienniki (bez żadnej pościeli) raczej z sieczką niż słomą. Tam poznałam Zuzannę. Nie pamiętam, jak dowiedziała się o moim nazwisku. Może wyczytała je na kopercie lub paczce, bo jakimś cudem siostrze mojej udało się je przemycić. Wtedy powiedziała mi, kim jest i że zna mojego brata Tadeusza Brezę. (...) Zuzanna bardzo bała się bicia, ale obrała metodę, że najwięcej zależy jej na włosach. Rzeczywiście miała piękne, długie, czarne. Na śledztwie ciągle je poprawiała. Gestapo to zauważyło i z całym okrucieństwem zaczęli je szarpać, wyrywać. Ciągnęli ją po ziemi za włosy. Krzyczała okropnie, ale wytrzymała i w ogóle nie przyznała się, że jest Żydówką. Niestety koleżanka, nie pamiętam jej nazwiska, załamała się. Może brakło jej odwagi i siły woli, którą miała Zuzanna. Przyznała się. Był to koniec badań. Wydała wyrok na obie. Trudno się dziwić, gestapo miało niezawodne sposoby. Wtedy przewieziono je na Czarnieckiego, przede mną. Był to może luty koniec lub początek marca. Mówiła, że ma matkę w Stanach Zjednoczonych. Że matka dałaby każde pieniądze, żeby ją ratować. Spodziewała się, że wywiozą ją do Krakowa-Płaszowa, a później do Oświęcimia. Przecież się nie przyznała, więc może wytrzyma, przeżyje". (...)

Krakowski historyk Instytutu Pamięci Narodowej Ryszard Kotarba zweryfikował przynajmniej częściowo relacje współwięźniarek Ginczanki, analizował bowiem dokumenty Polskiego Komitetu Opiekuńczego Kraków-Miasto, agendy działającej oficjalnie, za zgodą władz okupacyjnych, Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) (...) – własnoręcznie pisane zapotrzebowania na żywność, leki, środki czystości, przedmioty codziennego użytku (...).

Silvano Kochany – pisał do przyjaciela, wstrząśnięty tym odkryciem Jarosław Mikołajewski. – A jednak pozostały po Zuzannie wiersze z ostatnich momentów Jej życia. (...) Wiersze nie takie, jakie można by sobie wyobrazić. Niezwykłe, piękne i straszne. Porównywalne tylko z wierszami umierającego Rimbauda... Te wiersze, mające formę lapidarnych podań do dowództwa obozu o drobne, potrzebne rzeczy, rozsadzają granice poezji. Zasługują na wszystko. Na każdą uwagę. Każdą antologię.

21 III 1944: „grzebień gęsty, igły do cerowania, lignina, tłuszcze, cukier, ciepły szalik".

28 III 1944: „żywność, tłuszcze, cukier, cebrjon, redokson".

14 IV 1944: „pasta do butów jasna, wełniane skarpetki, cebrjon, żywność, szpilki i spinki do włosów".

18 IV 1944: „żywność, ocet sabadylowy, jabłka, pantofle na podeszwie sznurkowej nr 38".

Ostatni dokument wypełniony ręką Zuzanny Ginczanki datowany jest na 18 kwietnia 1944 roku. „Na kolejnym spisie – odnotowuje Kotarba – z 5 maja 1944 roku, gdzie występują w większości poprzednio umieszczane nazwiska więźniów, nie ma już Zuzanny Gincburg".

Według Kotarby, Zuzanna Ginczanka prawdopodobnie wywieziona została do Płaszowa z ostatnim transportem więźniów z Krakowa, głównie kobiet, 5 maja 1944 roku.

W Izraelu zachowany jest szczególny dokument – pisze historyk – zapiski w jidysz na skrawkach papieru pakunkowego sporządzone przez więźnia Płaszowa Romana Bosaka (zm. w KL Mauthausen, 1945). Bosak 5 maja zapisał: „Czarny dzień. Sprowadzono z miasta 25 Żydów, wśród nich 2 dzieci, 5 mężczyzn, reszta kobiety. Wszystkich rozstrzelano i spalono razem z 2 zmarłymi w baraku chorych" (...). Przypuszczenie, że w tej właśnie egzekucji zginęła Zuzanna Ginczanka i Bluma Fradisówna, wydaje się dość prawdopodobne.

Prawdopodobne. Bo według źródeł zebranych i opublikowanych przez Tadeusza Wrońskiego w *Kronice okupacyjnego Krakowa*, transport, o którym mówi Kotarba, przybył z więzienia kobiecego Montelupich-Helclów, a nie z Czarnieckiego: „5 V – W obozie płaszowskim rozstrzelano grupę starych i chorych kobiet z więzienia Helclów".

Nie upilnuje mnie nikt?

# „Kozioł". Do zapamiętania

**Tekst:** Witold Bereś/juror konkursu

**Jedną z ulubionych sentencji Krzysztofa Kozłowskiego, wieloletniego wiceszefa dawnego „Tygodnika Powszechnego", były słowa Antoniego Słonimskiego (zresztą felietonisty pisma): „O co chodziło? Prawie o nic – aby zbyt łatwo nie zgiąć karku...".**

Nic dziwnego, że to właśnie motto książkę tę otwiera.

Nie będę ukrywał prywatnych, ogromnych, sympatii: niezwykle wysoko oceniam pomysł serii *Książka do pisania*, który zalęgł się w głowie Wojciecha Ornata, szefa wydawnictwa Austeria. W ten sposób powstają książki, które są niejako monografiami, ba – klasycznymi portretami ludzi (na przykład Marka Edelmana), miejsc (krakowskiego Kazimierza), dzieł (choćby ołtarza mariackiego) i krain całych (tajemniczy, tybetański Zanskar).

Pozwalają dzisiejszemu zagonionemu czytelnikowi połknąć niemalże pełny portret w sposób łatwy, szybki i wygodny. Ale nadto dają mu miejsce, które jest szczególnie cenne w czasach pośpiechu globalizacji i strachu przed Zarazą – owe puste stronice w każdej książce. To pozornie miejsce na uzupełnienie, napisanie, narysowanie. Ale tak naprawdę te strony dają czas na medytację, namysł, na oddech.

Anna, córka Krzysztofa Kozłowskiego, nadała tej książce jeszcze jeden aspekt – *de facto* osobisty, choćby przez zdjęcia (wspaniałe!). To, nie ulega wątpliwości, niemalże liryczny list od Ojca, który odszedł zbyt szybko. Nie, nie ma tu dochodzących do granic egzaltacji wyznań, ale jest kilkanaście cytatów, które niechybnie człek dzisiejszy powinien czytać przez siebie. Jak choćby: „Trzeba jednej rzeczy wystrzegać się jak ognia. Wystrzegać się pokusy łatwego i bezapelacyjnego wyrokowania".

A przez siebie, ze zrozumieniem – to znaczy oddać poznawanemu tekstowi, jego bohaterowi, najwięcej szacunku.

*

A jednocześnie udaje się córce pokazać wielość punktów zaczepienia przy wspominaniu swego ojca, redaktora, dziennikarza, senatora i twórcy służb specjalnych wolnej RP.

Jest więc wiele o Jerzym Turowiczu i „Tygodniku", o PRL i o zasadach walki o nową Polskę na przełomie lat 80. i 90. XX wieku.

Oczywiście – wielu tematów nie ma.

Można żałować, że nie znalazł się tu list Jerzego Turowicza do Mazowieckiego, w którym tenże prosił nowego premiera, aby nie niszczył kariery Kozłowskiego, powołując go na szefa MSW. To tekst, który... – brak słów. Poraża? Wzrusza? Pokazuje nie tylko jednostkową sprawę, ale postawę ludzi ówczesnego „Tygodnika", którzy poszli na służbę dla wolnej Polski i – wbrew temu, co tępaki nienawidzące tejże wolnej Polski sugerują – nie tylko nie zarobili na tym, ale też ponieśli wymierne koszty.

Co najciekawsze, Turowicz najbardziej się martwi o samego Kozłowskiego. „Obaj wiemy, co Krzysztof jest wart, jakie są jego możliwości" – pisze i z przestrogą dodaje, że wprowadzenie go na takie stanowisko jest zagrożeniem dla niego samego. „Jego możliwości polityczne, poczucie odpowiedzialności i absolutna moralność predestynują go do największych funkcji w państwie. (...) Nowa funkcja jakoś tę rezerwę kończy. (...) Dla Krzysztofa to najcięższa decyzja w jego życiu (...). W jakimś sensie – to koniec jego kariery życiowej".

*

List niczego nie zmienił, a Kozłowski do końca powtarzał pół żartem, pół serio, że jeździ do tej Warszawy co chwilę dlatego, że najważniejsza jest ona. Nie kochanka, nie kariera – ale misja, służba.

Sensem jego postawy było bowiem zawsze państwo polskie w możliwie największym zakresie niezawisłości. Przeciwny tromtadracji, rozlewowi krwi, wolał ciężką, organiczną pracę – nawet w warunkach ograniczonej wolności.

Zwykł powtarzać dwa powiedzenia. Autorem pierwszego – „Ludzie dorastają w zadaniach" – był wprawdzie niesławnej pamięci Bolesław Piasecki, ale spostrzeżenie słuszne jest niezależnie do źródeł. Maksymę drugą czerpał od wielkiej damy „Tygodnika" (i swojej brydżowej partnerki) Zofii Starowieyskiej-Morstinowej: o sile państwa, narodu, społeczeństwa, kultury decydują nie tyle mężowie stanu czy wielcy pisarze, lecz „rzetelni sierżanci".

Był kimś dużo więcej niż rzetelny sierżant... A teraz, dzięki książce Austerii, można sobie jego myślenie o wolnej Polsce uzupełnić swoimi przemyśleniami.

Anna Kozłowska, *Krzysztof Kozłowski. Książka do pisania*, Austeria, 2020.

**Witold Bereś** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Fot. archiwum rodzinne

**Anna Kozłowska** – ukończyła studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1995–1998 pracowała w Polskiej Sekcji BBC w dziale marketingu, a od 1999 r. w RMF FM najpierw jako specjalista ds. promocji, a potem dyrektor ds. *public relations*. Obecnie jest aktywistką społeczną walczącą w obronie praworządności i poziomu edukacji.

Jej ojcem był Krzysztof Kozłowski (1931–2013) – dziennikarz, filozof, polityk. Studiował filozofię na KUL, był tam wykładowcą nauk politycznych, wreszcie obronił tam doktorat. W latach 1965–2007 był zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego". W sierpniu 1980 przyłączył się do skierowanego do władz komunistycznych apelu 64 naukowców, literatów i publicystów o podjęcie dialogu ze strajkującymi robotnikami i został doradcą Komisji Robotniczej Hutników w Nowej Hucie oraz ekspertem NSZZ „Solidarność". Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w zespołach ds. reform politycznych i środków masowego przekazu. W rządzie Tadeusza Mazowieckiego został w 1990 r. wiceministrem, a następnie ministrem spraw wewnętrznych i pierwszym szefem Urzędu Ochrony Państwa. Do 2001 r. był senatorem RP.

**Anna Kozłowska dla miesięcznika „Kraków":**

Dobrym duchem Krzysztofa był bezdyskusyjnie Jerzy Turowicz. Tato tak o nim mówił: „Proszono mnie wielokrotnie, bym scharakteryzował Jerzego Turowicza. Nie umiem. Tyle lat... – nie umiem. Co w nim ceniłem najbardziej? Milczenie, które nie jest ciężarem. Z ludźmi obcymi, nawet z ludźmi, których się zna, ale może nie do końca ufa, milczenie jest nieznośne. Natomiast z ludźmi bardzo bliskimi milczenie bywa stanem równie dobrym jak ożywiona dyskusja. Więc często milczeliśmy, znając swoje myśli..."

*

Krzysztof Kozłowski złych duchów nie kolekcjonował, nie przywoływał ich. Były, zawsze są. Jednego chyba nie akceptował całe życie, niezależnie od czasów, systemów politycznych, miejsc i okoliczności. Ducha nielojalności. Jak wiele innych cech jest on niedyskusyjny. Albo lojalnym się jest albo nie. Trudno doszukać się okoliczności łagodzących, trudno być trochę nielojalnym. I jak mało kto był otwarty na drugiego człowieka. Dostrzegał zagubionych, pracowitych, myślących i lojalnych. Bez nich nie można było tworzyć i prowadzić najważniejszego opozycyjnego pisma w powojennej Polsce. A bez wykluczenia nielojalnych nie mogło być mowy o odbudowie służb oddanych państwu w wolnym już kraju.

Krzysztof doskonale zdawał sobie sprawę, że lojalność względem państwa narodowego nie ma uzasadnienia, rzadko kiedy przynależność państwową wybieramy. Potrafił natomiast wśród ludziach zwerbowanych dla obcego systemu dostrzec lojalność bądź nielojalność wobec ojczyzny. Potrafił wyeliminować złego ducha nielojalności.

*

Dziełem biograficznym, które spotkało się z moim największym przeżyciem, jest saga rodzinna Łubieńskich *Portret rodziny z czasów wielkości*, bo znam autora, który jest najnowszym pokoleniem tej rodziny, a moim rówieśnikiem, bo znam jego ojca, bo studia historyczne pozwoliły mi spotykać nietuzinkowe postaci tego rodu na kolejnych kartach historii Polski. Doskonale rozumiem autora, który stara się na chłodno, krytycznie, ale i z pewnym wdziękiem podsumowywać dzieje rodziny, bo to fascynujący proces „powrotu do korzeni".

A dlaczego? Bo sama mam potrzebę „powrotu do korzeni", bo moi antenaci różnie zapisywali się w historii tego kraju, bo to też są dramatyczne ludzkie historie.

# *Krzysztof Kozłowski. Książka do pisania*

**(fragmenty)**

To, czego nauczyły mnie poprzednie pokolenia, moja rodzina, która z polityką miała sporo do czynienia jeszcze przed drugą wojną światową – to umieć patrzeć krytycznie, bez uniesień na własną historię. Nie wypierać się jej, nie skreślać pewnych okresów. Szczególnie gdy dotyczy to kraju, który z niepodległością od końca XVIII wieku miał mało wspólnego. To była pół- czy ćwierć niepodległość – Księstwo Warszawskie lub Królestwo Polskie, ale nie wolno dzisiaj mówić, że jakiś okres trzeba skasować, łącznie z PRL.

Nie! Dwa pokolenia ludzi żyły i pracowały, to był ich kraj, innego nie mieli.

*

Chcąc zrozumieć życiorysy ludzi i swój własny – i zbliżyć się do historii, trzeba jednej rzeczy wystrzegać się jak ognia. Wystrzegać się pokusy łatwego i bezapelacyjnego wyrokowania. Trzeba pytać.

Póki są pytania, póty człowiek żyje.

*

Grudzień 1981 rok. Redakcja „Kultury". Giedroyc i Herling-Grudziński telefonowali w tym czasie po świecie w sprawie podpisania apelu będącego w gruncie rzeczy wezwaniem do czynnego, zbrojnego oporu.

Kozłowski opowiada: „Mówię: Panie redaktorze, do takich działań trzeba mieć strukturę, broń, być przygotowanym, a z tego co słyszę, to zostaliśmy znokautowani. Zbrojny opór to w dzisiejszej sytuacji rodzaj zbiorowego samobójstwa... Na to Jerzy Giedroyc głosem stanowczym, znamionującym zdenerwowanie, jął mi tłumaczyć: Pan nic nie rozumie!

Poderwanie do walki nie da efektów militarnych, to oczywiste, ale musi polać się krew, bo bez krwi nie będzie symbolu, nie będzie mitu do przekazania następnym pokoleniom. Bez krwi zapadniemy się w dziurę, tak jak po 1863 roku".

*

Przestrzegałbym bardzo przed automatycznym niejako stawianiem czynu zbrojnego na szczycie hierarchii moralnej. Czyn zbrojny sam przez się nie jest uniwersalnym remedium na trudności polityczne.

Jest natomiast jednym z możliwych środków do osiągnięcia celu nadrzędnego.

W czasach Insurekcji tym celem było ratowanie Polski, należy więc sobie odpowiedzieć, czy wybrany podówczas środek był najwłaściwszy. Strzelanie zawsze jest pewną ostatecznością – tym bardziej nie może być ono wynikiem emocji, pierwszego odruchu.

Przeciwnie, właśnie w momentach krańcowych wymagana jest bardzo trzeźwa kalkulacja, przewidywanie i maksymalna odpowiedzialność przywódców.

*

Nasze życie toczyło się wokół tego, co znaczy „zbyt łatwo". W każdym tkwi jakaś miara, tyle tylko, że są one często do siebie niepodobne. Upraszczając nieco, można powiedzieć, że czynnikiem decydującym było to, ile razy człowiek żyjący w Polsce Ludowej czy po prostu w PRL był w stanie powiedzieć „nie".

*

Tymczasem oczywiste jest, że żadne ugrupowanie, nawet najsilniejsze, nie rozwiąże dzisiejszych i przyszłych problemów Polski samodzielnie, że interes Polski to coś więcej niż interes jednej partii, że do uprawiania polityki potrzeba choć trochę charakteru i że mamy wszyscy dość dużo do stracenia.

*

Jest siedem błogosławieństw skierowanych do konkretnych ludzi bądź stosunkowo niewielkich grup: utrudzonych, sponiewieranych, skrzywdzonych, borykających się z losem. I tylko jedno błogosławieństwo odnosi się do życia publicznego, do tych, którzy działają publicznie.

To nie jest moje przesłanie, to jest przesłanie sprzed dwóch tysięcy lat. Ale byłoby może dobrze, gdyby nad tym jednym publicznym błogosławieństwem zastanowili się dzisiejsi i przyszli politycy. Bo jest powiedziane: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi".

Nie ci od walki, nie ci od zwycięstw, nie ci od siłowych rozwiązań i nie ci, których uważa się dumnie, a jakże, za nieugiętych, bezkompromisowych, którzy nigdy nic, broń Boże, nie odpuszczą.

A właśnie Ci, „którzy wprowadzają pokój".

Dominik Lisik, *Kimono* (fot. Przemek Szuba)

# Nie wszyscyśmy ze szlachty

**Tekst:** Artur „Baron" Więcek/juror konkursu

**„Tego czasu podzielony został rodzaj ludzki na trzy części: wolnych, wojowników i niewolników. Wolni od Sema, wojownicy od Jafeta; słudzy od Chama". I tak, biblijna, wysnuta z przypowieści o synach Noego egzegeza stała się początkiem wielowiekowej krzywdy i zniewolenia ogromnej części ludzkości.**

W książce *Narkotyki. Niemyte dusze* Stanisław Ignacy Witkiewicz pisał: „Demokracja szlachecka i szlachecka kultura były przyczyną tego, że więcej chodzi nam o to, aby się czymś wydawać, niż czymś w istocie być. Jest to źle masowo wygrany kompleks niższości, połączony ze świadomym dodęciem się do żądanego poziomu, zamiast dokonania odpowiednich czynów realnych. (...) Wieczne niezadowolenie i wieczne nadęcie ponad możność i życie ponad stan fizyczne i poniekąd duchowe, jeśli chodzi o poczucie ważności i władzy, stało się zasadniczym rysem psychicznym każdego niemal Polaka".

To, co zauważał Witkiewicz, bez trudu możemy dostrzec i dzisiaj. Zjawisko „watowania i wszelkiego nadymania" trwa w Polsce w najlepsze. Przy krajowych drogach co rusz mijamy przybytki o dumnych nazwach „Szlacheckie Gniazdo", „Szlachecka Gospoda" „Piwnica Rycerska" czy budowane w pośpiechu z pustaka i płyty gipsowej różnej maści „Zameczki", „Zajazdy Książąt" etc. Nowe, podmiejskie domy, koniecznie muszą mieć „dworski ganek" z okrągłymi kolumienkami, cóż z tego, że z betonu i kupionymi w Castoramie. Wydawać by się mogło, że wszyscyśmy ze szlachty, a każdy Polak buławę ma w herbie.

*Ludowa historia Polski* Adama Leszczyńskiego idzie w poprzek temu przeświadczeniu i poddaje gruntownej dekonstrukcji ten typ mitycznego i szkodliwego myślenia. Czytając rozprawę Leszczyńskiego, przywoływałem w pamięci także inną – równie głęboko pod prąd dominującym poglądom idącą – książkę Jana Sowy *Fantomowe ciało króla*. Niewiele jest chyba tego typu wspaniale napisanych i udokumentowanych pozycji, ujmujących naszą przeszłość i stosunki społeczne w duchu reinterpretacji narodowych dziejów oraz wyznaczania nowej perspektywy opisu historycznych zjawisk.

Jak sam autor pisze, jego *Ludowa historia Polski* powinna być więc historią dolnych 90 procent społeczeństwa – „ludzi rządzonych, a nie rządzących; biednych, a nie bogatych; zwykle niewykształconych i zawsze podporządkowanych władzy. (...) »Lud« należy więc tu rozumieć możliwie szeroko – jako tych, którzy są podporządkowani: chłopów, miejską biedotę, kobiety, Żydów i różne inne kategorie ludzi, od których elity oczekiwały posłuszeństwa i które często nie miały pełni politycznych praw (różnych w różnych okresach historycznych)".

Takie ujęcie tematu oraz perspektywa dziejów (które nie są dziejami elit wyłącznie) sprawia oczywiście, że nie przeczytamy tu o zwycięskich bitwach, wielkich czynach i wybitnych wodzach. Treścią tej książki jest doznawana w ciągu wieków niesprawiedliwość i krzywda. To stosunki społeczne oparte na wyzysku, poniżeniu, a nierzadko i przemocy, instytucjonalnej, ale i fizycznej. To także pisane prostym językiem rozliczne skargi i supliki krzywdzonych oraz niesprawiedliwie sądzonych chłopów, obciążonych niewolniczymi wręcz obowiązkami, które przekraczają ich siły i możliwości. To trudne początki rodzącego się przemysłu, problemy słabego, nieliczącego się mieszczaństwa, wreszcie historie Żydów, pożytecznych, ale pogardzanych przez większość społeczeństwa i niesłusznie oskarżanych o rozpijanie narodu. Słowem – pełen autentyzmu obraz świata, w którym udręka codziennego bytowania miesza się nierzadko z oporem i szukaniem wyjścia z narzuconego odgórnie jarzma ucisku. Ludzkie dramaty wpisane są tu jednak we wszechstronną i głęboką analizę mechanizmów społeczno-politycznych, występujących na przestrzeni dziejów, począwszy od początków istnienia państwa polskiego do współczesności niemalże.

Im dłużej i wnikliwiej zagłębiałem się w treść tej książki, tym bardziej miałem dojmujące poczucie swoistego *déjà vu* – jak bardzo niezmienny jest nasz narodowy charakter! Jakże znane nam są i dzisiaj argumenty, że Zachód Polski nie rozumie, że rozwiązania cywilizacyjne wprowadzane tam z powodzeniem, w Polsce się nie przyjmą, że jesteśmy dumnym narodem, wyspą swobód i wolności. I nikt nie będzie nas do niczego zmuszał i niczego narzucał... Dlatego pańszczyznę musieli nam w końcu znieść zaborcy... Ważna książka, niezbędna w myśleniu i dyskusji o Polsce dawnej i obecnej.

Adam Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, W.A.B., Warszawa 2020.

**Artur „Baron" Więcek** – reżyser i scenarzysta, autor filmów fabularnych, dokumentalnych oraz spektakli teatralnych i programów telewizyjnych. Za *Anioła w Krakowie* został wyróżniony nagrodą za debiut reżyserski na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni w 2002 roku. Ostatnio na platformie Play Kraków udostępniony został wyreżyserowany przez niego program *Jerzy Pilch – XV Wypominki Tischnerowskie*. Współtwórca Fundacji Świat ma Sens.

Fot. Patatof /za wiedzą i zgodą WAB

**Adam Leszczyński** (ur. 1975) – dziennikarz oraz współzałożyciel OKO.press, historyk i socjolog, profesor Uniwersytetu SWPS w Warszawie, członek zespołu „Krytyki Politycznej".

W latach 1993–2017 związany z „Gazetą Wyborczą" – od 2000 r. pracował w dziale nauki i redagował dodatek „Komputer", od 2005 w dziale opinii.

Autor dwóch książek reporterskich *Naznaczeni. Afryka i AIDS* (2003) oraz *Zbawcy mórz* (2014), dwukrotnie nominowany do Nagrody im. Beaty Pawlak za reportaże. W Wydawnictwie Krytyki Politycznej ukazały się jego książki *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych 1943–1980* (2013) i *Eksperymenty na biednych* (2016).

Na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego uzyskał w 2006 r. stopień doktora nauk humanistycznych na podstawie napisanej pod kierunkiem Marcina Kuli rozprawy *„Solidarność" w małych miastach*. W 2017 r. na podstawie dorobku naukowego oraz monografii *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych 1943–1980* na Wydziale Filozofii i Socjologii UW nadano mu stopień doktora habilitowanego nauk społecznych w dyscyplinie socjologia.

Laureat licznych stypendiów i nagród, m.in. Fundacji Kultury, Ministra Edukacji Narodowej, Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Stypendysta tygodnika „Polityka".

O jego monografii *Ludowa historia Polski* wydawca pisze: „Głównym przedmiotem książki jest władza – władza tych, którzy w społeczeństwie są na górze nad tymi, którzy są na dole – oraz instytucje społeczne, które służyły elitom do przejmowania tego, co wyprodukował lud. To nie tylko więc historia poddaństwa i pańszczyzny, ale także relacji w fabryce i w biurze w XIX wieku. To historia ludowa, a nie narodowa: mniej interesują mnie wojny i powstania, a bardziej to, jak ich sukcesy i klęski zmieniały relacje pomiędzy mieszkańcami naszego kraju, Polakami, Żydami, Ukraińcami i innymi mniejszościami".

# *Ludowa historia Polski*

**(fragmenty)**

W 1772 r. starosta sokolnicki Antoni Sułkowski poskarżył się przed sądem grodzkim w Wieluniu na nieżyjącego już wówczas od czterech lat chłopa Walentego Gałę i jego spadkobierców. Ów Gała – zeznawał przed sądem Ignacy Borowski, syn dzierżawcy starostwa – był to „największy herst, hardości człowiek i buntownik przeciw dworowi".

Wina chłopa polegała na tym, że kilka lat wcześniej ośmielił się porzucić bartnictwo, którym powinien był się zgodnie z prawem, naturą i porządkiem rzeczy zajmować, a potem kupił dwa wybraniectwa, które miały zapewnić mu osobistą wolność od powinności pańszczyźnianych, zwolnienie z innych ciężarów i godziwe dochody. Stanowiło to, zdaniem starosty i dzierżawcy, oburzające wykroczenie przeciwko ładowi społecznemu.

Nie pozostało też bezkarne: Gała został zamordowany.

Historia wybraniectwa stanowi dobrą ilustrację rozkładu instytucji państwowych Rzeczypospolitej. Piechota wybraniecka została zorganizowana w 1578 r., za czasów Stefana Batorego. Miała według pierwotnego projektu liczyć 1806 żołnierzy na całe ogromne państwo, a więc niezbyt wielu. W 1590 r. sejm uchwalił, że wybrańcy dostawali duże jednołanowe gospodarstwa, byli zwolnieni z pańszczyzny, czynszów i podatków, a gospodarstwa mogli przekazywać w spadku. Już od 1638 r. wybrańcy mogli się jednak wykupić ze służby wojskowej za gotówkę. W 1726 r. po prostu zamieniono wszystkie ich obowiązki na roczną opłatę w wysokości 100 złotych, przeznaczając te pieniądze na utrzymanie liczącego około 350 żołnierzy regimentu piechoty. Nadal jednak dochodowe wybraniectwa nie zostały zastrzeżone dla szlachty. Próbowała ona je przejmować dla siebie, także usuwając z nich chłopskich posiadaczy, co kończyło się sądowymi sporami – a czasami przemocą.

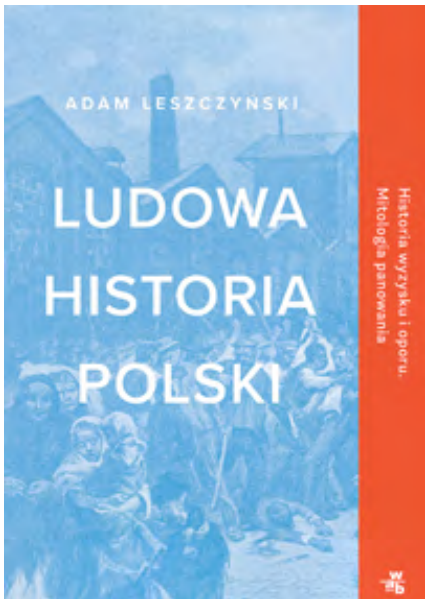


W latach 60. XVIII w. Walenty Gała kupił dwa wybraniectwa od szlachcica Krzysztofa Czechowskiego. Zapłacił za nie łącznie 4442 złote. Sprzedający, korzystając z tego, że chłop nie orientował się w kosztach procedur prawnych i opłat za spisanie umowy, wyłudził jeszcze od niego 942 złote. Była to łącznie znaczna suma, odpowiadająca opłacie za trzyletnią dzierżawę dużej wsi (o wartości 21 tys. złotych). Małą wieś można było zaś kupić na własność nawet za 3 tys. złotych. Jako chłop Gała naturalnie wsi kupić nie mógł i musiał szukać innych możliwości zainwestowania majątku.

Można tylko zgadywać, w jaki sposób Gała mógł się dorobić. Był bartnikiem służącym w starostwie sokolnickim, a więc poddanym królewskim. Jako bartnik otrzymywał niewielkie roczne wynagrodzenie od starosty oraz miał prawo korzystania z niedużej działki ziemi. Zgodnie ze zwyczajem należała też do niego trzecia część miodu i wosku wyrabianego przez pszczoły, którymi się opiekował. Miód i wosk mógł sprzedawać na pobliski Śląsk, należący od 1742 r. do Prus. Wiadomo, że taki handel istniał i to z niego zapewne wzięła się chłopska fortuna.

Kupiwszy oba wybraniectwa, Gała porzucił służbę u starosty. (...)

Gała zaczął też używać nazwiska Galiński, co wyraźnie wskazuje na jego ambicje społecznego awansu. Starosta wzywał parokrotnie Gałę-Galińskiego do dworu, a potem wysłał swoich oficjalistów z nakazem, aby go pojmali.

Trafił jednak na twardą sztukę. Gała chodził zawsze uzbrojony. W chałupie miał „fuzyje dwie, karabin jeden, pistoletów parę, kosę nasadzoną wprost na trzonku, szpadę na półtora łokcia długą w kij osadzoną". Kiedy jego syn orał, chłop (a może już nie chłop?) chodził za nim z dwoma flintami w rękach. Nawet zboże ze swoich pól, jak zanotowano w aktach sądowych, zbierał uzbrojony.

Starosta i jego dzierżawca nie dawali za wygraną. 13 lipca 1768 r. urządzili zajazd (dokładna data jest znacząca, bowiem cztery miesiące wcześniej sejm zakazał takich praktyk). Pod wieczór czterech szlachciców, karbowy, stróże dworscy, młynarz, włodarz oraz wójt i ławnicy wiejscy rozpoczęli regularne oblężenie chałupy Gały. Chłop z synami bronił się zacięcie przez całą noc. Kiedy oblegającym nie udało się podpalić domu, wyłamali drzwi i wtargnęli do środka. Gała z synem zranili wójta, ale w chwilę później jeden ze szlachty strzelił przez okno do Gały i go zabił.

(...)

Historia bartnika Gały, niedoszłego Galińskiego, to dobra ilustracja funkcjonowania barier społecznych w Rzeczypospolitej szlacheckiej. Wchodzenie nieszlachty do stanu szlacheckiego, czasami legalne, ale częściej nielegalne, pozostawało zbiorową szlachecką obsesją, przybierającą niekiedy postać chorobową.

# Odwet bez przebaczenia

**Tekst:** Krzysztof Jakubowski

**Już wczesną wiosną 1945 roku, wraz z szybkim marszem Armii Czerwonej w kierunku Berlina, na ziemiach wyzwolonych spod okupacji niemieckiej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego – tymczasowy rząd pod kuratelą Sowietów – zaprowadzał nowe porządki.**

Kluczowym elementem nowego ładu były urządzane naprędce, choć metodycznie, miejsca odosobnienia. W latach 1945–1950 funkcjonowało w Polsce 206 (*sic!*) obozów pracy przymusowej podległych Urzędowi (później Ministerstwu) Bezpieczeństwa Publicznego. Więziono w nich przede wszystkim Niemców, Ukraińców, Łemków i Cyganów, ale nie tylko. Przetrzymywano tam także Polaków, przy czym równo potraktowano tych, którzy podpisali volkslistę, i niepokornych wobec nowej władzy. Nie było przy tym specjalnych obozów dla kobiet, lecz tylko wydzielone baraki. Dynamicznie rosła liczba więźniów. O ile w połowie 1945 roku było ich ponad 50 tys. (w tym ponad 2 tys. Niemców i około 35 tys. volksdeutschów), o tyle w lutym 1946 roku w więzieniach i obozach już ponad 120 tys.

W oficjalnej historiografii PRL-u powojenne obozy pracy przymusowej były tematem tabu. Do publicznej wiadomości przebiło się tylko – dwukrotnie – istnienie obozu w Łambinowicach (zlikwidowanego w październiku 1946 roku), przeznaczonego głównie dla Ślązaków i Niemców czekających na przymusowe przesiedlenia w głąb Niemiec. Raz przy okazji procesu komendanta obozu pod koniec lat 50. i raz jeszcze w latach 70.

Zaskakuje i przytłacza liczba obozów uruchamianych zwykle w miejscu byłych niemieckich pomocniczych obozów koncentracyjnych, często z zachowaniem istniejącej tam infrastruktury. Na Śląsku i Pomorzu obozy powstawały nadto w koszarach czy zabudowaniach poklasztornych.

Jednym z pierwszych przejętych przez MBP był obóz „Zgoda" w Świętochłowicach, urządzony w miejscu istniejącego w latach 1942–1945 niemieckiego podobozu koncentracyjnego KL Auschwitz – KL Eintrachthütte, który dostarczać miał siłę roboczą do pobliskiej huty, już przed wojną słynącej z unikatowych nowoczesnych urządzeń. Mimo w miarę znośnych warunków, trudów obozowego życia nie wytrzymało tam kilkuset więźniów. Podobóz z niemal 1300 więźniami został ewakuowany przez Niemców w grudniu 1944 i w styczniu 1945, tuż przed wejściem Armii Czerwonej. Spory teren, otoczony podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego pod napięciem, z barakami bez prycz, strzeżony przez cztery wieże wartownicze, niemal z tygodnia na tydzień zmienił gospodarza.

Jednym z organizatorów obozu, a wkrótce komendantem „Zgody" mianowano niespełna 26-letniego Salomona Morela. Morel był Żydem. Twardym, wojującym. Kiedy stracił całą rodzinę, przystąpił do partyzanckiego oddziału operującego w lubelskich lasach. Po wojnie wraz z kolegami zaciągnął się do wojska, już ludowego, bo była to wówczas częsta ścieżka kariery. Pod jego twardą ręką obóz funkcjonował według wzorcowych hitlerowskich metod. Więźniów, głównie Ślązaków – nie tylko deklarujących pochodzenie niemieckie – katowano, dręczono, gwałcono, zmuszano do pracy ponad siły. Z powodu głodu, zimna, epidemii tyfusu i braku opieki lekarskiej straciło tam życie ponad 1800 ludzi. Kilka miesięcy później świętochłowicki obóz zlikwidowano, a Morel został komendantem Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie, który przetrwał (później jako więzienie dla młodocianych) do 1955 roku.

O losach komendanta-sadysty, o Lubelszczyźnie czasu wojny i powojennym Śląsku opowiada książka *Komendant. Życie Salomona Morela*. Opowieść wciąga natychmiast dzięki znakomitej wielowątkowej narracji, przywodzącej na myśl dawne powieści szkatułkowe. Przez pryzmat relacji nie tylko ofiar, ale także współpracowników Morela, Anna Malinowska pokazuje aurę i złożoność tamtych niełatwych czasów. Nie buduje przy tym tez i nie stawia łatwych pytań. Relacjonuje za to wartko, zgodnie z chronologią zdarzeń. Dzięki dziesiątkom rozmów ze świadkami buduje nastrój wzorcowego reportażu. To czytelnik zmuszony jest do refleksji. Czy nienawiść zawsze musi rodzić nienawiść? Czy trauma wojennych doświadczeń może usprawiedliwiać odwet?

Anna Malinowska, *Komendant. Życie Salomona Morela,* Agora, Warszawa 2020.

**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Fot. z archiwum i za zgodą wydawcy

**Anna Malinowska** – ukończyła politologię ze specjalnością dziennikarską na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Pracowała między innymi w „Trybunie Śląskiej", a od 2005 r. jest dziennikarką katowickiego oddziału „Gazety Wyborczej". W 2017 r. ukazała się jej *Brunatna kołysanka,* opowiadająca o losach polskich dzieci uprowadzonych w czasie wojny przez Lebensborn.

Bartosz Wieliński o książce *Komendant. Życie Salomona Morela* pisał:
„W obozie »Zgoda« Salomon Morel kazał więźniom śpiewać nazistowskie piosenki, po czym ich bezlitośnie katował. W więzieniu w Jaworznie na jego rozkaz maltretowano nastoletnich działaczy antykomunistycznego podziemia. Anna Malinowska z reporterską precyzją rekonstruuje jego życie. Od Garbowa na Lubelszczyźnie, gdzie podczas wojny Polacy zamordowali jego żydowską rodzinę, po mieszkanie w katowickiej kamienicy, które w latach 90. opuścił, w pośpiechu uciekając przed przeszłością. Wstrząsająca opowieść o nierozliczonych zbrodniach popełnianych w polskim mundurze".

# *Komendant. Życie Salomona Morela*

**(fragmenty)**

Czy młody Szlomo ukrywający się w oborze albo w sosnowym lesie spodziewał się, że przyjdzie mu mieszkać w sąsiedztwie obozu ogrodzonego drutem pod napięciem? Żyć w takim miejscu bez strachu? Że role się odwrócą i to nie on będzie się bał, ale to inni będą się bać jego?

Salomon Morel mimo opinii „elementu szkodliwego" dostał od nowej władzy kopa w górę. Ma kierować świętochłowickim obozem. Początkowo wspólnie z Aleksym Krutem, ale wkrótce zostaje jedynym panem na obozowych włościach. Od przełożonych wie, że do Zgody kierowani będą Niemcy, kolaboranci, element wywrotowy. Być może, myśli Salomon, trafią tu ci, którzy kiedyś pracowali na Majdanku. Salomon o nich słyszał. W 1989 r. będzie opowiadał Johnowi Sackowi, jednemu z nielicznych dziennikarzy, z którymi rozmawiał, jak w czasie wojny zrodziła się jego nienawiść do Niemców. Kiedy patrzył na więźniów trafiających do Zgody, zastanawiał się, czy nie ma wśród nich tych, którzy działali w jego rodzinnych stronach. Gdy jeszcze był w partyzantce, usłyszał, jakie „dorzynki" urządzało sobie na Majdanku SS, mordując tysiące Żydów. I wtedy – jak będzie się zwierzał Sackowi – obiecał sobie zemstę. Już po wyzwoleniu Majdanka widział, jak kilku byłych strażników stało na samochodach ze stryczkami na szyjach, a polscy i żydowscy kierowcy zapalali silniki i odjeżdżali.

To słowa Salomona, które przytacza Sack. Czy rzeczywiście była w nim żądza zemsty? Jak i kiedy się narodziła? Wśród drzew lubelskich lasów? Na Zamku w Lublinie?

Czy chęć zemsty podsycała w nim Lola? Czy ze szczegółami opowiadała mu o swoim obozowym życiu? Czy Salomon może mieć pełny obraz tego, co Niemcy robili w obozach koncentracyjnych? Nie widział tego, co choćby Jan Karski, legendarny kurier podziemia, który przedostał się do jednego z obozów w mundurze ukraińskiego strażnika. On sam przez lata był przekonany, że trafił do Bełżca, ale później okazało się, że musiała to być Izbica Lubelska. „Przeszliśmy obok starego Żyda, mężczyzny mniej więcej sześćdziesięcioletniego, siedzącego na ziemi zupełnie nago. (...) Niedaleko niego małe dziecko, owinięte w łachmany, leżało na ziemi. Samotny skulony starzec wpatrywał się przed siebie wielkimi, przerażonymi oczami królika. Nim również nikt się nie przejął. Masa Żydów wibrowała, drgała i przelewała się tam i z powrotem jak w zbiorowym, obłędnym, rytmicznym transie. Wymachiwali rękami, krzyczeli, wykłócali się i przeklinali, opluwali się wzajemnie. Głód, łaknienie, strach i wyczerpanie doprowadziły ich wszystkich do szaleństwa. Dowiedziałem się, że zazwyczaj pozostawiano ich w tym obozie na trzy albo cztery dni, bez kropli wody i pożywienia" – pisał Karski. Przedstawia również to, co działo się na obozowej rampie, gdy podjechały wagony kolejowe. „Dwa wagony dosłownie pękały w szwach, szczelnie wypełnione ludzkimi ciałami, całkowicie zapchane. (...) Podłogi wagonów wysypano zawczasu warstwą grubego białego proszku. Było to niegaszone wapno. Wapno takie jest po prostu sproszkowanym tlenkiem wapnia. Ktokolwiek widział mieszanie cementu, wie, co się dzieje, gdy wodą zalewa się wapno. Mieszanina taka zaczyna wtedy buzować i syczeć, a gaszeniu wapna towarzyszy wydzielanie znacznych ilości ciepła. (...) Wilgotne ludzkie ciało w zetknięciu z wapnem błyskawicznie się odwadnia i dochodzi do poparzeń (...) " – pisał Karski.

Izbica Lubelska, mniej znana przybudówka Bełżca, zajmowała ważne miejsce w planie eksterminacji Żydów podczas operacji „Reinhard".

– Morel wiedział, czym jest obóz koncentracyjny. Mój dziadek Walenty Tkaczyk był na Majdanku. Wypuścili go, ale był wrakiem człowieka. Dziadek opowiadał, co tam się działo. O biciu, spaniu na ziemi, polewaniu zimną wodą na apelach. Moja mama i mój wujek mówili o tym Morelowi. Wiedział też, że w tym piekle na ziemi zginął mój ojciec. Zabrali go w październiku, a 27 listopada już nie żył – mówi Tadeusz Filipek.

Czy dlatego Morel witał przywożonych do Zgody więźniów słowami: „Byłem w Oświęcimiu przez sześć długich lat i przysięgłem sobie, że jeśli stamtąd wyjdę, zapłacę wam, nazistom, za wszystko". Przecież Morel nigdy nie trafił do Oświęcimia.

# Rozmowy przy zielonej herbacie

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Agnieszka Fiejka

**Dominik Lisik w swoich pracach nawiązuje międzykulturowy dialog, patrząc na japońską sztukę użytkową oczami Europejczyka.**

Do tej rozmowy przygotowywałam się starannie. Kupiłam zieloną herbatę, z kredensu wyciągnęłam żeliwny dzbanek. Czarek nie miałam, ale uznałam, że porcelanowe filiżanki po babci godnie je zastąpią. W końcu spotykam się z artystą, który niejednokrotnie uczestniczył w ceremonii parzenia herbaty, a sztuką japońską przesiąknięty jest na wskroś, o czym świadczy znakomita wystawa *7 rzeczy japońskich*, którą jakiś czas temu mogliśmy oglądać w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha.

Teraz Dominik Lisik z wyrozumiałością patrzy na moje poczynania, tłumacząc, żebym się tak nie przejmowała przelewaniem herbaty czy czasem, jaki powinna pozostać pod przykryciem. – Japoński rytuał parzenia herbaty wywodzi się z filozofii zen, jest spotkaniem, któremu towarzyszy rodzaj napięcia, jakie tworzy się między człowiekiem prowadzący ceremonię, gośćmi, przestrzenią i przedmiotem, z którego pije się napar. Gdybyśmy mieli porównać to do naszych europejskich tradycji, to byłby to rodzaj modlitwy – mówi Dominik, podnosząc do ust filiżankę, którą, już teraz widzę, nie da się zastąpić czarki. On swoje czarki wypalał w Fabryce Porcelany w Ćmielowie, pod okiem jej dyrektora artystycznego Marka Cecuły.

Zanim go jednak wciągnął dizajn, zrodziła się w nim dziecięca fascynacja japońską kulturą. Był przełom lat 80. i 90. minionego stulecia, kiedy w telewizji pojawiły się japońskie kreskówki. Kilkuletni Dominik nie potrafił się od nich oderwać. Z otwartą buzią siedział przed telewizorem, śledząc przygody plastikowych bohaterów o ogromnych, choć skośnych oczach. – Zawsze zastanawiało mnie to, skąd w postkomunistycznej Polsce pojawiły się japońskie animacje. Okazuje się, że sprowadzała je telewizja Rai Uno, która miała podpisaną umowę z Polsatem. To były okropne rzeczy, ale dzieciom podobały się, ponieważ każda z postaci miała bardzo wyraziste cechy, co, teraz już wiem, wywodzi się z japońskich drzeworytów – opowiada Dominik, który z biegiem czasu zaczął oglądać poważniejsze filmy, szczególnie te przedstawiające dystopijną wizję świata.

Wtedy też marzył, by rysować japońskie mangi. Nie miał jednak cierpliwości do tworzenia rozbudowanych scenariuszy. Poza tym wrodzony perfekcjonizm rozmijał się z mało precyzyjną kreską, której wymagał komiks. Pomyślał więc, że znajdzie dla siebie miejsce na Wydziale Form Przemysłowych ASP w Krakowie. Rozczarowanie przyszło szybko. – Owszem, nauczyłem się tam projektować, ale zrozumiałem, że nie chcę uczestniczyć w produkcji przemysłowej rzeczy, którymi ludzie się zachwycali. Zaczęło się to rozjeżdżać z moim poczuciem estetyki i odpowiedzialnością wobec ziemi, natury.

Dominik znacznie lepiej się poczuł, kiedy zaczął studiować architekturę wnętrz. Tam miał wreszcie szansę tworzyć swoje światy, takie jak ten w zrewitalizowanym, PRL-owskim pawilonie handlowym w Zielonkach. Szklaną strukturę i drewniane elementy nałożył tam na beton, a w jednej z sal powiesił kimono. – Prof. Elżbieta Pakuła-Kwak, w pracowni której wtedy studiowałem, powiedziała mi, że ten jeden element w pustej przestrzeni wystarcza i nadaje ekspozycji dodatkowych znaczeń. Utwierdziła mnie wtedy w zamiłowaniu do minimalizmu.

Ale wówczas jeszcze Dominik nie szukał go w Japonii. Najpierw wymarzył sobie, by znaleźć podbudowę teoretyczną dla swojej sztuki w słynnej londyńskiej szkole architektonicznej AA (Architectural Association School of Architecture). To jedna z najbardziej awangardowych uczelni na świecie, sięgająca po tradycyjne wzorce, ale nadająca im też nowy wymiar. Takie zderzenia zawsze Dominika interesowały, co widać na przykładzie jego prac, w których ikoniczne japońskie przedmioty codziennego użytku poddawane są przez niego interpretacji, zyskując niezwykle ciekawy, indywidualny rys. By to zrozumieć, musiał pojechać do Japonii i tam odnaleźć wzorce, które pozwoliły mu podjąć dialog między kulturami. – Wtedy nie miałem już wątpliwości, że właśnie na nim oprę moją pracę doktorską, którą przygotowuję w warszawskiej ASP pod okiem prof. Jerzego Porębskiego. W jej ramach wymarzyłem sobie wystawę w Muzeum Manggha, w czym bardzo pomogły mi dyrektor Bogna Dziechciaruk-Maj i wicedyrektor Katarzyna Nowak.

Ekspozycję Dominik podzielił na dwie przestrzenie. Pierwsza jest domowa, znalazły się w niej zaprojektowane przez niego meble, kimono, ikebany i noże. Druga to przestrzeń japońskiego ogrodu, dającego wytchnienie i pozwalającego powrócić do natury i duchowości. To miejsce, gdzie można było zatęsknić za zieloną herbatą, nawet taką jak parzoną przeze mnie w domu. Zapytałam Dominika, co by powiedział na moje herbaciane zabiegi Japończyk? – Japończycy to nie są Włosi, którzy nakrzyczeliby na ciebie, że ośmieliłaś się do *spaghetti carbonara* dodać jogurtu. Japończycy są bardzo zainteresowani tym, jak interpretujemy ich kulturę, dlatego patrzyliby na to, co robisz, z wielkim zaciekawieniem.

Dominik Lisik jest absolwentem Wydziału Form Przemysłowych i Wydziału Architektury Wnętrz ASP. Zajmuje się projektowaniem mebli, przedmiotów użytkowych i architekturą wnętrz. Wykłada na kierunku Wzornictwo na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie.

**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...


Mecenasem strony jest CHABASIEWICZ KOWALSKA

KWESTIONARIUSZ PROUSTA

PO KRAKOWSKU

# Odpowiada Dominik Lisik

**Zapach, jaki kojarzy ci się z Japonią.**
Bardzo specyficzny zapach wagonów metra i kolei. Tam wszędzie można dotrzeć transportem szynowym, stąd powszechnie się go używa, a punktualność japońskich kolei i metra sprawia, iż wagony stają się ruchomymi, przyjaznymi podróżnemu pokojami. W związku z tym, podróżując, nie odczuwa się żadnej irytacji, a jedynie podziwia zmieniające się za szybą obrazy.

**Kolor, bez którego nie wyobrażasz sobie Kraju Kwitnącej Wiśni.**
Pastelowy róż kwitnących kwiatów wiśni i rośliny o nazwie wisteria. Najpiękniejszy, bo jest tylko przez chwilę.

**Jakie japońskie smaki śnią ci się do dzisiaj?**
Smak tamtejszego białego ryżu.

**Czy masz w Krakowie miejsca, do których wracasz z dalekiej podróży?**
Krakowskie Planty, bo dla mnie to najpiękniejsza przestrzeń w naszym mieście. Niestety, historyczne elementy wyposażenia tego parku wymagają rewizji. To, że coś było zaprojektowane dawno temu, nie oznacza, że jest dobre.

**Czy jest miejsce na świecie, gdzie zdecydowałbyś się zamieszkać na stałe?**
Tokio. To miasto z przyszłości, które istnieje.

**A gdzie na pewno nie chciałbyś wrócić?**
Przybyłem, zobaczyłem i zostałem pokonany przez architekturę Rzymu.

**Gdy masz ochotę odpocząć, po jaki film najchętniej sięgasz?**
*Debiutantów* w reżyserii Mike Millsa.

**Czy istnieje książka, która zmieniła twój stosunek do świata?**
Książki to dla mnie wiarygodne źródła wiedzy, a wiedza w nich zawarta rzeczywiście kształtuje mój stosunek do świata. Ale jednej książce to się nie udało – jest ich znacznie więcej.

**Jakiej muzyki najchętniej słuchasz?**
Od hip-hopu przez alternatywę, aż po Callas. No i zawsze wiernie wracam do Kate Busch.

**Gdybyś mógł zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?**
Zredukowałbym wrażliwość, bo to ostania rzecz, jaką ludzie doceniają.

**Gdybyś po śmierci miał odrodzić się jako inna osoba, kim chciałbyś być?**
Japońskim cieślą.

**Gdybyś po śmierci miał odrodzić się jako zwierzę, co by to było?**
Brałbym pod uwagę wszystko, co daleko lata i długo żyje.

**Czy istnieje przesąd, któremu się poddajesz choćby żartem?**
Nie przesąd, ale moja wersja jednego z praw Murphy'ego: Jeśli coś może się zepsuć, to się zepsuje. Poddaję się temu aż nadto.

**A kto potrafi cię najbardziej rozśmieszyć?**
Wszyscy ludzie, którzy myślą, że są ważni i bardzo tego pragną.

**Jaką postać historyczną chciałbyś poznać?**
Thomasa Gerrita Rietvelda.

**A jakiej postaci historycznej nie chciałbyś spotkać nigdy w życiu?**
Leni Riefenstahl.


Mecenasem strony jest CHABASIEWICZ KOWALSKA

Dominik Lisik, *Ogród* (fot. Przemek Szuba)

# Czytanie filozofa

**Tekst:** Krzysztof Burnetko/juror konkursu

**Leszek Kołakowski pisał filozoficzne rozprawy, teksty polityczne, bajki nawet, ale nie pozostawił dzienników ani pamiętników. Mawiał, że „ze względów zasadniczych" – uważał, że życie osobiste, zwłaszcza życie uczuciowe i rodzinne, jest własnością prywatną, którą dzielić się z innymi nie chciał.**

Zbigniew Mentzel wyjaśnia więc we wstępie: „Napisanie biografii człowieka, który za dewizę przyjął łacińskie słowa *ama nesciri* (umiłuj bycie nieznanym), wydawało się zadaniem najtrudniejszym z trudnych".

Szczęśliwie – i to jest wskazówka dla wszystkich biografów – „biograficzne" jest już samo dzieło opisywanego bohatera. Wszak jego wczesne – pisane z pozycji marksistowskich – artykuły połączone z *Głównymi nurtami marksizmu* pokazują ideową przemianę filozofa. Z kolei jego analizy kondycji współczesnej cywilizacji, kultury i filozofii religii – chociażby *Czy diabeł może być zbawiony* i *Jeśli Boga nie ma* – są ilustracją jego zainteresowań i stylu myślenia. A eseje historycznofilozoficzne i publicystyka polityczna – z takimi epokowymi tekstami, jak choćby *Czym jest socjalizm*, *Tezy o nadziei i beznadziejności*, *Kapłan i błazen*, *Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą*, oraz wywołana przez nie dyskusja i ich oddziaływanie na sytuację w Polsce – świadczą o tym, jakie znaczenie miał Kołakowski jako komentator, ale i aktywny uczestnik życia publicznego powojennej Polski. Więcej, ich historia jest też obrazem rodzimej inteligencji, jej postaw oraz polityczno-etycznych (a także towarzyskich) dylematów.

A ponieważ z czasem, zwłaszcza po pozostaniu na Zachodzie, polski filozof stał się cenionym myślicielem globalnego już formatu (symbolem profesura na prestiżowym All Souls College Uniwersytetu w Oxfordzie), dochodzą do tego wielkie spory intelektualne ostatnich dekad – też możliwe do opowiedzenia na podstawie tekstów Kołakowskiego.

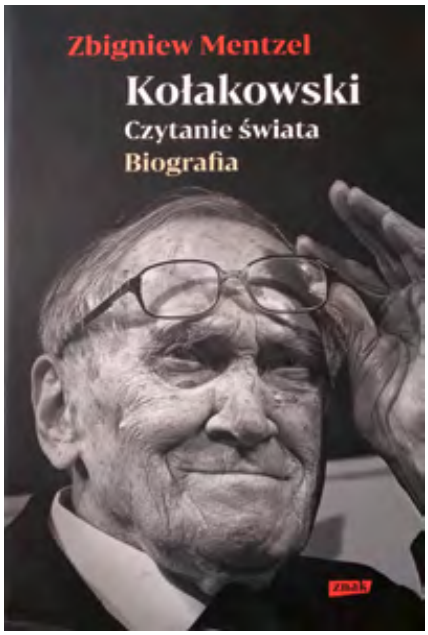


Nie mówiąc o tym, że rozmaite ważne w dziele Kołakowskiego eseje, wywiady czy prelekcje ogłaszane w czterech językach (polskim, angielskim, francuskim i niemieckim) w sporej części pozostają ciągle nieznane polskim czytelnikom.

Szczęśliwie też dla Mentzla trzy lata przed śmiercią Leszek Kołakowski zgodził się, by przeprowadził on z nim w Oxfordzie serię rozmów. Ich zapis ukazał się w dwóch częściach *Czas ciekawy, czas niespokojny* – nie wszystkie jednak watki wtedy zostały wykorzystane, teraz zatem można było po nie sięgnąć.

Mentzel zdradza nadto, że przełomem w jego badaniach nad życiem filozofa Kołakowskiego było ofiarowanie przez Tamarę Kołakowską Bibliotece Narodowej w Warszawie prywatnego archiwum jej męża – głównie jest to korespondencja z lat 1948–2009 (16 tys. listów!).

Zaznacza też, że jego biografia Leszka Kołakowskiego ma przede wszystkim charakter intelektualny. To – jak pisze – „biografia myśli". Przyznaje równocześnie, że nie jest kompetentny, aby swobodnie poruszać się „po rozciągniętym na wiele stuleci" polu zainteresowań swojego bohatera („mało kto jest zresztą do tego zdolny"). Nie mógł zatem pisać o Kołakowskim książki akademickiej czy monografii filozoficznej. Zdradza jednak: „Zależało mi na przedstawieniu głównych jego poglądów językiem jak najprostszym i w esencjonalnym skrócie. W miarę swoich możliwości próbowałem też pokazać tło kulturalne – szczególne okoliczności historyczne, w których twórczość Kołakowskiego powstawała i które miały na nią widoczny wpływ".

Udało się jak najbardziej. Efektem jest nie tylko barwny opis pasjonującego życia i myśli jednej z ważnych osobowości i osobistości powojennej Polski, ale też samych tych czasów. I wreszcie – wcale nie w tle, lecz siłą rzeczy z racji zaangażowania bohatera na równorzędnym planie – relacja krajowych i światowych dysput o sprawach kluczowych: wolności i zniewoleniu, etyce i polityce, demokracji i autokracji, roli religii i ludzkiej potrzeby Boga czy metafizyki, powinnościach odpowiedzialnej jednostki wreszcie. Sprawach nadal aktualnych.

Zbigniew Mentzel, *Kołakowski. Czytanie świata. Biografia*, Znak, Kraków 2020.

**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Fot. Dorota Jovanka Ćirlić

**Zbigniew Mentzel** (ur. 1951) – pisarz, krytyk, felietonista. Prozę, recenzje oraz artykuły drukował m.in. na łamach „Kultury i Życia", „Twórczości" i „Kultury" (warszawskiej). W latach 1977–81 był redaktorem działu kulturalnego „Polityki". Od lat 80. współpracował z emigracyjnym wydawnictwem Puls w Londynie i jego kwartalnikiem „Puls". Od roku 1994 zajmował się inwestycjami giełdowymi (był laureatem Akademii Gry na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie i współpracował z pismem „Parkiet"). W tym czasie publikował także w „Gazecie Wyborczej", „Przekroju", „Tygodniku Powszechnym" i „Rzeczpospolitej". Ogłosił także powieści *Wszystkie języki świata* oraz *Spadający nóż*. Przygotował do druku osiem tomów pism rozproszonych Leszka Kołakowskiego oraz dwa tomy rozmów z filozofem *Czas ciekawy, czas niespokojny*.

**Zbigniew Mentzel dla miesięcznika „Kraków":**

Dobrym duchem Leszka Kołakowskiego była – po wczesnej stracie matki – wychowująca go w dzieciństwie ciotka, Janina Pietrusiewicz. Miała ona, wspominał po latach, najcenniejszy dar bogów: zaufanie do życia. Zaufanie, które nie chroni przed cierpieniem, ale jest źródłem siły duchowej pozwalającej stawić czoło złu bez rozpaczy.

*

Zły duch wodzi na pokuszenie: za cenę ślepego posłuszeństwa obiecuje raj na ziemi i zapewnia udział we władzy, która tym łatwiej zaspokaja swoją żądzę, im mniej podlega kontroli. Takich złych duchów Kołakowski jako dwudziestoletni komunista miał wokół siebie legion. Na szczęście szybko wyzwolił się spod ich wpływu hipnotycznego, niszczącego.

*

Od dawna frapuje mnie pisarstwo Magdaleny Grzebałkowskiej: nie tylko jej klasyczne biografie osób (*Ksiądz paradoks. Biografia Jana Twardowskiego* czy *Beksińscy. Portret podwójny*), ale – może przede wszystkim – znakomita biografia „czasu i miejsca", książka o Polsce *1945. Wojna i pokój*.

# *Kołakowski. Czytanie świata. Biografia*

**(fragmenty)**

W swoim wczesnym eseju *Światopogląd i życie codzienne* (z połowy lat 50.) Kołakowski pisał, że warunkiem osiągania poczucia życia sensownego jest dążenie do maksymalnej redukcji tego, co uważamy za nieodwracalnie konieczne, ale też świadomość, że redukcja ta jest zawsze ograniczona. „Trzeba mieć przekonanie, że wiele można wybierać, ale że możliwości wyboru mają granice, które z biegiem życia pojedynczego stają się coraz bardziej nieustępliwe (...) czas jednostkowy w swoim przebiegu coraz bardziej pozbawia plastyczności tworzywo świata, w którym się działa, powoduje jego stwardnienie i petryfikację, sprawia, że to, co kiedyś poddawało się lada dotknięciu, stawia dziś opór ciosom topora. Im więcej wyborów się dokonało, tym węższa amplituda następnych".

Kołakowskiemu skrajnie obca była zawsze moralność stoicka z jej główną zasadą, że nieuchronne jest wszystko, co nas otacza, i że spokój duszy osiąga się wtedy, gdy przestajemy pragnąć, aby rzeczy działy się inaczej, niż się dzieją. Z jednego punktu widzenia dostrzegał wszakże użyteczność zasady stoickiej: „Sytuacje, które praktyka życia przedstawiła jako ewidentnie nieplastyczne, nieubłaganie stanowcze, muszą być, a nie jest to łatwe, afirmowane rozumnie w tym stopniu, żeby przestały produkować rozpacz, żal i nadzieję oślepłą na oczywistość".

Acedia – zniechęcenie, poczucie daremności wysiłków, bezradność wobec świata – powstaje niekiedy pod wpływem różnych sytuacji nieznośnych, które wprawdzie nie dają się przedstawić jako w oczywisty sposób nieuchronne, ale w życiu codziennym wykazują uporczywą powtarzalność. Już w 1980 roku Kołakowski, rozmawiając z Alison Browning, przyznawał, że często odczuwa „zniecierpliwienie bliskie rozpaczy, gdy trzeba tłumaczyć rzeczy, które na pierwszy rzut oka powinny być ewidentne" w życiu społecznym i politycznym. Dobrze również wiedział, że rewolucje – krwawe i bezkrwawe, jak ta wywołana przez Solidarność – już nazajutrz po zwycięstwie rodzą rozczarowanie i zawód. Po euforycznym przeżyciu „chwili jedności", społeczeństwo dzieli się, ujawniając swoje wewnętrzne skłócenie, konflikty i narastającą wśród rozczarowanych frustrację. Siły społecznej nabiera pytanie Hansa Fallady: „I cóż dalej, szary człowieku?". Głód nadziei obiecują zaspokoić demagodzy z walczących o władzę partii politycznych.

Pierwszy polski rząd stworzony po upadku komunizmu przez polityków późniejszej Unii Wolności Kołakowski oceniał wysoko. „Ten pierwszy rząd – Mazowiecki, Skubiszewski, Balcerowicz, Kuroń... – w straszliwie trudnej sytuacji musiał wyprowadzić Polskę na nowe koleiny i w końcu to zrobił, z wielkimi trudnościami, w męczarniach właściwie, ale to się udało".

Z czasem jednak polityka w Polsce budziła w nim narastającą niechęć. Przywiązany do wartości demokratycznych z niepokojem obserwował, jak się im w kraju zaprzecza. Zapytany w 2005 roku przez redaktora „Rzeczpospolitej", czym polska demokracja różni się od brytyjskiej, którą dobrze poznał, odpowie: „Tu [w Anglii] po prostu funkcjonuje rozdział władzy. Trzy organy państwa: władza wykonawcza, ustawodawcza i sądownicza, są niezależne. Jest też dobrze ugruntowana klasa *civil servants*, urzędników służby cywilnej, niezależnych od partii politycznych, którzy się nie zmieniają w wyniku wyborów i stanowią trzon państwa. (...) Jest niesłychanie ważne, aby podstawowa struktura państwowa była niezależna od partii politycznych. Tego możemy się uczyć od Brytyjczyków".

Niechęć, żeby nie powiedzieć: odrazę, budził w Kołakowskim język polityki – dostatecznie bezkreściwy, mało dokładny, ale za to, w intencji jego użytkowników, pobudzający emocjonalnie. Język polityki – jak dosadnie go nazywał: „polityczne łajno językowe" – jest na całym świecie „językiem kłamliwym z natury rzeczy. Kłamliwym nie w tym sensie, żeby wszystko w nim było kłamstwem, ale w tym, że wszystko jest niedopowiedziane, albo tak powiedziane, żeby mogło uchodzić za coś ważnego i prawdziwego, chociaż takie nie jest".

Po proklamowaniu przez prawicę Czwartej Rzeczypospolitej Kołakowski napisał niedrukowany, satyryczny artykuł „Czekamy na Piątą": „Potrzebna nam Piąta Rzeczpospolita, a może i Szósta. Potrzebna nam, bo musimy mieć Nowy, Solidarny Polski Język, tymczasem zrobiliśmy ledwo początek wydobywania się z ohydnego, liberalnego i komunistycznego języka (a liberalizm i komunizm to jedno i to samo, jak wiadomo) ".

Artykuł – z 2005 roku! – był wizją zniszczenia niezależnych organów państwa przez ich upartyjnienie. „Musimy zdefiniować wyraźnie, nie zaś tylko półgębkiem, na czym polega, na przykład, niezawisłość władzy sądowniczej wszystkich stopni. To jasne. Naród nasz postanowił w demokratycznych wyborach, kto jest partią rządzącą. Oczywiste jest przeto, że sędziowie nie mogą słuchać poleceń innych partii, ale mają być wyznaczani przez demokratycznie wybraną partię rządzącą. To jest prawdziwa, nie zaś liberalno-komunistyczna, niezawisłość sędziów".

# Atlantyda wytęskniona

**Tekst:** Janusz M. Paluch/juror konkursu

**Prof. Stanisław Nicieja przedstawia historię współczesnej stolicy Litwy przez pryzmat polskości. W końcu od poślubienia przez Władysława Jagiełłę Jadwigi Andewageńskiej po upadek Rzeczypospolitej w 1795 roku Wilno było jednym z najważniejszych miast Rzeczypospolitej.**

Choćby poprzez istnienie tam uniwersytetu, założonego w 1569 roku przez króla Stefana Batorego pod nazwą Akademia i Uniwersytet Wileński Towarzystwa Jezusowego. Był to drugi najstarszy w państwie uniwersytet, jeden z najstarszych w Europie Wschodniej i Północnej, perła w Koronie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Najpierw przekształcony w carski uniwersytet, zlikwidowany został w 1832 roku po powstaniu listopadowym. Dlatego już kilka miesięcy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, 11 października 1919 roku, za szczególnym staraniem Naczelnika Józefa Piłsudskiego uniwersytet rozpoczął działalność dydaktyczną. Nicieja podkreśla, iż Marszałek jest jednym z nielicznych przywódców wojskowych, który „takim kultem otaczał instytucję uniwersytetu". W jego wniosku o reaktywację uczelni, nazywanej od tamtego czasu Uniwersytetem Stefana Batorego, czytamy: „Chciałbym, aby to miasto stało się jedną z wielkich stolic świata, ogniskiem kultury, Nowymi Atenami, które promieniowałyby nie tylko na kraj cały, ale i daleko poza jego granice i w ten sposób nawiązały nić tradycji ze swoją przeszłością – miasta Śniadeckich, Lelewela, Mickiewicza".

Dla Polaków Wilno to głównie słynący cudami obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, której Adam Mickiewicz dziękuje w swym dziele *Pan Tadeusz* za cudem darowane życie. To cela Konrada w dawnym klasztorze Bazylianów, w którym z przyjaciółmi więziony był Adam Mickiewicz – kultowe miejsce dla polskich poetów marzących przez pokolenia literackie, by tam wybrzmiał ich wiersz... Cmentarz na Rossie, gdzie pochowana jest matka Piłsudskiego i serce jej syna, i polscy żołnierze nichcący oddać Wilna, i tysiące Polaków wielkich i znaczących dla nauki i kultury oraz zwykłych mieszkańców... To książki Czesława Miłosza, Tadeusza Konwickiego, ale i Tomasza Venclovy, które dla naszego pokolenia stanowiły lekturę obowiązkową. Legenda wielkiej miłości króla Zygmunta Augusta do Barbary Radziwiłłówny.

Stanisław Nicieja na łamach książki przywołuje też rodzinę Dzierżyńskich. Twórca krwiożerczego NKWD Feliks Dzierżyński uczęszczał do tego samego, pierwszego gimnazjum wileńskiego mieszczącego się w murach dawnego uniwersytetu wileńskiego, w murach którego uczyli się Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki, co Józef Piłsudski, a idąc socjalizującymi ścieżkami, w jakże inne doszli rejony.

Książka Stanisława Niciei jest portretem Wilna – podszytego polskością... W czasach zaborów o polskość walczącego. Od pierwszego spisu ludności w 1897 roku (Wilno liczyło wówczas 96 tys. mieszkańców) dominowały tam dwa żywioły: Polacy (30,9 proc.), Żydzi (40 proc.), potem Rosjanie (20,1 proc.), w końcu obok innych narodowości Litwini, którzy do 1945 roku nie przekroczyli 2,1 proc. ogółu społeczności! Wszystko zmieniła II wojna światowa, która wyrzuciła do nowej, powojennej Polski ponad 170 tys. Polaków. I choć społeczność polska stanowi obecnie tylko 15,5 proc. mieszkańców stolicy Litwy, to nadal tworzy wyrazisty portret polskiego Wilna nad Wilią, nad którym znowu górują – od 1989 roku, trzy białe krzyże Wiwulskiego...

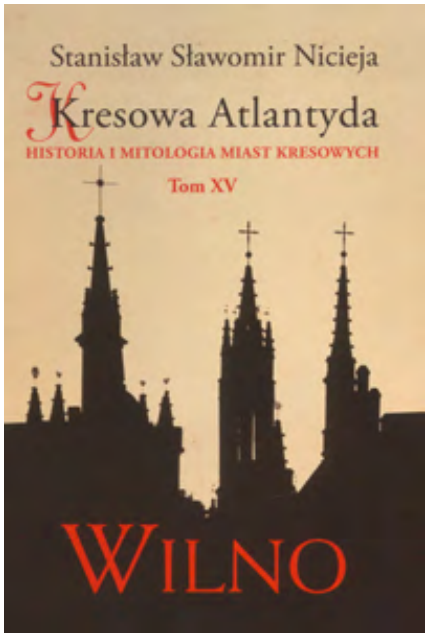


Byłem w Wilnie w sierpniu 2020 roku. Tuż przed wyjazdem, na placu katedralnym pojawiły się nagle grupy młodzieży, które pomału zaczęły ustawiać się parami w przemyślanym szyku... Jakiś *flash mob* – pomyślałem. Nagle z ustawionych głośników popłynął *Polonez* Kilara, a młodzi ludzie ruszyli dostojnym krokiem w rytm muzyki. „Co się dzieje?" – zapytałem mężczyznę, którego spotkałem już wcześniej w Muzeum Adama Mickiewicza jako przewodnika. Maturzyści polskich szkół uroczyście kończyli – przez koronawirusa w sierpniu – rok szkolny, a przewodnik był profesorem jednej z tych szkół. Wisława Szymborska w wierszu *Atlantyda* zastanawiała się: „Istnieli albo nie istnieli. / Na wyspie albo nie na wyspie. / Ocean albo nie ocean / połknął ich albo nie". Mają się dobrze, także potomkowie ekspatriantów tworzący kulturę i naukę polską czy to nad Odrą, Wisłą czy Bałtykiem.

Stanisław S. Nicieja, *Wilno. Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych.* Tom XV, Wydawnictwo MS, Opole 2020.

**Janusz M. Paluch** – jest krytykiem i animatorem kultury (m.in. współinicjatorem Nagrody Krakowska Książka Miesiąca oraz redaktorem naczelnym kwartalnika „Cracovia Leopolis").

Fot. archiwum prof. Stanisława Niciei

**Stanisław Nicieja** (ur. 1948) – historyk i historyk sztuki XIX i XX wieku. Absolwent Wydziału Filologiczno-Historycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, od 1989 profesor nauk humanistycznych. W życiu politycznym wiązał się z lewicą, najpierw jako działacz PZPR, a potem, w wolnej Polsce, senator SLD.

Po przekształceniu WSP w Uniwersytet Opolski przez wiele lat był rektorem tej uczelni.

Silnie angażował się prace na wszelkich forach polsko-ukraińskich – zasiadał w Polsko-Ukraińskiej Komisji do spraw Renowacji Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie, zespole Odbudowy Cmentarza Orląt we Lwowie (od 1993), redakcji miesięcznika „Semper Fidelis" (1989–1993).

Publikował m.in. w „Zeszytach Historycznych", „Dziejach Najnowszych", „Odrze", „Przeglądzie Wschodnim". Jest współautorem sześciu filmów dokumentalnych o Lwowie i licznych książek o Kresach (między innymi *Lwowskie Orlęta. Czyn i legenda*, Warszawa 2009). Ale bezsprzecznie największym jego dziełem jest cykl zakrojony na blisko trzydzieści tomów, poświęcony książkowemu odtworzeniu mitu Kresów.

**Prof. Stanisław Nicieja dla miesięcznika „Kraków":**
Trudno powiedzieć, kto był dobrym duchem tej serii. Ale niewątpliwie wielcy Kresowianie, których miałem szczęście spotkać w życiu, a wśród nich Stanisław Lem, Wojciech Kilar, Jerzy Janicki, Adam Hanuszkiewicz, Ryszard Kapuściński. Zaczęło się od Lwowa, w trakcie pisania książki o Cmentarzu Łyczakowskim, która ukazała się w 1989 roku w ogromnym nakładzie (ćwierć miliona egzemplarzy), została Książką Roku i otworzyła mi drzwi do pierwszoligowych Kresowian oraz ich domowych archiwów. A później zacząłem realizować cykl *Kresowa Atlantyda*, który w sumie ma już ponad 4 tysiące stron i jest zilustrowany około trzema tysiącami unikatowych fotografii. Jest tam cała galeria kilkuset biografii, minibiografii, fleszy biograficznych o ludziach, którzy zapisali się pięknie w kulturze tamtych ziem.

Złym duchem niewątpliwie jest czas, który – prawem biologii – zabiera z każdym tygodniem ludzi Kresów, a z nimi cały świat, który mieli w swej pamięci. Muszę się więc śpieszyć, aby dotrzeć do nich i wydobyć od nich fakty oraz różne informacje, którym grozi unicestwienie, jeśli ktoś tego nie zapisze. Na szczęście są ich potomkowie i często strażnicy pamięci o rodzinnej genealogii. I z ich wspomnień, relacji, materiałów archiwalnych, które przechowują, buduję kolejne tomy *Kresowej Atlantydy* – świata, który tonie w mrokach zapomnienia. Z tych okruchów, które gromadzę, udaje mi się złożyć rozbite lustro. XV tom, wileński, mówi o fenomenie tego miasta w kulturze europejskiej, miasta niezwykle ważnego dla Polaków, Żydów, Rosjan i Litwinów. I o nich, i ich świecie jest ten wileński tom, zilustrowany fotografiami, które otrzymałem najczęściej z domowych archiwów moich bohaterów i które częstokroć po raz pierwszy zostały opublikowane.

*

Ostatnio zafrapowała mnie najbardziej wydana przez Ośrodek Karta książka *Odsłony Cata. Stanisław Mackiewicz w listach* (wybór i redakcja Natalia Ambroziak, Warszawa 2020). To niezwykła, bo złożona z listów, biografia jednego z najwybitniejszych polskich publicystów i pisarzy politycznych, a także znakomitego biografisty, który sportretował z literacką swadą chociażby Fiodora Dostojewskiego i króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Książka – złożona z korespondencji Stanisława Cata-Mackiewicza z jego przyjaciółmi – pokazuje osobowość tego częstokroć awanturnika politycznego i literackiego.

# *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych. Tom XV. Wilno*

**(fragmenty)**

Adam Wierciński nazwał Wilno „Wielkim Księstwem Literackim, bo rzeczywiście było tam największe stężenie żywych i umarłych poetów na kilometr kwadratowy. Tak też Wilno postrzegał po latach, z perspektywy amerykańskiej Czesław Miłosz. „Moje wspomnienia o Wilnie – pisał – i jego atmosferze pozwalają na postawienie pytania, skąd wzięła się wyjątkowa jego kulturalna płodność w latach 1918–1939. (...) Gdzie szukać przyczyn? W architekturze? W kościołach i świątyniach różnych wyznań? W rozlegającej się na ulicach mieszance języków? W murach uniwersytetu, tak różnego od innych ówczesnych polskich uniwersytetów? (...) Moi wileńscy przyjaciele mieszkający w Polsce próbują mnie namówić do napisania książki o Wilnie, która by pomogła wyjaśnić, czemu z ówczesnego Wilna wyszło tylu ludzi dzielnego ducha, i chcąc dać tego obraz, nie należałoby ograniczać się do literatury wileńskiej w języku polskim. Równocześnie, przy rozmaitych wpływach i przeplotach, pisano i drukowano w jidysz, po hebrajsku, po litewsku, po białorusku. Gąszcz to nazwisk, grup politycznych i problemów".

Przywołując biografie tak wielu postaci związanych z Uniwersytetem Wileńskim, zamierzyłem dać egzemplifikację tego, co Czesław Miłosz – absolwent tej uczelni – ogólnie zarysował w swoim eseju o Wilnie jako mieście o niezwykłym *genius loci*.

W latach 1945–1946 władze sowieckie wysiedliły z Wilna i jego najbliższych okolic około 170 tysięcy Polaków. Wśród wysiedlonych było wielu profesorów i młodszych pracowników naukowych Uniwersytetu Stefana Batorego. Wielu z nich opuszczało Wilno w tym samym transporcie, nie wiedząc, gdzie ich pociąg zawiezie. Przypuszczano, że do Szczecina. Gdy pociąg dojechał do Torunia, zapadła decyzja, aby tam się zatrzymać. Kto był pomysłodawcą? Kto pierwszy rzucił tę myśl? Jest wiele domniemań. W każdym razie – jak ustalił Jarosław Krasnodębski – 21 lipca 1945 roku w Toruniu mieszkało już 112 pracowników Uniwersytetu Stefana Batorego, w tym 16 profesorów i docentów. Wśród nich byli między innymi profesorowie Władysław Dziewulski, Konrad Górski, Mieczysław Limanowski i Edward Passendorfer. Łącznie w Toruniu osiadło około 4 tysięcy dawnych mieszkańców Wilna, co stanowiło 5 proc. całej, liczącej 77 tysięcy, populacji miasta. Najważniejszą grupę stanowiła kadra naukowa, która stworzyła Uniwersytet nazwany imieniem Mikołaja Kopernika.

Toruń do tego czasu nie miał uczelni akademickiej. W powiatowym mieście bez tej kadry raczej nie byłoby możliwe wówczas stworzenie uniwersytetu. W 2015 roku, w 70. rocznicę powstania Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, fakt ten uznano w plebiscycie za „wydarzenie milowe w dziejach miasta" i w ramach obchodów tej rocznicy rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika prof. Andrzej Tretyn, prezes Towarzystwa Wilna i Ziemi Wileńskiej w Toruniu Józef Szyłejko, prezydent Torunia Michał Zaleski oraz przewodniczący Rady Miasta Torunia Marcin Czyżniewski odsłonili na toruńskim Dworcu Głównym tablicę głoszącą: „Pamięci mieszkańców Wilna i Wileńszczyzny, w tym profesorów oraz pracowników naukowych i administracyjnych Uniwersytetu Stefana Batorego, którzy przybyli na ten dworzec wiosną i latem 1945 roku, by w Toruniu znaleźć swój dom i odmienić oblicze naszego miasta. W 70. rocznicę pierwszego transportu i w roku 70-lecia Uniwersytetu Mikołaja Kopernika".

# Podróż Chrisa Niedenthala

**Tekst:** Paweł Głowacki

**Jak niewielu jest Polaków, którzy nie znają tego zdjęcia?**

Warszawa zimą. Z przodu – jezdnia w śniegowym błocie, szarzy ludzie na chodniku. W centrum kadru – ciemne, monstrualne cielsko wojskowego transportera opancerzonego SKOT i znudzeni żołnierze obok. Za żelazem – gmach ruchomych iluzji, co przy wejściowych schodach ma na straży kamienne lwy, a na dachu neon „Kino Moskwa", pod którym można na białym wielkim afiszu przeczytać tytuł filmu Francisa Forda Coppoli *Czas apokalipsy*. Na końcu widoku, w oknach ponurej kamienicy za gmachem ruchomych iluzji – nawet cienia ludzkich twarzy. Jest tylko czarny strach za nieruchomymi firankami.

Zdjęcie to, 14 grudnia 1981 roku przez Chrisa Niedenthala zrobione z okna klatki schodowej domu stojącego naprzeciwko kina Moskwa, od dziesiątków lat, od początku może – w istocie nie jest zdjęciem. Jest ikoną stanu wojennego, jest legendą, symbolem walki o wolność, mitem, czarno-białym znakiem nieśmiertelności, skazanym na trwanie bez końca fotograficznym Szczerbcem. Jest jak elementarna fraza „Ala ma kota", która sama – wszystkim wystarcza, więc autor jej, Marian Falski, nikomu nie jest potrzebny. Bądź jak słowa „Być albo nie być". I Książę, i cały *Hamlet*, i też życie Szekspira oraz reszta jego dzieł – wszystko to jakby znika, przestaje ważyć, bo przecież wiadomo, że „Być albo nie być", to jest „Być albo nie być", ni mniej, ni więcej – czyli pełnią mitu jest, który w zupełności nam wystarcza.

Tamtego grudniowego dnia Niedenthal pstryknął zatem mit, pstryknął i – zniknął. Dokładnie mówiąc – od dnia, w którym mityczny kadr, przez niemieckiego studenta do zachodniego Berlina przemycony, na okładce „Newsweeka" objawił się światu, Niedenthal zaczął znikać w rosnącym, gęstniejącym cieniu mitycznego kadru. Wybrani mają to przewrotne szczęście, że historia czasem wciska całe ich życie w jeden gest, w pstryknięcie. Po czym nawet i to ginie. Zostaje tylko efekt gestu – choćby pęczniejący ślad pstryknięcia.

Dziś ikoniczna ta fotografia widnieje na okładce drugiego rozszerzonego wydania autobiografii Chrisa Niedenthala, grubo ponad pół tysiąca stronic liczącej księgi *Zawód: fotograf. Ciąg dalszy nastąpił*. Jest czcionkami imienia i nazwiska autora przecięta w poprzek. W górze, nad czcionkami – gmach kina Moskwa z afiszem arcydzieła Coppoli nad wejściem i niemymi z tyłu gmachu oknami bez żywego ducha, z których to duchów każdy miał duszę na ramieniu. Pod czcionkami zaś widać ciemny pancerz śpiącego SKOT-a i na mokrym śniegu kilku przechodniów, co chcieliby zniknąć, lecz nie potrafią. A dalej, pod okładką, pod przeciętym mitycznym prostokątem Polaków, na ponad pięciuset stronach – całe Niedenthala życie w detalach słów i w detalach kilkudziesięciu, o ile nie kilkuset fotografii autorstwa samego Niedenthala, a także tych wyciągniętych przezeń z wielu albumów rodzinnych.

Więc jednak istnieje autor prostokątnej ikony stanu wojennego? Więc jednak mit jest poprzedzony pojedynczym życiem, które pamięta więcej, o całą Saharę drobin więcej niż tylko jedną jedyną sekundę pstryknięcia mitu w dniu 14 grudnia roku 1981? Możemy zatem wrócić na zwyczajną ziemię? Tak. I w istocie jest to powrót do gęstwiny cudownie banalnych dni i nocy.

Bohater powieści Vladimira Nabokova *Śmiech w ciemności*, pan Albinus – który podobnie jak Niedenthal pracował w światku obrazów, tyle że jako krytyk, nie twórca – w czasie rozwlekłej nudy wpadł na pomysł ożywiania arcydzieł malarstwa przy pomocy sztuki animacji. Niechaj znieruchomiałe figurki olejne ockną się i ruszą w drogę! „Wszystko nagle ożywa... Człowieczek odziany w czerwień odstawia kufel na stół, dziewczyna z tacą wyrywa się z uścisku, a kura zaczyna dziobać próg... Można cały epizod przedłużyć, każąc figurkom wyjść na dwór... Aż wreszcie powrócimy do tej samej karczmy, poodstawiamy postacie, by tak rzec, na miejsce i zakończymy podróż pierwotnym obrazem...".

Przy lekturze księgi Niedenthala koncept Albinusa wciąż powraca. Na co drugiej, co piątej stronie jest trochę tak, jak gdyby zjawiało się nieistniejące zdjęcie, które widmo jakieś, 14 grudnia ukryte na tamtej klatce schodowej, aparatem o niesłyszalnej migawce Niedenthalowi pstryknęło dokładnie w tej samej sekundzie, w której Niedenthal pstrykał mityczną polską fotografię. I jak by ten na nieistniejącym prostokącie uwieczniony Niedenthal, ożywiony cudownie, ruszył w drogę i szedł we własną przeszłość, za plecy czasu, daleko za, a raczej daleko przed dzień urodzin. I wędruje tak, na wszystkich stronach opowiadając gęste życie, nieruchomiejąc czasem obok starych rodzinnych fotografii.

A w finale wraca do nieistniejącego zdjęcia – kamienieje w sekundzie pstrykania mitycznego polskiego portretu, złożonego z lęku, żelaza i śniegu.

Na końcu drogi – po ostatniej kropce księgi *Zawód: fotograf* – portret ten, przepołowiony na okładce, jest już inny, zupełnie. Mocniejszy o czułą pamięć detali, których się przez lat z górą 70 nazbierało co niemiara.

Chris Niedenthal, *Zawód: fotograf. Ciąg dalszy nastąpił*, Marginesy, Warszawa 2020.

**Paweł Głowacki** – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Fot. Bartek Maciejewski / za wiedzą i zgodą wydawnictwa

**Chris Niedenthal** – urodził się w 1950 roku w Londynie i tam wychował w polskiej rodzinie. Mieszka w Polsce od prawie 50 lat. Pierwszy aparat fotograficzny – Kodak Starmite – dostał w nagrodę w wieku jedenastu lat. Do Polski przyjechał w 1973 roku. Po kilku latach w roli wolnego strzelca został zatrudniony jako korespondent „Newsweeka" w Polsce. Pierwszy materiał przedstawiał nielegalne i prowizoryczne kościoły, tworzone pomimo zakazu władz państwowych. W 1978 roku był pierwszym fotoreporterem, który po wybraniu Karola Wojtyły na papieża przyjechał do Wadowic. Podczas pielgrzymki papieża do ojczyzny zrobił zdjęcie, które trafiło na okładkę „Newsweeka" – sfotografował na Jasnej Górze Jana Pawła II trzymającego na rękach małą zapłakaną dziewczynkę w czerwonej chusteczce.

Wraz z angielskim dziennikarzem Michaelem Dobbsem był pierwszym zagranicznym fotoreporterem wpuszczonym do Stoczni Gdańskiej podczas strajku w 1980 roku.

Laureat nagrody World Press Photo w roku 1986 za portret sekretarza generalnego węgierskiego KC Jánosa Kádára, który trafił na okładkę „Time'a". W 2013 roku został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi we wspieraniu przemian demokratycznych w Polsce, za dawanie świadectwa prawdzie o sytuacji w Polsce w czasie stanu wojennego, za osiągnięcia w działalności dziennikarskiej".

Jak pisze wydawca albumu *Zawód: fotograf. Ciąg dalszy nastąpił*:

„Jego zdjęcia zna cały świat. Czołg pod kinem Moskwa z *Czasem apokalipsy* to fotograficzna ikona stanu wojennego. Zdjęcie zrobione z dystansem i sercem. Przez chłopaka z aparatem i brytyjskim paszportem, który przyjechał tu w 1973 roku. Przez zauroczonego Polską dziennikarza, relacjonującego dla świata wydarzenia zza żelaznej kurtyny. »Obserwowałem rewolucje w Pradze, Berlinie i na Węgrzech. Ale moje serce pozostało w Gdańsku« – wspomina udział w sierpniowym strajku w stoczni.

Dla »Newsweeka«, »Time'a«, »Spiegla« fotografował powstanie »Solidarności«, pierwszą wizytę Papieża, stan wojenny i upadek komuny. Wszystko z zawodowym dystansem, ale coraz większym uczuciem. W jego wspomnieniach tamtych wydarzeń jest tylko to drugie. Przyprawione ogromną dawką angielskiego sarkazmu z nutką polskiej nostalgii.

Nowe wydanie bestsellerowej książki z 2012 roku zostało poszerzone o teksty sięgające czasów współczesnych oraz wzbogacone o kilkadziesiąt nowych, do tej pory niepublikowanych fotografii.

Autobiografia fotografa i fotoreportera, którego zdjęcia stały się ikoniczne – utrwaliły obraz przełomowych wydarzeń historycznych, który trafił do masowej świadomości. Książka szczera, zadziorna, dowcipna, ale i pełna czułości dla kraju i ludzi, których poznał i których – ze wzajemnością – pokochał".

Chris Niedenthal:

„Nie żałuję, że przyjechałem do Polski jako niedoświadczony młodzieniec. Za żadne skarby nie oddałbym tych wszystkich lat, które tu spędziłem. To dopiero Polska zrobiła ze mnie prawdziwego fotografa.

# *Zawód: fotograf. Ciąg dalszy nastąpił*

**(fragmenty)**

**Września 2019**

Jak to Anglicy mówią: *It never rains, but it pours*, czyli po naszemu „jak nie pada, to leje". Tak też było w roku 2019. Przez pierwsze półrocze zajęty byłem pracą nad albumem o Gdańsku i potem wystawą o roku 1989. A tu jeszcze doszedł kolejny projekt i zarazem zaszczyt: udział w tegorocznym wydaniu Kolekcji Wrzesińskiej. Projekt ten polega na tym, że od wielu lat burmistrz miasta Września, z pomocą kuratora Kolekcji Karola Szymkowiaka, wybiera fotografa, który w ciągu danego roku ma – na swój sposób – sfotografować to miasto albo/i jego mieszkańców. Z tego materiału zawsze powstawały wystawa i mały album. Zwykle wybierany był jeden fotograf, ale akurat w roku 2019 zdecydowano się zaprosić do projektu dwóch. Padło więc na mnie i Tadeusza Rolke. Przyjaźnimy się i przy naszym projekcie z roku 2001 pod tytułem *Sąsiadka* pracowało nam się wyśmienicie.

Sęk w tym, że byłem już zmęczony moimi pracami gdańskimi i chciałem odpocząć od wymyślania i organizowania. Tadeusz, parędziesiąt lat starszy ode mnie, ale o większej wytrzymałości, od razu coś wymyślił wraz ze swoją asystentką, ale nie byłem w stanie do tego się dostosować tak, by to razem fotografować. Tadeusz miał pomysł na fotografowanie młodzieży wrzesińskiej, więc pomyślałem, że wezmę się za starszą część mieszkańców. Ale szukać, organizować, wymyślać... na to nie miałem już siły.

Ratunek pojawił się nagle, kiedy przypomniałem sobie o moich porannych doświadczeniach gdańskich. Świt! Tak, świt! Przecież większość mieszkańców miast nie wie, jak zupełnie inaczej wygląda ich miejsce zamieszkania o świcie, kiedy słoneczko wstaje i nieśmiało pokazuje się nad horyzontem. Te całkowicie puste ulice. To piękne światło...

Wiedzą państwo, do czego zmierzam. Całkiem niechcący i bezwiednie zostałem prorokiem. Kilka miesięcy później, już dawno po zdjęciach, na cały świat padła pandemia koronawirusa. I wtedy wszyscy mogli zobaczyć, jak wyglądają opustoszałe ulice miast, dzień w dzień i o każdej porze. Tak więc moje fotografie bezludnego albo prawie bezludnego miasta nie zrobiłyby na kimkolwiek wrażenia.

Tego oczywiście jeszcze nie wiedziałem, więc z zapałem wziąłem się do roboty. Wieczorny pociąg relacji Warszawa–Września. Kilka godzin snu w pensjonacie czy hotelu, po czym pracowałem około godziny, dopóki słońce i miasto całkowicie się nie obudziły, szybkie śniadanie i poranny pociąg z powrotem do Warszawy. Tak ze trzy, może cztery razy.

Zawsze starałem się spać w innej części miasta, tak by mieć blisko do terenu fotografowania i żeby się nie powtarzać. Raz udałem się taksówką poza miasto, by zobaczyć, jak wstaje słońce nad pobliskimi łąkami.

Chciałem też pokazać ten krajobraz, jak pięknie położona jest Września.

Mleczna mgiełka nad polami wyglądała cudownie. A co dopiero parujące kopce gnoju na polach.

Na ostatnią wyprawę do Wrześni zostawiłem sobie widok z wieży ratusza. Przynajmniej jedno zdjęcie chciałem mieć z wysokiego punktu.

Był to dobry pomysł. Widziana z góry cienka czerwona smuga światła nad horyzontem była niesamowita, choć bardzo szybko się zmieniała i powiększała. Ale to nie było wszystko: rzecz w tym, że do obowiązków fotografa należało też sfotografowanie burmistrza. Już nie do wystawy czy albumu, lecz tak po prostu – taki był zwyczaj. Pół żartem, pół serio poprosiłem więc burmistrza Tomasza Kałużnego, żeby stawił się na posterunku – czyli na malutkim tarasie na wieży ratusza – o bodajże 6 rano (bo to było już pod koniec roku, kiedy słońce wstawało nieco później) – ale koniecznie w szlafroku i z kubkiem kawy w ręku. Bez problemu się zgodził.

*Chapeau bas!*

# Widma krążą wokół nas w pandemii

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec/jurorka konkursu **Zdjęcia:** Z. Prokop, K. Kućma/za wiedzą i zgodą Cricoteki

***Widma* to wystawa, która może uruchomić nasze własne klisze pamięci.**

By dostać się na strych, należało pokonać nie tylko wysokie stopnie schodów starej kamienicy, ale też niezrozumiały do dziś opór babci. Wyprawa do tajemniczego, zakurzonego królestwa dziwnych przedmiotów wymagała nie lada poświęceń, w tym konieczności zjedzenia rosołu z ogromnymi okami tłuszczu pływającymi po powierzchni. Ale było warto, bo ekscytacja, jaka towarzyszyła mi za każdym razem, przewyższała niesmak pozostawiony przez znienawidzoną zupę.

Najpierw były te wysokie schody, kończące się ciężkimi drzwiami noszącymi ślady włamań, jakich chciałam dokonać w dniach, gdy babcia mówiła stanowcze „nie" utytłaniu się w kurzu i pajęczynach. Jednak kariera Arsène Lupina nie była mi pisana, choć pożyczony od kolegi z sąsiedztwa scyzoryk prawie mieścił się w zamku. Pozostawało mi pokorne czekanie, aż babcia zechce wspiąć się ze mną na górę i zajmie się wieszaniem pachnącego prania. Wśród białych prześcieradeł wirowały unoszące się z podłogi pyłki, a pod nogami trzeszczały wysuszone na wiór zwłoki much, gdy ja obracałam się na pięcie i biegłam tam, gdzie znajdował się mroczny przedmiot mojego pożądania.

Szłam po drewnianym podeście prowadzącym do pozbawionej okien przestrzeni. Poruszałam się po nim powoli, uważnie, bo babcia napominała, że spróchniałe deski mogą się w każdej chwili rozsypać. Stosowałam się do tych poleceń przez pierwsze trzy sekundy, przyspieszając za chwilę niezauważalnie kroku. Jednak panująca tu ciemność, którą rozświetlało nikłe światło latarki, wzbu-

dzała respekt. Tak jak wyłaniające się z ciemności przedmioty, połamane krzesła, przeżarta rdzą tarka do prania, wieko skrzyni bez dna, pozbawiona szuflad komoda i wielkie rozbite lustro, z ledwo trzymającymi się drewnianej ramy fragmentami szkła. Przedmioty najniższej rangi, jak nazwałby je zapewne twórca *Umarłej klasy*.

Wróciły do mnie, gdy w upalny dzień weszłam do Cricoteki na wystawę *Tadeusz Kantor. Widma*. Najpierw był chłód osłoniętej czarnymi kotarami przestrzeni, a potem skrzypienie drewnianego pomostu prowadzącego w głąb strychu, który z każdym krokiem stawał się kliszą mojej pamięci. Początkowo było w miarę bezpiecznie, kiedy kierowałam wzrok na stolik artysty ze spektaklu *Dziś są moje urodziny*, na którym stała lampa naftowa, filiżanka i rodzinna fotografia w stylowej ramce. Jednak pobyt w tej strefie familijnego komfortu był krótki niczym wspomnienie zapachu rozwieszanych przez babcię prześcieradeł. Jak w dzieciństwie ciekawość pchała mnie dalej, nie pozwalając się zatrzymać, choć wyrastały przede mną coraz bardziej przerażające narzędzia opresji, pamiętane ze spektakli Kantora maszyny pułapki, maszyny tortur, kulomioty, armaty... Gdzieś z boku majaczyło Widmo Ojca i jeszcze bardziej niepokojący Szkielet Rekruta. Na to wszystko nakładał się przełamujący ciszę i wwiercający się boleśnie w uszy dźwięk kapiącej wody oraz duchy ludzi z zamierzchłej przeszłości, snujące się po prześwitujących ekranach niczym widma z horrorów.

W pewnym momencie zaczęłam mieć wrażenie, że wszystkie te biedne przedmioty, upiorne zjawy wpatrują się we mnie. To nie ja je oglądam, ale to one gapiły się na mnie bezczelnie. To, co czułam intuicyjnie, okazało się świadomym zabiegiem kuratorów wystawy, którzy pomysł zaczerpnęli od Kantora. Otóż nawiązywał on do niezrealizowanej nigdy idei, nad którą reżyser pracował w spektaklach *Niech sczezną artyści* i *Dziś są moje urodziny*. Jak przeczytałam w katalogu ekspozycji: „Kantor chciał odwrócić porządek percepcyjny: przedmioty-eksponaty oglądałyby aktorów".

W Cricotece Kantorowska idea została w końcu zrealizowana. Emocje potęgowała dodatkowo świadomość, że wszystkie prezentowane obiekty odnoszą się do tkwiącej w artyście wojennej traumy. I to zarówno pochodzącej z czasów I wojny światowej, która była dla niego majaczącym z tyłu głowy wspomnieniem z dzieciństwa, ale także z czasów niemieckiej okupacji, niosącej ze sobą zagrożenie, nicujące na wylot wrażliwość artysty stającego oko w oko z całkiem realną śmiercią. To porażające doświadczenie zostało przetworzone przez wyobraźnię w tak dojmujący sposób, że wszyscy ci, którzy byli świadkami przedstawień Teatru Śmierci, nigdy ich nie zapomną.

Wciąż trudno mi zapomnieć o wystawie *Tadeusz Kantor. Widma,* która oddziałuje na odbiorcę z podwójną siłą użytych środków teatralnych i plastycznych. Kantorowskie obiekty zmieniają się w aktorów, z którymi wchodzimy w bez-

pośrednie relacje, choć nie możemy ich dotknąć. Dzieli nas bowiem przestrzeń zbyt wysokiego podestu i wiszące gdzieś w powietrzu rozedrganie, niepokój, niepewność – uczucia, wywoływane przez wystawę, a które potęguje sytuacja, w jakiej obecnie się znajdujemy.

Bowiem wernisaż ekspozycji miał się odbyć na początku kwietnia. Kuratorzy, Małgorzata Paluch-Cybulska i Michał Kobiałka, przygotowując ją, nie mieli pojęcia, że przez kolejnych kilka tygodni nikt jej nie zobaczy, będzie ona wystawą-widmem. Ale już wtedy wiedzieli, jak bardzo dzieła Kantora rezonują z nową, pandemiczną rzeczywistością. Jak emocje, które wciąż wzbudzają klisze pamięci artysty, są ponadczasowe i uniwersalne. Świadczy o tym nie tylko mój indywidualny ich odbiór, ale także innych osób, którym udało się jeszcze przed zamknięciem wybrać do Cricoteki.

Muszę jednak jeszcze na chwilę wrócić na strych babci. Podest, którym podążałam w mrok, był dziurawy. Kiedy upadłam i rozbiłam kolano, trafiłam na leżące na ziemi, zakurzone zdjęcie. Widać na nim było oficera w mundurze armii austro-węgierskiej, jego żonę i gromadkę dzieci. Roczna dziewczynka, siedząca na kolanach mamy, to babcia Bronia. Zdjęcie wisi dziś w moim domu. Z roku na rok coraz bardziej płowieje.

*Tadeusz Kantor. Widma*, Ośrodek Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora Cricoteka, kuratorzy Małgorzata Paluch-Cybulska i Michał Kobiałka.

*

**Małgorzata Paluch-Cybulska dla miesięcznika „Kraków":**

Na rynku wydawniczym ukazuje się wiele biografii. Interesują mnie te, które pozwalają przyglądać się głębiej rzeczywiści. W sposób wyjątkowy i subtelny robi to *Jaremianka* Agnieszki Daukszy. W głowie autorki ożyły materiały źródłowe, co pozwoliło jej zadać sobie pytania, co czuła Maria Jerema, i wejść w jej duszę, choć wymagało to uruchomienia wyobraźni. To bardzo kreatywne podejście.

Tworząc wystawę *Tadeusz Kantor. Widma*, sięgałam oczywiście do książkowych biografii artysty jako narzędzia do tworzenia dialogu z odbiorcą. Od dłuższego czasu sama myślę o napisaniu biografii Kantora. Istnieje ich już dość dużo, ale, jak jeszcze w 2000 roku zauważył prof. Mieczysław Porębski, nie wytworzyliśmy adekwatnego języka do mówienia o Kantorze. Badacze wciąż wpadają w zastawione przez niego pułapki. Poza tym nie da się go opisać bez wniknięcia zarówno w jego teatr, jak i w jego sztukę wizualną. A to wymaga olbrzymiej pracy.

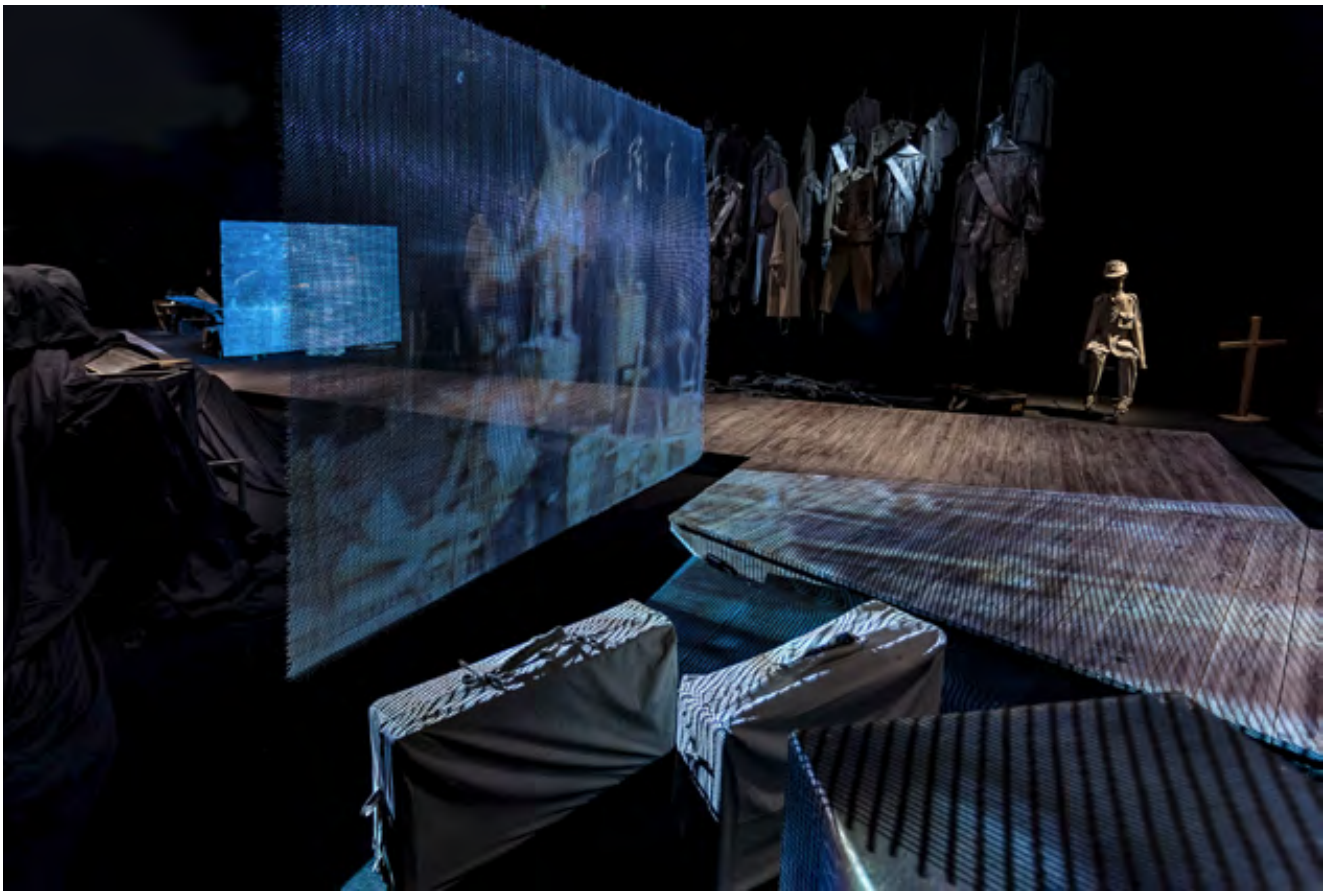

**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

# Sztuka życia królowej *art déco*

**Tekst:** Sylwia Pyzik

**Czarno-biała fotografia ukazuje divę lat 30. XX wieku. Kobieta w białym futrze, czarnych rękawiczkach i finezyjnym kapeluszu spogląda w dal. W ręku trzyma zapalonego papierosa, na jej nadgarstku połyskuje ciężka bransoleta. Dystyngowana postawa sugeruje pewność siebie. Jesteśmy w Paryżu w 1938 roku, ale spojrzenie tej kobiety mówi, że nic jej nie powstrzyma.**

Tamara Łempicka przychodzi na świat w 1898 roku w Warszawie. Jest córką Polki Malwiny z domu Dekler i Rosjanina Borysa Gurwik-Górskiego. Dorasta w arystokratycznych środowiskach Sankt Petersburga i Warszawy – w czasie wykwintnych przyjęć, wystawnych balów i snobistycznych zabaw.

W 1918 roku, gdy Rosja dusi się w szponach rewolucji bolszewickiej, Łempicka wraz z mężem Tadeuszem i jedyną córką Kizette ucieka do Paryża. Tam malarka ciężką pracą osiąga indywidualny artystyczny styl i pozycję, której zawsze pragnęła.

W pierwszej połowie lat 30. Łempicka ponownie wychodzi za mąż za barona Raoula Kuffnera de Diószegh. W 1939 roku kolejny raz ujawnia się jej doskonała intuicja i pewien zmysł polityczny. Jeszcze przed wybuchem wojny namawia męża do spieniężenia majątku i wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Mieszkają w Beverly Hills, a ona z łatwością odnajduje się w spowitym blichtrem środowisku Hollywood, a później także Nowego Jorku. Jest nazywana „baronową z pędzlem".

Po śmierci męża Łempicka przenosi się do Houston, by być bliżej córki. W 1974 roku ostatecznie przeprowadza się do Cuernavaki w Meksyku, gdzie spędza ostatnie lata życia. W roku 1980 jej prochy zostają rozsypane nad wulkanem Popocatépetl. To jej ostatni artystyczny akt.

*

Niezwykła historia Łempickiej wręcz domaga się szczegółowego opowiedzenia. Nie oznacza to jednak, że jej biografie jeszcze nie istnieją – od lat powstają opracowania na ten temat. Wciąż można jednak odnieść wrażenie, że Tamara Łempicka jest bardziej obecna w kulturze zachodniej niż rodzimej. Kolejne publikacje wydawnictwa BoSz zdają się tę tendencję odczarowywać, co daje nadzieję, że nadszedł wreszcie czas powrotu malarki do ojczyzny.

*

Cenną dla czytelnika częścią książki jest wspomnienie prawnuczki artystki – Marisy de Lempickiej, która poznała swoją prababkę, gdy ta miała 78 lat, a ona sama była ledwie pięcioletnią dziewczynką. Jeśli czytelnik oczekuje jednak kapci, wygodnego fotela i Łempickiej w „domowym" wydaniu, srogo się zdziwi. Tamara była spójna zarówno w swej artystycznej kreacji, jak i w życiu prywatnym. Jej dziedziczka od razu zrozumiała, że ma do czynienia z osobą niezwykłą: „Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo takiego jak ona. Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłam, wiedziałam, że jest kimś ważnym, oryginalnym i wyjątkowym" – wspomina.

Willa Tres Bambus w Meksyku w dziecięcym wspomnieniu Marisy pachnie kwiatem tuberozy. Rodzina spotyka się głównie w czasie wspólnych posiłków. Lunch ma charakter formalny, bywają na nim przedstawiciele międzynarodowej społeczności ówczesnej Cuernavaki, między innymi przyjaciółka Tamary, ostatnia królowa Włoch Maria Józefa Belgijska czy laureat Nagrody Nobla pisarz Octavio Paz. „Dla mnie to były sceny jak z filmu, tak żyły księżniczki... kochałam to. Wszystko było doskonałe, a każdy szczegół dopracowany. To była cała Tamara – perfekcyjność i klasa" – wspomina prawnuczka artystki.

*

Łempicka była Polką żydowskiego pochodzenia, która przeżyła rewolucję bolszewicką, dwie wojny światowe, wielki kryzys 1929 roku i wojnę domową w Hiszpanii. Wbrew światu, dzięki swemu talentowi, ciężkiej pracy i determinacji odniosła niebywały sukces artystyczny i biznesowy. Jej obrazy na aukcjach sztuki wciąż biją finansowe rekordy.

Dziś malarka spogląda swym chłodnym spojrzeniem z *Autoportretu w zielonym bugatti* na kolejne pokolenia twórców na całym świecie, którzy tak chętnie czerpią inspirację z jej malarskiego stylu (od muzyki przez film aż po marketing i reklamę).

*

Wydawnictwo BoSz proponuje czytelnikowi książkę, która przekrojowo prezentuje twórczość Tamary Łempickiej i jej skomplikowany życiorys, a także daje subtelny wgląd w przestrzeń prywatną artystki. Całości dopełnia piękna kompozycja graficzna Lecha Majewskiego, która sprawia, że książkę można zarówno czytać, jak i oglądać – przyjemność estetyczna w obu przypadkach gwarantowana.

*Tamara Łempicka*, Marisa de Lempicka i Maria Anna Potocka (teksty), Lech Majewski (koncepcja i opracowanie graficzne), BoSz, 2020.

**Sylwia Pyzik** – dziennikarka i filolożka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chętniej słucha, niż mówi – pisanie uznaje za naturalny kompromis.

Fot. wydawnictwo BoSz

Fot. R. Sosin / MOCAK

**Marisa de Lempicka** – prawnuczka wielkiej artystki, dziś bizneswoman i promotorka sztuki.

**Maria Anna Potocka** – krytyczka, kuratorka sztuki, autorka książek z zakresu filozofii sztuki, twórczyni niekomercyjnych galerii sztuki, członkini stowarzyszeń artystowsko-krytycznych. Feministka, nieustannie zbuntowana, łącząca w sobie postawę menadżerki kultury i artystki. Dziś szefuje Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK, wcześniej była wicedyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski.

**Maria Potocka i Marisa de Lempicka dla „Krakowa":**
Maria Potocka: Najważniejszym – aczkolwiek brutalnym – sprzymierzeńcem Tamary Łempickiej były historia i geografia, które nauczyły ją adaptacji, przetrwania i zwyciężania. Rosja, Francja, Ameryka – rewolucja, Holokaust i nieznany kontynent. Biografia Łempickiej pokazuje, że poczucie godności i siła woli to podstawowe uzbrojenie człowieka. Co nie znaczy, że biografia oparta na klęskach gorzej służy twórczości.
Marisa de Lempicka: W życiu Tamary przeciwnikami był XX wiek: dwie wojny światowe, rewolucja, wojna domowa i krach na giełdzie, który tak dramatycznie wpłynął na jej życie, ale dał jej okazję być „Tamarą de Lempicką", kultową artystką. Następnie, wraz z nadejściem drugiej wojny światowej, musiała ponownie uciec i wymyślić się na nowo. Tym razem w Hollywood, gdzie dała się poznać jako „baronowa z pędzlem".

*

Maria Potocka: Dopiero niedawno wpadła mi w ręce wydana przed trzema laty książka Anny Synoradzkiej-Demadre *Jerzy Andrzejewski. Przyczynek do biografii prywatnej.* To świetnie opisana historia życia Jerzego Andrzejewskiego, walczącego z alkoholizmem i potępieniem homoseksualnych skłonności.
Marisa de Lempicka: Ostatnio spośród biografii duże wrażenie zrobił na mnie *Paderewski* wydawnictwa BoSz oraz *Kobiety lat dwudziestych* Thomasa Bleitnera (Abbeville Press).

Wiedziałam, kim Paderewski był, ale przeczytanie tej książki pełnej historycznych czarno-białych fotografii artysty i jego rodziny, opisy jego podróży, koncertów i wydarzeń politycznych, a także artykuły prasowe pomogły mi zrozumieć otoczenie polityczno-historyczne w kontekście światowym zarówno artysty, jak i Polski.

A książkę o kobietach znalazłam, prowadząc badania nad Tamarą. Chciałam zrozumieć, o czym myślały kobiety w latach 20., jakie były ich wyzwania i jak były postrzegane w społeczeństwie. Wreszcie mogły głosować, mieć konto bankowe (bez konieczności posiadania mężów), samodzielnie prowadzić samochody i podróżować. Obcięły włosy, rąbki sukienek, pomalowały usta i paznokcie na jaskrawoczerwono. Po raz pierwszy w historii!

Kobiety takie jak Zelda Fitzgerald, Josephine Baker, Luisa Casatti, Amelia Earhart. To było ekscytujące widzieć Tamarę jako jedną z tej grupy kobiet, z których każda na swój sposób zmieniała świat.

# *Tamara Łempicka*

**(fragmenty)**

Tamarę spotkałam pierwszy raz, gdy miałam zaledwie pięć lat, moje wspomnienia są jednak bardzo żywe. Był rok 1976, ona miała już siedemdziesiąt osiem lat, lecz jej niesamowitą prezencję i pewność siebie pamiętam do dziś.

Tamara zaprosiła nas na miesiąc do „Tres Bambús", swojej wspaniałej posiadłości w Cuernavace w Meksyku. Podróż z Buenos Aires, gdzie dorastałam, trwała prawie dwadzieścia godzin, z przesiadką w Peru do miasta Meksyk, gdzie czekał na nas szofer Isidoro, który przez około godzinę wiózł nas w góry stanu Morelos. W końcu dojechaliśmy. Prywatna, brukowana ulica Privada Bel Senda, otoczona starymi drzewami – to właśnie tam zlokalizowana jest „Tres Bambús". Z zewnątrz nie było jej widać. Większość domów w Cuernavace chroniona jest wysokimi kamiennymi murami, ale jak tylko przekroczyliśmy małe białe drzwi, naszym oczom ukazał się ogród japoński ze stawem i karpiami koi. Znany meksykański architekt Ignacio Landa, który zaprojektował również willę „Sumiya" Barbary Woolworth Hutton (dziedziczki fortuny Woolworthów), stworzył projekt „Tres Bambús" w podobnym orientalnym stylu.

Zakochałam się tym domu, w momencie gdy przekroczyłam jego próg. Ogród i basen wyglądały zachęcająco, cały dom pachniał tuberozą. Tamara co tydzień wysyłała kucharkę i jej pomoc na targ po świeże kwiaty. Robiły z nich przepiękne kompozycje i rozstawiały w całym domu. Duże bukiety stały w salonie i jadalni, mniejsze w sypialniach. Zapach świeżych kwiatów wypełniał cały dom. Tamara przemalowała wszystko na biało i lawendowo – jej ulubione kolory w tamtym czasie – co doskonale współgrało z zieloną trawą i tropikalnymi kwiatami w ogrodzie. Domek dla gości, w którym mieszkałyśmy podczas wizyt, stał przy końcu basenu. To było idealne miejsce dla mamy, mojej siostry Cristiny i mnie. Znajdował się tam przewiewny taras z widokiem na ogród i basen, gdzie jadłyśmy śniadania i lunche. Jadalnia z widokiem na zaśnieżony wulkan Popocatépetl zarezerwowana była na kolacje oraz posiłki w deszczowe dni.

(Marisa de Lempicki, Moje wspomnienia)

*

(...) Takie osobowości nie są zbyt zainteresowane zabieganiem o przyszłość. Żyją teraźniejszością, bo tylko w niej naprawdę się istnieje. Tamarze Łempickiej na co dzień bardzo zależało na rozgłosie i docenieniu przez snobistyczne środowiska, w których się obracała. Interesowali ją przede wszystkim prywatni kolekcjonerzy i zamożni klienci, dzięki którym w pierwszych latach w Paryżu zdobywała fundusze na uprawianie wolności. Potem, w czasach amerykańskich, do grona kolekcjonerów jej dzieł doszli wybitni aktorzy i muzycy, chociażby Barbra Streisand i Madonna. To stworzyło snobizm na obrazy Łempickiej, a równocześnie gwarantowało ich ceny. Dzięki strategii „wypuszczania" obrazów niemal wyłącznie na rynek prywatny, wiele z nich jest nadal dostępnych i na międzynarodowych aukcjach ciągle pojawiają się jej prace. To wszystko podkręca gry inwestycyjne. Zabawnie brzmią informacje proweniencyjne przy niektórych obrazach – na przykład „z kolekcji Jacka Nicholsona". Celebrycki rozgłos i aprobata historii sztuki doprowadziły do tego, że obecnie jej prace z lat 20. i początku 30. osiągają wyniki aukcyjne na poziomie kilkunastu milionów euro.

Podążając tropem hollywoodzkim, obrazy Łempickiej można porównać do filmów Tarantina. U tych twórców pojawia się strategia grania na dwóch poziomach. Poziom płytszy ma w sobie wielką atrakcyjność i wzbudza natychmiastowy zachwyt. Oszałamia doskonałą kompozycją i intrygującą tajemniczością akcji. Wielu odbiorcom wystarcza kontakt z dziełem na tym poziomie, gdzie i tak dostaje się dużo. Dla odbiorców bardziej dociekliwych – świadomych tego, że każda dobra twórczość ma w sobie intrygujące dno – przeznaczony jest poziom drugi. Tutaj twórca wchodzi w dialog ze swoim czasem, z problemami cywilizacyjnymi, moralnymi, z tym wszystkim, „czym nas chłoszcze i znieważa czas". Im więcej piękna i wirtuozerii estetycznej pojawia się na poziomie płytszym, tym większe rozkosze oferuje poziom głębszy. Tarantino jest mistrzem tej gry w filmie, Tamara Łempicka w malarstwie.

(Maria Anna Potocka, *Tamara Łempicka, kobieta, która „namalowała" swoje życie)*

# Zagracone mieszkanie

**Tekst:** Katarzyna Jakubowiak/jurorka konkursu

**Justyna Sobolewska pisząc o Kornelu Filipowiczu, przekazuje w ręce czytelników i czytelniczek wielowątkową opowieść. Już tytuł sugeruje zarys kompozycji i sugestię, że czeka nas wędrówka z Filipowiczem przez czasy i osoby, wydarzenia i perspektywy.**

Otrzymujemy niejednorodny i nieuchronnie niekompletny portret pisarza i człowieka, a Sobolewska, cytując Filipowicza, powtarza: „Pewien mój przyjaciel, filozof, jest zdania, że człowiek mieć może – w najlepszym razie – tylko bardzo niejasne pojęcie o tym, co przeżywa inny człowiek". Pewnie dlatego, zachowując ten nieprzekraczalny dystans, poznajemy bohatera, który nieustannie się zmienia i wciąż pozostaje nieuchwytny.

Kornel Filipowicz urodził się w 1913 roku w Tarnopolu i już kilka tygodni później wyruszył z matką w podróż przez Wiedeń do Cieszyna. Na początku lat 30. wyjeżdża do Krakowa studiować biologię, krótko potem debiutuje opowiadaniem *Zapalniczka*. Odtąd związany jest z życiem artystyczno-literackim miasta. Listy wymieniane z Julianem Przybosiem pozwalają poznać uwarunkowania i wpływ nauczyciela z cieszyńskiego gimnazjum, a korespondencja z Różewiczami (Tadeuszem i Stanisławem) rzuca światło na działalność spółdzielni filmowej „Miczura", którą Filipowicz współtworzył w latach 50. i 60. Opisy wypraw kajakowych to stały element pogodnego krajobrazu życia pisarza: w latach 50. obrażony Jonasz Stern, łowiący ryby w zaroślach, ustępuje miejsca Tadeuszowi Kantorowi goniącemu za Filipowiczem z wiosłem. Później o rybach wspomina też Ewa Lipska.

W intensywnym życiu Filipowicza ludzi i zdarzeń starczyłoby na kilka tomów opowieści (dodać przecież trzeba dwie wojny światowe, PRL i kraj u progu wolności – Filipowicz umiera na początku roku 1990).

Sobolewska tworzy mozaikowy portret pisarza – prozaika, poety i scenarzysty – który przez ponad pół wieku, będąc w centrum życia literacko-artystycznego, pozostawał na uboczu. Równie dużo miejsca, co twórczości Filipowicza, poświęca się tu jego pasji do wędkowania, numizmatycznym przyjemnościom, potrzebie opieki nad bliskimi osobami, a fragmenty korespondencji umiejscawiają pisarza w środowisku literacko-artystycznym Krakowa. Portret artysty oświetlany jest przez pryzmat relacji – zawodowych, przyjacielskich, miłosnych – z nauczycielem Julianem Przybosiem, współscenarzystą Tadeuszem Różewiczem, wędkarzem Mieczysławem Szczerskim, początkującym pisarzem Jerzym Pilchem, synami Aleksandrem i Marcinem oraz kobietami jego życia – matką Stanisławą Filipowicz, a także pierwszą miłością Marią Jaremą i miłością ostatnią Wisławą Szymborską.

W opowiadaniu *Spółdzielnia „Czystość", czyli opowieść o bałaganie, starzeniu i początkach wielkiej dezorientacji* odnajdujemy obraz pisarza, który zgubił się w swoim pełnym rupieci mieszkaniu i został zlikwidowany podczas sprzątania. Jak pisze Sobolewska, „pisarz z dziurą po kuli okazuje się piękną metaforą samego pisania". Autorka ponawia ten gest, opisując życie i twórczość Kornela Filipowicza, i opowiada więcej niż jedną historię. Skupia się na wielu relacjach, rzeczach, wątkach. Czytelnik gubi się w tej opowieści, podobnie jak pisarz w swoim mieszkaniu, i mierzy się z wyzwaniem, jakim jest zamknięcie puentą biografii pojedynczego człowieka. Sobolewska opisuje więc życie pisarskie i osobiste Filipowicza, stosując jego własną metodę twórczą, jednak nie poprzez naśladownictwo stylu, a kompozycję – wzmocnienie i poruszenie rzeczywistości. Dużo miejsca poświęca twórczości oraz działalności politycznej i intelektualnej, ale pozwala gubić się w codzienności, mieszaniu zupy, przesuwaniu kociej kuwety, analizie ekonomicznej kredytów udzielanych przez ZLP w latach 50. Ktoś idzie po schodach, a gospodarz wstaje od stołu.

Justyna Sobolewska, *Miron, Ilia, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu*, Iskry, Warszawa 2020.

Fot. Mikołaj Grynberg/za wiedzą i zgodą wydawcy

**Justyna Sobolewska** – krytyczka literacka, dziennikarka tygodnika „Polityka". Absolwentka polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Wcześniej pracowała w „Przekroju" i „Dzienniku". W 2012 roku ukazała się jej *Książka o czytaniu, czyli resztę dopisz sam* w Wydawnictwie Polityki (wydanie rozszerzone ukazało się w wydawnictwie Iskry w roku 2016). Autorka wyboru opowiadań Kornela Filipowicza *Moja kochana, dumna prowincja* (2017). Zasiada w jury Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius" oraz w kapitule Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza. Laureatka PIK-owego Lauru (2015) przyznawanego przez Polską Izbę Książki za popularyzację czytelnictwa w kategorii mediów drukowanych. Mieszka w Warszawie.

Autorka o swojej najnowszej książce tak mówi:

„»Przecież Filipowicz nie miał biografii – usłyszałam kiedyś. – Pisał, łowił ryby i był outsiderem. Co w tym ciekawego?«. Kiedy przyjrzymy się jego życiu, okaże się jednak, że podobnie jak w jego opowiadaniach pozornie nieefektowna szarość mieni się kolorami. Jako pisarz był doceniany, ale jednak ciągle pozostawał na uboczu: twórca krakowski, partner »naszej noblistki« Wisławy Szymborskiej. A tymczasem to był autor pierwszorzędny i – jak mawiał Jerzy Pilch – rasowy mistrz krótkiej formy, do którego się pielgrzymowało.

Opowieść o jego życiu toczy się w głównym nurcie polskiej historii, pokazuje zaangażowanie i wybory lewicowej inteligencji. Poprzez życie Filipowicza można zobaczyć całą epokę".

A Ewa Lipska dodała: „Fascynująca książka o życiu i twórczości Kornela Filipowicza. Autorce udało się »złowić na literacką wędkę« tamten czas: czas niepokoju, burzliwych wydarzeń politycznych, czas miłości i śmierci.

**Justyna Sobolewska dla „Krakowa":**

Wsparciem dla Filipowicza były – w różnych momentach życia – dwie najbliższe mu kobiety Maria i Wisława oraz przyjaciele z Krakowa i spoza niego – widać silne więzi przyjacielskie w listach: Julian Przyboś, Tadeusz Różewicz, Mieczysław Szczerski.

*

A przeszkodami? Przed wojną oenerowcy. Po wojnie – partia. Zwłaszcza w stanie wojennym, kiedy zniszczono jego wymarzone „Pismo".

*

Z najnowszych biografii wrażenie zrobiła na mnie książka *Walentynowicz. Anna szuka raju* Doroty Karaś i Marka Sterlingowa – rzecz wnikliwa, odkrywcza i znakomicie napisana.

# *Miron, Ilia, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu*

**(fragmenty)**

Kornel robił sam wędki, zwane stradivariusami. Kupował surowy bambus, odpowiednio go lakierował, wzmacniał. W jego domu była cała antresola wędzisk, które w czasie pożaru mieszkania spaliły się. W późniejszych latach już nie jeździł na ryby sam, tylko z przyjaciółmi samochodem – z Wisławą Szymborską, Ewą Lipską, Adamem Włodkiem.

Ewa Lipska i Wisława nie łowiły i zawsze były po stronie nie tylko ryb, ale i przynęt. W liście do Stanisława Lema Ewa Lipska przesyła poemat, który, jak twierdzi, napisały dżdżownice, zaczynający się od słów:

My, rosówki zdradzone
przez pisarzy od prozy,
opuszczone, zduszone
przez koterie i pozy.
My, rosówki zdradzone
i w proteście przeciwko
sprzedajemy o świcie
swoje śliskie nazwisko...

Dalej Lipska relacjonuje, że poemat został wręczony „Pisarzowi Słodkowodnemu w imieniu Nieboszczek". I opowiada Lemowi: „Właśnie jutro wyruszamy na kolejne łowy, tym razem na Gdów, gdzie ponoć urodzaj większy. Ostatnio łowi się na talony, na muchy, na haczyki średniego zasięgu i na auderу (od Haliny Auderskiej) ". Wisława wymyśliła dla Kornela nowy gatunek: ryba pozdrawiająca wędkarzy. Pisała w liście:

„W ostatnich tygodniach w wielu rzekach Europy pojawił się nowy, dotychczas ichtiologom nieznany gatunek ryby. Posiada ona zamiast płetwy ogonowej pięciopalczastą dłoń. Dłonią tą kiwa przyjaźnie do rybaków, którzy dotychczas nie potrafią złowić tej uprzejmej ryby na żaden rodzaj przynęty".

Filipowicz wpadał w ciąg. W gwarze wędkarskiej to się nazywa ciąg – to, co każe mu z plecakiem opuszczać miasto i gdzieś przy złej pogodzie siedzieć nad rzeką. Nie chodziło jednak tylko o ryby, ale i o bycie w krajobrazie. Opowiadał w radio: „Mogę w tej czynności upatrywać czegoś więcej niż tylko łowienia ryb. Przestałem polować, co przed wojną robiłem. A rybołówstwo jest wystarczającym barbarzyństwem, ja zresztą dużo ryb wypuszczam, udzielam im amnestii – wypuszczam sumy, szkoda mi skracać im życie". I wypuszczał też małe rybki.

Napisał o łowieniu dużo – same opowiadania wędkarskie to dwa tomy: *Mój przyjaciel i ryby* i *Dzień wielkiej ryby*. „Tematyka rybacka, której ja się czasem wstydzę – bywa dla mnie pretekstem do pokazania konfrontacji z materią, człowieka z naturą i tematyka ma w gruncie rzeczy niewiele wspólnego z samym łowieniem".

Choćby w opowiadaniu *Dziewczyna z lalką*, czyli o potrzebie smutku i samotności: rzeka daje bohaterowi inny punkt podpatrywania rzeczywistości. Łapie kilka ryb, małych szczupaczków i od razu je wypuszcza. Mija na brzegu obóz harcerski, a w nim w oddali widzi samotną dziewczynę z lalką zrobioną z brudnych szmatek. Dziewczyna mówi do lalki:

„Widzisz, kochana, zostałyśmy na tym świecie same, nie mamy już nikogo, wszyscy pomarli, to bardzo smutne, to strasznie smutne. Proszę cię, nie płacz, bo mnie jest też bardzo smutno. Musimy się bardzo kochać. Jak będziemy się bardzo kochały, to będzie nam lżej, nie będzie nam tak smutno..."

Bohater był świadkiem czegoś bardzo intymnego, dziewczyna zawstydziła się, widząc go, a on zrobił wtedy rzecz, której już za chwilę żałował – skarcił ją, że taka duża, a bawi się lalkami.

Dlaczego wyruszają o świcie? Co ich gna? Wędkarze porównują ten impuls do rozmaitych uzależnień z alkoholizmem i narkotykami na czele. Rozpoznają innych podobnych sobie jak członkowie mafii:

„Jakiegoś szczupaczka, okońka – nie było? Osiągnąłem to, o co mi chodziło: wymieniliśmy ze sobą hasło. Daliśmy do zrozumienia, że należymy do tej samej mafii" (Filipowicz, *Noc z mordercą*).

Wiele razy jego bohaterowie próbują się z łowienia wytłumaczyć:

„Nie śmiejmy się, spróbujmy zrozumieć, jakie znaczenie ma dla rybaka wędka – ta strzelista i czuła jak czarodziejska różdżka rzecz, za pomocą której nawiązujemy kontakt ze światem, z którego większość ludzi nie zdaje sobie zupełnie sprawy. Ale dajmy spokój sprawom, których opisać się nie da" (*Noc z mordercą*).

Dostajemy u Filipowicza obraz kogoś, kto z trudnością nawiązuje kontakt z rzeczywistością. Samotnika, który ucieka od ludzi do świata ryb.

# Sportsmenki w świecie mężczyzn

**Tekst:** Anna Barańska/jurorka konkursu

**Jak zdobyć buty sportowe? – Najlepiej po starszej zawodniczce. W czym ścigać się na zawodach łyżwiarskich? – W wełnianych rajtuzach. Jak prawidłowo ustawić swój trening przed zawodami? – Można poprosić o radę trenera kolegi lub improwizować samej...**

Jakim cudem kobiety w PRL-u mimo przeciwności losu trenowały, startowały w zawodach, a nawet zdobywały uznanie i medale na olimpiadach? Po lekturze *Olimpijek* Anny Sulińskiej nie mam wątpliwości, że w tamtych, nie tak odległych przecież, czasach sport był miejscem tylko dla mocnych osobowości, które potrafiły same o siebie zadbać.

Sulińska zebrała pasjonujące historie zawodniczek, które walczyły nie tylko o podium. Przez większość życia zmagały się z koślawym systemem, w którym polityka mogła zadecydować o miejscu w kadrze olimpijskiej, a także z nieustanną dyskryminacją ze względu na płeć.

Przygotowując reportaż, autorka godzinami wertowała archiwalne numery gazet sportowych, lecz przede wszystkim odbyła dziesiątki rozmów z zawodniczkami czasów PRL-u i ich otoczeniem. Interesowało ją wszystko, co sprawiło, że opisywane bohaterki dotarły na sam szczyt. Od ich pierwszych, często przypadkowych, wyborów życiowych, które zadecydowały o uprawianej dyscyplinie, przez dylematy związane z planowaniem dorosłego życia i rodziny. Pamiętajmy, że w okresie PRL-u nie było mowy o wynagrodzeniach dla olimpijczyków. Sportowcy musieli więc szukać pracy, którą można pogodzić z częstymi wyjazdami i codziennymi treningami lub zatrudniać się na fikcyjnych etatach. Dodatkowo kobiety opóźniały moment założenia rodziny, ponieważ najczęściej oznaczało to koniec ich kariery.

W większości życiorysów w tle przewija się motyw kraju zmagającego się z powojenną traumą. Kraju, w którym polityka decyduje o składzie reprezentacji i bez podania przyczyny może oddać miejsce zawodniczki jednemu z działaczy (autorka przytacza choćby historię siatkarek podczas igrzysk olimpijskich w Meksyku). Sytuacje, które dziś budzą zgrozę, w PRL-u były na porządku dziennym i nie wymagały od trenerów słowa wyjaśnienia.

Z jeszcze większym niedowierzaniem czytałam fragmenty odnoszące się do dyskryminacji, która spotykała niemal co chwilę zawodniczki. Mężczyźni, dominujący w sporcie, od pierwszych chwil byli pod opieką trenerów i wykonywali dostosowane do swoich możliwości plany szkoleniowe. Kobiety przeciwnie – często ćwiczyły same lub pod okiem przypadkowych osób. Męski zespół na igrzyskach miał do dyspozycji masażystę, a kobiecy mógł z niego skorzystać w drugiej kolejności lub na zakończenie wyjazdu. Znamiennym przypadkiem jest opowieść Danieli Walkowiak. Oto podczas igrzysk w Rzymie drużyna odjechała z hotelu bez niej. Kajakarka, aby nie spóźnić się na swoje zawody, musiała zorganizować sobie inny transport. Czy można taką sytuację wytłumaczyć zwykłym niedopatrzeniem?

Czytając opowieści olimpijek, mam wrażenie, że kobiety w sporcie od początku były traktowane jako zawodnicy gorszej kategorii. Długo nie pozwalano im startować w olimpiadach, w końcu stopniowo dopuszczano je do kolejnych dyscyplin. Jednak wciąż musiały udowadniać swoją kobiecość. Stosowane wtedy metody weryfikacji płci były upokarzające. Pamiętne „parady golasów" czy inspekcje pań przeprowadzane nie przez lekarzy, lecz zwykłych działaczy (!) dziś nie mieszczą się w głowie. Co znamienne, wciąż nie weryfikuje się męskości zawodników, a kobiecość dalej ma określone ramy (na przykład badany jest poziom testosteronu).

W jednym z wywiadów Anna Sulińska odniosła się do dyskryminacji, która jej zdaniem nadal istnieje w świecie sportu: „Jeśli spojrzysz na ostatnie igrzyska sportowe w Rio de Janeiro w 2016 roku, zobaczysz, że kobiety stanowią już prawie połowę wszystkich zawodników, ale jedynie około 10 procent kadry trenerskiej. Wiele jest tu jeszcze do zrobienia".

To ważna książka, bo budzi świadomość i uwrażliwia na niesprawiedliwości. Kolejny krok w dobrą stronę.

Anna Sulińska, *Olimpijki*, Czarne, Wołowiec 2020.

Fot. Kamil Kowalczyk/za wiedzą i zgodą wydawcy

**Anna Sulińska** – badaczka i reporterka, absolwentka socjologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Polskiej Szkoły Reportażu. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Publikowała w „Wysokich Obcasach" i „Dużym Formacie". Autorka reportaży *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u* i *Olimpijki* oraz współautorka książki z obszaru HR i zarządzania *Od Lokomotyw do Zagubionych. Jakie mamy typy pracowników i jak z nimi postępować*. Książka *Olimpijki* została nominowana do nagrody Grand Press w kategorii Książka Reporterska Roku oraz w plebiscycie na Sportową Książkę Roku 2020.

**Anna Sulińska dla miesięcznika „Kraków":**
Klucza do sukcesów bohaterek *Olimpijek* upatrywałabym raczej w ich wewnętrznej sile napędowej niż we wsparciu, które otrzymywały. Do sportu pchała je swoista ikra, temperament będący połączeniem zachłanności na życie, zawziętości, ciekawości i potrzeby rywalizacji (nie mylić z umiłowaniem zwycięstwa). To osobowość sprawiała, że ani warunki atmosferyczne, ani brak sprzętu ani niedobory trenerskie nie były w stanie zepchnąć ich ze ścieżki, na którą wkroczyły, często zupełnie przypadkiem. Dodatkowe wzmocnienie mogło przyjść ze strony nauczycielki WF-u, która pierwsza dostrzegła talent podopiecznej, ojca klecącego sztangę ze złomu, by córka mogła trenować, albo przyjaciółki rozkochanej w aktywności fizycznej. Gdyby jednak napotkało na inny charakter, niewiele by zdziałało przy pierwszych sportowych niepowodzeniach.

*

Jeśli miałabym podać biografię, która zrobiła na mnie wrażenie, to wskazałabym na książkę *Beksińscy. Portret podwójny* Magdaleny Grzebałkowskiej. Grzebałkowska cały czas jest blisko bohaterów, ale nawet przez chwilę nie przekracza granicy, za którą zaczyna się sensacja i tabloidyzacja. Towarzyszy, relacjonuje, nie osądza. Przedstawia różne punkty widzenia. Materiał jest bardzo dobrze udokumentowany, całość wspaniale napisana. Sięgając po książkę, znałam jej zakończenie. Wiedziałam, że Tomasz Beksiński popełni samobójstwo, a Zdzisław zostanie zamordowany, wydawało mi się, że to będą dwa najważniejsze punkty tej historii. Grzebałkowska wspaniale pokazała, że najważniejsze działo się pomiędzy.

# *Olimpijki*

**(fragmenty)**

W poniedziałkowy poranek, 29 sierpnia 1960 roku, Janina Mendalska i Daniela Walkowiak słyszą od lekarki ekipy olimpijskiej, że mają za dużo nie chodzić. Najlepiej, jeśli poleżą, ale mogą też poczytać. Wtedy będą spokojniejsze. W odpowiednim czasie ktoś po nie przyjdzie i zabierze je na zawody. Na szczęście Daniela nie bardzo lubi leżeć.

– Nina, już ta godzina, a nikt nie przyszedł – mówi do Janiny, zwanej Niną, z którą o 16.40 wystartuje w finale igrzysk olimpijskich w Rzymie w konkurencji K-2, czyli w kajakowej dwójce na dystansie 500 metrów. Do zawodów zgłosiło się jedenaście składów, dziewięć weszło do finału. Daniela i Nina zakwalifikowały się do niego z łatwością, zajmując pierwsze miejsce w drugim półfinale.

Półtorej godziny wcześniej, o 15.00, Daniela wystartuje w finale regat indywidualnych na dystansie 500 metrów. Będzie się w nim mierzyć z ośmioma zawodniczkami. Czuje, że ma szansę na medal. Wygrała ćwierćfinał i półfinał.

– Czekaj, przyjdą po nas – uspokaja ją Janina. To jej pierwsze igrzyska.

Danieli drugie. Cztery lata wcześniej, jako bardzo młoda, perspektywiczna zawodniczka, startowała w Melbourne, gdzie zdobyła szóste, punktowane miejsce.

– Idę zobaczyć, co się dzieje. – Danielę jak zawsze roznosi energia. Kilka minut później wpada z krzykiem do pokoju: – Nina, jest źle! Wszyscy już pojechali! Bierzemy torby i zasuwamy.

– Ale jak to? Niemożliwe! – denerwuje się Mendalska. – Daniela, wymyśl coś!

Gdy wybiegają na pusty plac, na którym kilka minut wcześniej stały autokary przewożące sportowców na zawody, niczym w kiczowatej scenie filmowej wjeżdża samochód. Daniela nie zastanawia się, jaką rolę przygotował jej los. Zatrzymuje auto.

– My, Polaco, Lago Albano, kajak, olimpico – wyrzuca z siebie słowa, ale mówi głównie rękami.

Kierowca gestem zaprasza do środka.

– Sznela, sznela! – krzyczy Daniela, gdy pędzą w trójkę polną drogą z wioski olimpijskiej w Rzymie na tor regatowy na jeziorze Albano w Castel Gandolfo, gdzie odbywają się zawody kajakarskie.

Do pokonania mają pięćdziesiąt kilometrów. Na miejsce docierają, kiedy zawodniczki już po rozgrzewce czekają w kajakach na start i na Polkę, Danielę Walkowiak spiker dwukrotnie wywoływał. Jeszcze jedno wezwanie i zostanie zdyskwalifikowana.

Daniela jest już w kajaku. Dopływa do linii startowej, ustawia się i słyszy strzał. Tak to zapamiętała. Rozpoczął się finał olimpijski. (...)

Daniela płynie bez rozgrzewki i bez przygotowania. A także bez opamiętania, jak natchniona. Nerwy ją niosą. Patrzy w lewo, bo wie, że najgroźniejsze przeciwniczki, Rosjankę Antoninę

Sieriedinę i Niemkę Therese Zenz, ma po lewej stronie, ale ich nie widzi. „Matko Boska, co się dzieje – myśli – chyba popełniłam falstart".

(...) Walkowiakówna na pierwszej pozycji! Proszę państwa! Do mety jeszcze 100–120 metrów. Walkowiakówna świetnie rozkłada siły! Ale teraz Sieriedina wzmacnia tempo. Finiszuje, dochodzi do Zenz, nie, jeszcze jest na drugim miejscu. Walkowiakówna jeszcze prowadzi! Słabnie! Słabnie, proszę państwa, Walkowiakówna! Prowadzi Sieriedina, ale Zenz się nie daje. Zenz prowadzi! Walkowiakówna jedzie teraz razem z zawodniczką niemiecką! Sieriedina wyprzedza je zdaje się o milimetry.

Walkowiakówna spada na trzecie miejsce! Sieriedina i Zenz przyjechały prawie jednakowo na metę. Walkowiakówna (...) ostatecznie zajęła trzecie miejsce, zdobywając brązowy medal. (...) Podczas dekoracji medalowej, która odbyła się od razu po wyścigu, stoi nieruchomo z mocno zaciśniętymi ustami. (...)

– Coś ty najlepszego zrobiła? – Stanisław Zantara, szkoleniowiec polskiej ekipy, próbuje żartować, gdy widzi brązową medalistkę.

– Pocałujcie mnie wszyscy w dupę! – krzyczy Daniela cała w nerwach. – Jak mogliście odjechać bez nas?!

– Myśleliśmy, że przy waszych szumnych znajomościach już dawno pojechałyście na tor. – Trener brnie w dowcip. – To jak się tu dostałyście?

– Gówno was to obchodzi! – wścieka się Walkowiak. – Nie odzywać się do mnie. Spierdalać mi tu wszyscy. Nie chcę was widzieć.

# Panny z *Wesela*

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec/jurorka konkursu

**W *Pannach z „Wesela”* Monika Śliwińska opisuje losy sióstr Mikołajczykówien, które, wbrew temu, co mówiono o nich w Krakowie, nie były wcale nierozgarniętymi istotami.**

Prawda jest taka, że nikt by o nich nie pamiętał, gdyby Stanisławowi Wyspiańskiemu nie przyszło do głowy opisanie ich w *Weselu*. Oczywiście były bohaterkami skandalu na miarę przełomu XIX i XX wieku, bo któż to widział, żeby panowie żenili się z chłopkami. Dały pretekst mieszczańskiemu Krakowowi do plotek, które szybko pewnie dokończyłyby żywota w jednym z zaułków wiekowych murów.

Siostry Mikołajczykówny trafiły jednak do literatury. Anna na kartach dramatu została wzorową Gospodynią, strzegącą z chłopską zaciętością domowych pieleszy, Jadwiga hałaśliwą i wulgarną Panną Młodą, a Marysia melancholijną mimozą tęskniącą za zmarłym narzeczonym. Aż dziw bierze, że nikt do tej pory nie pokusił się o napisanie ich biografii.

To zaniechanie postanowiła naprawić Monika Śliwińska, wcześniej autorka interesującej książki o Wyspiańskim *Dopóki starczy życia*. W *Pannach z „Wesela”* udajemy się do XIX-wiecznych Bronowic, do chałupy Jacentego Mikołajczyka, o którym mawiano, że jego największym majątkiem była uroda córek. Tylko że nie do końca prawdą jest, co udowadnia autorka, iż był on zwykłym chłopem. Otóż ów rolnik za ciężko zarobione pieniądze kupował książki, co już było dość niezwykłe. Córki takiego ojca nie mogły być nierozgarniętymi istotami, za jakie początkowo uchodziły w pełnym uprzedzeń Krakowie.

Śliwińska udowadnia, że Mikołajczykówny były mądrymi życiowo kobietami, czułymi partnerkami dla mężów, którzy je autentycznie kochali. Pokazuje, jak stawali w ich obronie, jak byli w stosunku do nich lojalni. W jednym z licznie cytowanych listów Lucjan Rydel pisze, że odnośnie do swojego małżeństwa nie zamierza iść na kompromisy i albo Jadwiga u jego boku będzie akceptowana i szanowana w towarzystwie, albo on przestanie w nim bywać. Podobnie postępował Włodzimierz Tetmajer. Na wieść o jego ślubie z Anną cały Kraków odwrócił się od malarza. Na czele zresztą z rodziną, dla której nie bez znaczenia był fakt, że ledwie kilka miesięcy wcześniej artysta zerwał zaręczyny z posażną panną, a bliscy właśnie z jej wianem wiązali swoją lepszą przyszłość. Mikołajczykówna w żaden sposób nie mogła im jej zapewnić.

Zresztą rozdziały poświęcone familiom Tetmajera i Rydla czyta się równie dobrze, jak te opisujące życie chłopów z Bronowic. Dzięki książce możemy zrozumieć, jak niby kompletnie obce sobie światy się przenikały – i to na wielu płaszczyznach. Choćby wtedy, kiedy mieszkańcy Bronowic przyjeżdżali do Krakowa ze swoimi plonami, a po targu szli do tutejszych knajp i robili zakupy w miejscowych sklepach, choć oczywiście tych tańszych. Mieli również tę samą co mieszczanie administrację, te same urzędy, chodzili do tych samych notariuszy, którzy zabezpieczali choćby posagi panien na wydaniu. W tym ostatnim przypadku różnica była taka, że mieszkańcy Krakowa nazywali ich notariuszami, a chłopi z Bronowic – natarensami. A poza tym bywali w święta w kościele Mariackim, bo Bronowice stanowiły część jego majątku.

Nic więc dziwnego, że Lucjan Rydel stanął z Jadwigą właśnie przed ołtarzem Wita Stwosza. W interpretacji Śliwińskiej ich ślub nabiera rangi porównywalnej do wydarzeń z udziałem dzisiejszych celebrytów. Poeta był wszak w mieście znaną i rozpoznawalną postacią, człowiekiem o ugruntowanej pozycji zawodowej, choćby przez to, że jego dramaty wystawiano na deskach Teatru Miejskiego. Poza tym pracował jako krytyk teatralny w „Czasie”, który był dziennikiem do tego stopnia opiniotwórczym, iż jeśli kogoś w nim nie opisywano, ten nie istniał. Także teatralna premiera *Wesela* wzbudziła w mieście poruszenie. Rydel chcąc chronić żonę, na wszelki wypadek nie zabrał jej z sobą na widownię, więc Jadwiga spektakl zobaczyła dużo później, już po śmierci męża. I wbrew temu, co pisał Adam Grzymała-Siedlecki, wcale nie zalała się łzami.

Z tomu dowiadujemy się, jak układało się życie sióstr ze znanymi artystami, jak musiały salwować się ucieczką przed najeżdżającymi ich domy kolegami mężów i licznymi ciekawskimi, chcącymi poznać życie osobliwych par. Jest też o tym, jak ułożyły się losy Mikołajczykówien. Otóż śmierć Tetmajera w 1923 roku, choć bolesna i ciężko przeżyta, nie wywróciła życia Anny. Dzieci były już samodzielne, poza najmłodszą córką, która została na gospodarstwie z finansowo niezależną matką. Jadwiga Rydlowa znalazła się w gorszej sytuacji, bo głównym źródłem utrzymania rodziny była praca Lucjana na stanowisku wykładowcy. Musiała więc żyć z wdowiej renty i tantiem z jego sztuk.

To, co spotkało panny Mikołajczykówny, nie wyłączając Marysi, której losy też są przedstawione w książce, układa się w kolejną historię niekonwencjonalnych małżeństw i opowieść o sile nieprzeciętnych kobiet, które zasłużyły, by o nich pamiętać.

Monika Śliwińska, *Panny z „Wesela”*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Fot. Natalia Wierzbicka/za wiedzą i zgodą wydawcy książki

**Monika Śliwińska** – jest dziennikarką i redaktorką. Pracuje w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" w Lublinie. Jest autorką książek *Muzy Młodej Polski* i *Wyspiański. Dopóki starczy życia*. Redaguje stronę internetową o życiu i twórczości Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

**Monika Śliwińska dla „Krakowa":**

Dobrymi duchami tytułowych bohaterek mojej książki byli i są żyjący potomkowie. Bez ich wsparcia merytorycznego i emocjonalnego biografia sióstr Mikołajczykówien byłaby dużo uboższa. Spędziliśmy wiele godzin na rozmowach, często trudnych, bo dotykających spraw bolesnych i wcześniej nieporuszanych publicznie. Myślę, że aby opowiedzieć czyjąś historię, wziąć odpowiedzialność za cudze losy, musi nastąpić pewnego zgodność potrzeb obu stron, a więc gotowość do podzielenia się opowieścią z jednej oraz gotowość do jej przyjęcia i zrelacjonowania z drugiej strony. Ta równoczesność dopełniła się także w innym wymiarze. Nie zdając sobie z tego sprawy w pierwszej chwili, wysłałam książkę do wydawnictwa w dniu 80. rocznicy deportacji Anny Tetmajerowej, czyli głównej bohaterki, oraz jej córki z Kresów Wschodnich na Syberię.

*

A kto był Złym Duchem? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Kilkoro bohaterów mojej książki zapewne powiedziałoby, że tym, co znacząco i niekoniecznie pozytywnie wpłynęło na bieg wydarzeń w ich życiu, były dwa utwory literackie: *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego i *Plotka o „Weselu"* Tadeusza Boya-Żeleńskiego. O ile w przypadku *Wesela* możemy mówić o narodzinach legendy, a tym samym utracie prywatności konkretnych osób i mitologizacji ich życiorysów, o tyle publikacja *Plotki* w grudniu 1922 roku wywołała w Krakowie, i nie tylko, zrozumiały żal do autora za przedstawienie kilkorga osób w krzywym zwierciadle. Po blisko stu latach, które upłynęły od ukazania się *Plotki* w druku, takie postaci jak Lucjan Rydel czy Józefa Singerówna nadal są postrzegane przez pryzmat tego, skądinąd znakomitego, felietonu.

*

Najchętniej sięgam po historie kobiet albo napisane przez kobiety. W ciągu ostatnich lat pojawiło się dużo ważnych dla mnie książek, nie potrafię wskazać tej jednej. Na pewno taką publikacją były *Wyznania gorszycielki* Ireny Krzywickiej w opracowaniu Agaty Tuszyńskiej, które przeczytałam wieki temu i które dały początek mojemu zainteresowaniu życiem i twórczością Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Moja pierwsza książka była poświęcona jego żonie Zofii z Pareńskich Żeleńskiej i jej siostrom. Najwięcej emocji dostarczają mi jednak bohaterowie własnych książek w momentach próby, kiedy dopełniają się ich losy. Trudnym doświadczeniem była dla mnie lektura listów Zofii Żeleńskiej z okresu, kiedy wyczekiwała wiadomości od męża i siostry, nie wiedząc, że zginęli w egzekucji profesorów lwowskich w lipcu 1941 roku we Lwowie. Jeszcze dziś mam w pamięci jej słowa: „Czekam ich ciągle". Jeśli chodzi o *Panny z Wesela*, najtrudniejsze emocje towarzyszyły mi przy pracy nad tą częścią książki, która opowiada o dramatycznych przejściach Krystyny, córki Anny Tetmajerowej, na zesłaniu w obwodzie irkuckim. To jest ten rodzaj przeżyć, które pozostaną w mojej pamięci na długo, pewnie na zawsze.

# *Panny z „Wesela”*

**(fragmenty)**

To, co najistotniejsze, Lucjan Rydel notuje na kartce. Zachowała się do dziś. W lewej kolumnie atrybuty panny młodej, w prawej wszystkie części stroju pana młodego (ceny w złotych reńskich). W kolumnie Jadwigi brakuje bucików i ciepłej katanki, w końcu jest listopad.

| | |
|---|---|
| Chusta sitkowa 6 | Sukmana |
| zapaska sitkowa 12 | Kaftan |
| spódnica ślubna 12 | Pas |
| zapaska 6 | Czapka |
| wstążki wianek 3 | Buty |
| koszula ślubna 5 | Spinka |
| gorset ślubny 16 | Koszula |
| chustka pąsowa 1.50 | |
| Obrączki | |
| Zapowiedzi | |

Wesele odbędzie się w karczmie Hirsza Singera, czepiny u Mikołajczyków i Tetmajerów. Jedna parcela, dwie chałupy. Jedna ziemia, dwa światy. Ci z Bronowic i ci z Krakowa. Gościć się będą oddzielnie, bawić wspólnie w dużej izbie u Tetmajerów. (...)

W tych dniach nieporozumienia dubeltowo spadają Rydlowi na głowę. W sobotę 17 listopada zaprasza na ślub i wesele Stanisława Wyspiańskiego. Teodory Wyspiańskiej nie zaprasza albo robi to w złej formie. Wybrał niedobry moment, bo Wyspiański jest uwrażliwiony na wszelkie uchybienia wobec żony. Tego dnia, o czym Rydel może nawet nie wie, za zamkniętymi drzwiami kościoła św. Floriana odbył się drugi ślub Wyspiańskich. Poprzedni został unieważniony ze względów proceduralnych. W niedzielę 18 listopada Wyspiański pisze do Rydla:

*Szanowny Panie Lucjanie!*
*Odmawiam Ci świadkowania w kościele przy twoim ślubie; wczorajsze zachowanie się twoje pomijające zupełnie wszelkie najskromniejsze nawet wymagania hiszpańskiego ceremoniału zaprosin, jaki w całéj Polsce panuje, – uwalnia mnie w zupełności od uczynienia zadość prośbie twojéj, tém bardziej że żadnego kłopotu mieć nie będziesz, gdyż możesz sobie wziąć kogokolwiek, kogo potém na wesele nie zaprosisz.*
*Stanisław Wyspiański*

Córka Rydla powie po latach: „Rydel, mówiąc zupełnie otwarcie, Wyspiańskiej nie lubił, musiał widocznie uważać, że jest jakiś konkretny powód, taki uznawany w ówczesnych czasach, który dawał mu możność oficjalnie nieproszenia pani Wyspiańskiej na wesele. (...) I to spowodowało ten list. Kiedy jednak ten list dostał, a na Wyspiańskim zależało mu bardzo, w tej chwili do Wyspiańskich pobiegł do domu i bardzo oficjalnie obydwoje prosił na ślub i na wesele”.

Protokół przedślubny spisują 6 listopada, datę ślubu ustalają (tydzień przed uroczystością) na 20 listopada. Rydlowi zależy na obecności krewnych spoza Krakowa, chciałby zebrać ich wszystkich w kościele. Rozgłos ostatnich miesięcy najwyraźniej dał się mu we znaki, bo datę ślubu pozostawia dla siebie.

Tymczasem nie jest łatwo utrzymać całą rzecz w tajemnicy. W Bronowicach przygotowania trwają od kilku tygodni. Kobiety wymiatają izby, piorą, pieką i gotują. Mężczyźni wynoszą meble z jadalni – tutaj odbędą się tańce. Atmosfera weselna udziela się wszystkim. Najmłodszy Kuba otrzymuje trzydniowe zwolnienie z zajęć szkolnych. Włodzimierz Tetmajer także zmienił zdanie. Do dyspozycji gości oddaje kuchnię, dwa pokoje i pracownię, która na czas wesela będzie służyła za garderobę.

I tylko ta pogoda. Sobota – zimno, niedziela – deszcz, poniedziałek – deszcz. Jak w takiej słocie jechać furmanką do ślubu?

Lucjan Rydel przyjeżdża do Bronowic w poniedziałek 19 listopada. W walizce ma czarny ślubny frak i strój bronowicki: buty z cholewami, białą sukmanę, granatowy żupan, czerwoną kamizelkę, białą koszulę i spodnie w biało-czerwone paski. Do tego skórzany pas nabijany mosiężnymi nitami, spinkę z koralem do koszuli, czerwoną krakuskę z pawimi piórami. Przebiera się bez zwłoki. O godzinie dziewiętnastej młodzi z Bronowic zbierają się na tradycyjne Dobranoc u Jadwigi. To rodzaj wieczoru panieńskiego. Drużbowie Jasiek Mikołajczyk, syn Jacentego, i Kasper Czepiec, syn Macieja, otrzymują od druhny kwieciste tybetowe chustki. Przypinają je na piersi z lewej strony, przekładają przez ramię i ruszają w drogę. Tego wieczoru muszą objechać konno wszystkie chałupy. Będą stukać do okien skórzanym biczem i zwoływać gości na wesele. W przewieszonych przez pierś torbach mają wódkę i kieliszki. Zwyczaj nakazuje przepić do każdego z zaproszonych. Nie jest łatwo utrzymać się na koniach tej nocy.

# XV WYPOMINKI TISCHNEROWSKIE

# JERZY PILCH

## KRAKÓW, grudzień 2020 - Klezmer Hois

OGLĄDAJ NA
www.playkrakow.com

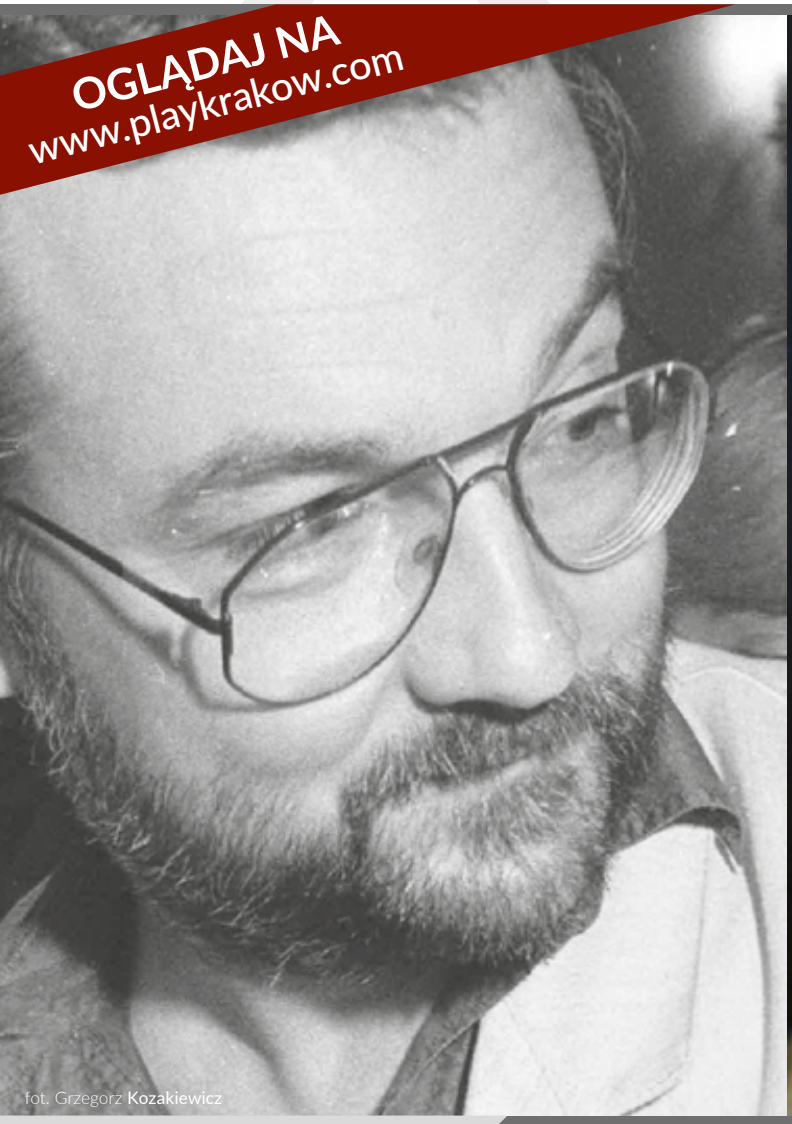

fot. Grzegorz Kozakiewicz

fot. Piotr Uss Wąsowicz

Zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK
www.miesiecznik.krakow.pl

*„Wy mi się, kurwa, lutrze czy kalwinie coraz bardziej podobacie".*

- ks. Tischner do Pilcha

scenariusz i prowadzenie: **Witold Bereś**
reżyseria: **Artur Więcek Baron**
zdjęcia: **Piotr Trela**
dźwięk: **Mariusz Dziedzic**
śpiewają: **Magda Brudzińska i Dominika Handzlik**
mówią o Jerzym Pilchu: **Iga Dzieciuchowicz, Magdalena Huzarska-Szumiec, Krzysztof Burnetko, Andrzej Franaszek, Paweł Głowacki, Artur Więcek „Baron"**

KLEZMER-HOIS
KRAKÓW ULICA SZEROKA 19

ŚWIAT MA SENS FUNDACJA
ZAiKS
kbf:
EBUD
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY KRAKÓW
MA SENS
PORTAL LUDZI MYŚLĄCYCH POZYTYWNIE

# Nie uda nam się ten karnawał

**Tekst:** Mieczysław Czuma

**Wygląda na to, że nie uda nam się tegoroczny karnawał. Co z tego, że wypełniamy zalecenia pana premiera, pana ministra zdrowia i całego wysokiego areopagu sanitarno-epidemiologicznego? Chodzę zamaskowany, trzymam dystans od polityków, myję nie tylko ręce, ale i nogi. Ale i tak się nie uda. Bo jak balować i balangować, kiedy statystyki wciąż premiują paskudnego wirusa?**

Historia zna podobnie beznadziejne karnawałowe scenariusze. Bywało już koszmarnie i ponuro właśnie wtedy, kiedy kalendarz podpowiadał tańce i zabawy. To się działo w Wiedniu. Był rok 1867, parę miesięcy po katastrofalnej klęsce pod Sadową. 220-tysięczna armia pruska rozniosła w pył liczniejsze, bo 250-tysięczne siły austriackie. Austria utraciła zwierzchnictwo w Związku Niemieckim, musiała zrzec się Holsztyna na rzecz Prus, a Włochom oddać Wenecję. Stołeczny Wiedeń okryty był żałobą. Szpitale pełne były rannych, odwołane zostały wszelkie bale i zabawy, pozamykano kasyna i kawiarnie.

Nie tylko my tutaj w Galicji możemy teraz robić porównania z tym, co wtedy działo się nad Dunajem. Z krajobrazu polskich ulic także zniknęły kawiarnie, kina i teatry zamieniły się w pustynie, choróbska mają się dobrze, szpitale są zakorkowane, a żeby już po wszystkim dostać się na cmentarz, trzeba swoje odstać w kolejce. Gorsze to jak wtedy u nich w Wiedniu. O pojedynku pod Sadową powiedział Cyprian Kamil Norwid, że „to ułany poznańskie pobiły ułanów galicyjskich". Bo też po obydwu stronach, odziane w mundury zaborców, walczyły całe zastępy polskich chłopów, którzy w przysiędze wojskowej ślubowali bić się za cesarza „aż do rozszarpania ciała". Teraz u nas nad Wisłą jakby to samo. Też wojna polsko-polska. I to aż do rozszarpania duszy. No więc nie uda nam się ten karnawał.

Oni tam w Wiedniu mieli jednak więcej szczęścia i pomyślunku, próbowali mimo wszystko wydobyć się z marazmu i beznadziei. Ale mieli tam Straussa. Aby przełamać niemoc i apatię, aby choć kropelkę pocieszenia przelać w obolałe serca, Wiedeńskie Męskie Towarzystwo Śpiewacze (to grono założyło później stołeczną filharmonię) postanowiło zorganizować koncert. Zamówiono u Johanna Straussa (juniora) pieśń na chór męski w rytmie walca. Utwór wykonany został w karnawale. Jedna część chóru śpiewała o tym, aby weselić się i oddać beztroskiej zabawie, druga odpowiadała, że radości nie da się pogodzić z panującym cierpieniem i rozpaczą. Ułożone przez kogoś słowa pieśni szybko zostały zapomniane, za to melodia stanowiąca podkład do tego tekstu zrobiła niewyobrażalną karierę. To właśnie jest walc *Nad pięknym modrym Dunajem*, ozdoba najwspanialszych koncertów, prawdziwy muzyczny arcypoemat. Johann Strauss (junior) obok wielu polek, marszów, kadryli i 16 operetek skomponował 460 walców. Ale to właśnie ten, stworzony w najsmutniejszym ze wszystkich wiedeńskich karnawałów, króluje ponad wszystkimi. To o tym utworze inny wielki wirtuoz Johannes Brahms miał się wyrazić: „To, niestety, nie ja skomponowałem".

Otoczyły nas legiony natchnionych majsterkowiczów, takich w stylu disco polo. Majsterkują przy czym się da, byle postawić na swoim. Przy naszych poglądach, gustach, zamiarach. Burzą prywatność, demolują samopoczucie. Nie uda nam się tegoroczny karnawał, nie uda.

Na naszym horyzoncie nie widać żadnego Straussa. Są za to całe legiony natchnionych i przemożnych majsterkowiczów, takich w stylu disco polo. Majsterkują przy czym się da, byle postawić na swoim. Przy naszych poglądach, gustach, zamiarach. Burzą prywatność, demolują samopoczucie. Nie uda nam się tegoroczny karnawał, nie uda.

**Mieczysław Czuma** – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

# PORTRETY 2020

**Przedstawiamy pełną listę tytułów książek, filmów, wystaw i spektakli rozważanych przez jury przy wyborze ZŁOTEJ DWUDZIESTKI roku 2020.**

1. **Jerzy Aleksandrowicz, *Terapia na życie. Rozmowy z Dominiką Dudek i Małgorzatą Skowrońską***, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Zapis rozmów z prof. Jerzym Aleksandrowiczem – wybitnym psychiatrą, lekarzem, filozofem i krakowianinem o życiu, Holokauście, wierze, psychoterapii.

2. **Adrianna Alksnin, *Sromotny przegryw***, Wydawnictwo Niebieska Studnia, Warszawa 2020.

Poemat heroikomiczny z życia młodych krakowian. Wzloty i upadki bohaterów śledzimy w trakcie jednej, suto zakrapianej nocy.

3. **Anna Arno, *Kot. Opowieść o Konstantym A. Jeleńskim***, Iskry, Warszawa 2020. **NOMINACJA**

4. **Paulina Banasik, Tomasz Strug** (kuratorzy), ***wystawa Szancer, wyobraź sobie!***, Żydowskie Muzeum Galicja, Kraków, otwarcie wystawy: 1.07.2020 r.

Ekspozycja pokazuje świat twórczości wybitnego polsko-żydowskiego ilustratora Jana Marcina Szancera, na którego rysunkach wychowały się pokolenia dzieci i młodzieży (wiersze Tuwima, przygody Pana Kleksa czy baśnie Andersena).

5. **Marek Bartosik, Ewa Wachowicz, *Wszystkie korony Ewy Wachowicz***, Znak Horyzont, Kraków 2020.

Pierwsza publikacja tak obszernie ukazująca fascynujące życie byłej Miss i mistrzyni masowej wyobraźni wszystkich gotujących.

6. **Beata Biały, *Osiecka. Tego o mnie nie wiecie***, W.A.B., Warszawa 2020.

Bardzo osobiste wywiady z bliskimi przyjaciółmi i znajomymi bliskich przyjaciół Agnieszki Osieckiej, z których wyłania się niezwykły obraz jej zagadkowej osobowości.

7. **Piotr Bratkowski, *Mieszkam w domu, w którym wszyscy umarli***, Wielka Litera, Warszawa 2020. **NOMINACJA**

8. **Bogdan Chmura i Wojciech Prażuch**, audycja ***Jazz Club Dworek i okolice***, Radio Jazz Dworek Białoprądnicki.

Opowieść o jazzie w Dworku Białoprądnickim, ważnym ośrodku na kulturalnej mapie Krakowa, gdzie na przełomie lat 70. i 80. działał klub jazzowy – całość ilustrują nagrania czołowych artystów, którzy tam występowali.

9. **Sylwia Chwedorczuk, *Kowalska. Ta od Dąbrowskiej***, Marginesy, Warszawa 2020.

Historia uczucia pisarek Marii Dąbrowskiej i Anny Kowalskiej. Ukazuje złożoność relacji z mężem oraz dramatyzm żywionych uczuć do Marii. Autorka wydobywa z mroku zapomnianą pisarkę, autorkę przejmującej *Szczeliny*, cenioną przez Antoniego Słonimskiego czy Julię Hartwig.

10. **Jakub Ciećkiewicz, *Koniec świata na mojej ulicy***, Austeria, Kraków 2020.

Poetycka proza o Krakowie, z autorskimi artystycznymi zdjęciami miasta, jakiego dziś już nie ma. I opowieść o Olszy, gdzie do dziś mieszka autor książki – krakowski dziennikarz, fotograf, reporter, taksówkarz, poeta, astrolog i podróżnik.

11. **Małgorzata Czyńska, *Tamara Łempicka. Triumf życia***, Znak Horyzont, Kraków 2020.

Opowieść o artystce niepokornej, orędowniczce wolnej miłości i przyjemności życia, która budowała swoją legendę konsekwentnie i bezkompromisowo. Autorce udało się uchwycić kobietę z krwi i kości, która kochała, pracowała i zmagała się z losem, by trwale zapisać swoje miejsce.

12. **Bruno Drwęski, *Zagrabiona historia Solidarności. Został tylko mit***, Fundacja Oratio Recta, Kraków 2020.

Książka urodzonego w Montrealu politologa, historyka i publicysty specjalizującego się w najnowszej historii Polski i dziejach ruchu robotniczego, opowiada jak historyczna „Solidarność" stała się nieświadomym narzędziem w zabiegach o likwidację socjalizmu.

13. **Marianna Fijewska, *Trudny przypadek. Prawdziwe historie polskich lekarzy***, Wielka Litera, Warszawa 2020.

Portret lekarzy i praca na styku nauki, wiary i nadziei. Przypadki, które zdarzają się raz na milion. Nadal budzą emocje i prowokują niedające spokoju pytanie: czy dla tego pacjenta zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy?

14. **Sylwia Frołow, *Antonówki. Kobiety i Czechow***, Czarne, Wołowiec 2020.

Historie kobiet, z którymi wiązał się autor *Wujaszka Wani* – bo nie ma pisarza Czechowa i nie ma człowieka Czechowa bez kobiet. Uznawany za przyjaciela kobiet, dla tych, które go kochały, potrafił być okrutny i niesprawiedliwy.

15. **Anna Fryczkowska, *Cyrkówka Marianna***, Świat Książki, Warszawa 2020.

Powieść drogi o dwojgu w niezwykłych czasach: dziewczynie ze wsi, niegdyś warszawskiej służącej, i przedwojennym atlecie, którzy w burzliwych powojennych czasach ruszają w cyrkową trasę po wsiach i miasteczkach.

16. **Maciej Gablankowski, *Piłsudski. Portret przewrotny. Biografia***, Znak Horyzont, Kraków 2020.

Autor rozprawia się z najczęściej powtarzanymi mitami na temat Marszałka i prezentuje zupełnie inne spojrzenie na tę genialną, choć skomplikowaną postać. Otrzymujemy biografię niezwykle błyskotliwą i inspirującą do niekończących się historycznych dyskusji.

17. **Marek Gajczak** (reżyser), film dokumentalny ***Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana***, producent: Kraków Film Klaster, Kraków 2020. **NOMINACJA**

18. **Filip Gańczak, *Jan Sehn. Tropiciel nazistów***, Czarne, Wołowiec 2020.

Portret profesora Jana Sehna, sędziego, który po roku 1945 stał się wybitnym ekspertem od Auschwitz i motorem polskich rozliczeń z brunatną okupacją. Umiał rozmawiać ze wszystkimi: z komunistycznymi władzami PRL, wojskowymi z USA i prokuratorami z RFN. Tropieniu nazistów poświę-

cił dwadzieścia lat przedwcześnie przerwanego życia.

19. **Joanna Gościej-Lewińska**, kurator wystawy ***Jerzy Duda-Gracz***, Nowohuckie Centrum Kultury, otwarcie: 22.01.2020.

Autorska kolekcja malarstwa i grafiki, złożona z 91 prac wybitnego polskiego malarza, rysownika, scenografa, którego twórczość oparta na tradycji malarskiego surrealizmu i ekspresjonizmu zawsze budziła silne emocje.

20. **Sylwia Góra, *Ewa Kierska. Malarka melancholii***, Universitas, Kraków 2020.

Opowieść o krakowskiej artystce zapomnianej. Wydaje się, że krakowskie środowisko artystyczne pozostawiało na marginesie twórców, którzy byli w pewnym sensie staroświeccy ze względu na temat czy technikę – a taka była malarka. W dodatku po wojnie funkcjonowało nigdzie niezapisane, ale wyraźne traktowanie twórczości mężczyzn jako tej poważniejszej. Wyjaśnienie fenomenu jej twórczości jest trudne, ale autorka podjęła próbę oddania jej malarstwu sprawiedliwości.

21. **Janusz Górski, Łucja Mróz-Raynoch, *Przekrój przez Mroza***, Czysty Warsztat, Gdańsk 2020.

Tak obszerny wybór ilustracji Daniela Mroza, legendarnego rysownika tygodnika „Przekrój", to galeria winiet, rączek, spisów treści i surrealistycznych tytulików *Zagadek kryminalnych*. A zarazem wzruszająca, zabawna, mądra opowieść o niezwykłym człowieku, będącym od lat jedną z legend Krakowa.

22. **Janusz Górski, Ewa Fryszak, *Ballada o dziewczynie***, Karakter, Kraków 2020.

Autor przybliża sylwetkę oraz dorobek polskiej projektantki i ilustratorki, postaci zaskakująco (dotąd) nieznanej w Polsce, ale ponadto daje niepowtarzalny wgląd we fragment historii PRL, pracę kobiety w świecie artystycznym zdominowanym wówczas przez mężczyzn, w rozwiązania twórcze w czasach niedoboru papieru i niedostatku w ogóle.

23. **Mikołaj Grabowski** (reżyseria), **spektakl teatralny *Kochana Wisełko, najdroższy Zbyszku***, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, premiera: 3.10.2020. **NOMINACJA**

24. **Andrzej Grabowski, Jakub Jabłonka, Paweł Łęczuk, *Andrzej Grabowski. Jestem jak motyl***, Agora, Warszawa 2020.

Opowieść o dzieciństwie w rodzinnej Alwerni uzmysławia, że po ponad sześćdziesięciu latach niesforny chłopak z małego miasteczka wciąż w Grabowskim siedzi i ma się całkiem dobrze. Niezwykła wrażliwość aktora, skrywana za żartami komediant, doskonale wybrzmiewa między wierszami opowieści o jego życiu.

25. **Grzegorz Graf, Maja Spychaj-Kubacka** (kuratorzy), wystawa ***Heródek***, Muzeum Etnograficzne, Kraków 2020.

Wystawa rzeźb twórcy ludowego Karola Wójciaka, zwanego Heródkiem, który urodził się, tworzył i zmarł w Lipnicy Wielkiej na Orawie. Do dziś niepozorny lipniczanin przyciąga etnografów, kolekcjonerów, krytyków sztuki.

26. **Tomasz Gregorczyk, Janusz Jabłoński, *Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia***, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020. **NOMINACJA**

27. **Manuela Gretkowska, *Faworyty***, Znak Literanova, Kraków 2020.

Śmiała obyczajowo i trzymająca w napięciu powieść niehistoryczna. Libertynka i patriotka Gretkowska, używając kostiumu znanego z *Niebezpiecznych związków*, odsłania mechanizm rządzący nie tylko polską historią. Bo dekoracje się zmieniają, ale zawsze chodzi o seks i władzę.

28. **Manuela Gretkowska, *Wenecja. Miasto, któremu się powodzi***, Wielka Litera, Warszawa 2020.

Przewodnik po Wenecji, który czyta się jak powieść. Gretkowska połączyła encyklopedyczne treści z literackim stand-upem. Miasto papieży i grzeszników, artystów i złoczyńców. Kościoły buduje się tu z pieniędzy ściąganych od prostytutek, a współcześni mafiozi wykradają zwłoki dawnej świętej.

29. **Joanna Gromek-Illg, *Szymborska. Znaki szczególne***, Znak, Kraków 2020.

Jaka była naprawdę Wisława Szymborska? Chodziło w tych poszukiwaniach nie tyle o życie zewnętrzne, co o psychikę poetki, jej przeżycia wewnętrzne, rejony, do których dostępu broniła stanowczo, powtarzając: „to po mojej śmierci", co skutecznie peszyło rozmówców. Na podstawie tysięcy listów, ale też rozmów z przyjaciółmi autorka odtwarza tę część jej biografii.

30. **Hanka Grupińska, *Dalekowysoko***, Wielka Litera, Warszawa 2020.

Autorka wędrując „dalekowysoko", do doliny Spiti w Tybecie, napisała książkę, która ofiaruje czas namysłu wokół rozmaitych znaczeń. Tybetańczycy to ludzie bez swojej ziemi, bez państwa – żyją w miejscu użyczonym, w kraju należącym do innych.

31. **Anna Gryszkówna** (reżyser), spektakl teatralny ***Ginczanka. Przepis na życie***, Teatr Łaźnia Nowa, Kraków, premiera: 6.03.2020.

Monodram o poetce Zuzannie Ginczance, która została zamordowana, mając zaledwie 27 lat w niemieckim obozie KL Płaszów. Reżyserka subtelnie zderza witalność Ginczanki z czasem, który ją ograniczał, i ludźmi, którzy widzieli w niej albo prowincjonalną gęś, albo ładną dziewczynę.

32. **Remigiusz Grzela, *Z kim tak ci będzie źle jak ze mną? Historia Kaliny Jędrusik i Stanisława Dygata***, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2020.

Wielowymiarowa opowieść o pięknej, ale i niszczycielskiej miłości pierwszej seksbomby polskiego kina Kaliny Jędrusik i charyzmatycznego i sporo od niej starszego pisarza Stanisława Dygata.

Autor obala mit, że to błyskotliwy pisarz stworzył wampa. Przygląda się karierom obojga, brzemiennym w skutkach decyzjom i wyborom.

33. **Marta Guzowska, *Wiedeń. Miasto najlepsze do życia***, Wielka Litera, Warszawa 2020.

Autorka mieszkająca w Wiedniu od kilkunastu lat przekonuje nas, że choć nie może powiedzieć, że zna to miasto jak własną kieszeń, to doświadczyła wystarczająco dużo, żeby się w nim zakochać, docenić jego urok i przewrotne poczucie humoru.

34. **Bartosz Heksel, *Żydowscy adwokaci w przedwojennym Krakowie***, Wydawnictwo EMG, Kraków 2020.

Książka poświęcona prawnikom pochodzenia żydowskiego oraz roli, jaką odgrywali w międzywo-

jennym Krakowie. Uzupełnieniem obrazu są historie rodzin, wybrane głośne sprawy sądowe, a także charakterystyczne dla epoki przykłady życia towarzyskiego ówczesnych elit.

35. **Anna Herbich, *Dziewczyny ocalałe***, Znak Horyzont, Kraków 2020.

Niczym nie zawiniły. Miały pecha, że urodziły się w żydowskich rodzinach. Wychowane w czasach pokoju nagle musiały stanąć oko w oko z okropieństwami wojny. Po kolei traciły najbliższych. Żyły w nieustannym strachu. Pozbawiano je godności. Jednak przetrwały. Czasami jako jedyne z całej rodziny.

36. **Agnieszka Holland** (reżyseria), film ***Szarlatan***, Marlene Film, 2020.

Słodko-gorzka historia czechosłowackiego zielarza i uzdrowiciela Jana Mikoláška, którego dokonania w latach 30., 40. i 50. XX wieku wzbudzały wiele emocji. Opowieść o człowieku rozdartym między umiejętnościom pomagania ludziom a żądzom, z którymi walczyć nie potrafił.

37. **Jan Holoubek** (reżyseria), film ***25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy***, producent: TVN, Polski Instytut Sztuki Filmowej, Warszawa 2020. **NOMINACJA**

38. **Igor Jarek, *Halny***, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2020.

Zbiór opowiadań, które łączy miejsce akcji – Nowa Huta. Autor, portretując mieszkańców, pokazuje nam ciemną stronę dzielnicy, rezerwuar wszystkiego, co nie znosi dziennego światła.

39. **Dariusz Jaroń, *Skoczkowie***, Marginesy, Warszawa 2020.

Zanim cały świat zaczął zachwycać się Małyszem i Kowalczyk, a wcześniej polskimi himalaistami – Rutkiewicz i Kukuczką, mieliśmy wielu uzdolnionych zawodników reprezentujących sporty zimowe jeszcze przed II wojną światową. Niestety, w jednej chwili wojna przerwała ich kariery.

40. **Katarzyna Jasiołek, *Asteroid i półkotapczan. O polskim wzornictwie powojennym***, Marginesy, Warszawa 2020.

Opowieść o tym, w jakich okolicznościach powstawały meble, szkło, tkaniny, oświetlenie czy ceramika, dostępne (czy raczej wiecznie niedostępne) w polskich sklepach po 1945 roku, ale także o tym, kto tworzył te, które nigdy nie trafiły na sklepowe półki.

41. **Tomasz Jastrun, *Dom pisarzy w czasach zarazy***, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020.

Opowieść o rodzinnym domu przy ulicy Iwickiej 8A, który w latach stalinowskich zamieszkiwali znani pisarze. Książka mówi o procesie zniewalania duszy, o sztuce miażdżonej walcem historii, ale także o przebudzeniu i triumfie prawdy. Intrygujący reportaż pełen anegdot, esej i pamiętnik wzbogacony niezwykłymi dokumentami i zdjęciami.

42. **Piotr Ibrahim Kalwas, *Gozo. Radosna siostra Malty***, Wielka Litera, Warszawa 2020.

Autor opisuje maltańską wyspę, docierając do miejsc nieopisywanych w tradycyjnych przewodnikach. Ten „subiektywny przewodnik" jest efektem spacerów w poszukiwaniu esencji Gozo, nowej ojczyzny Kalwasa. Książka od pierwszych stron uderza poetyckim, onirycznym klimatem, senną atmosferą gorącej śródziemnomorskiej wyspy, gdzie czas płynie innym tempem.

43. **Dorota Karaś, Marek Sterlingow, *Walentynowicz. Anna szuka raju***, Znak, Kraków 2020.

Biograficzne śledztwo, ale i wciągająca opowieść o kobiecie, której życie było związane z najważniejszymi wydarzeniami w powojennej Polsce. Historia osoby upartej i ambitnej, zawsze w centrum wydarzeń. Autorzy rozmawiali z jej przyjaciółmi i jej przeciwnikami, w tym z agentem, który zaważył na jej relacjach z Wałęsą.

44. **Anna Kaszuba-Dębska, *Bruno. Epoka genialna***, Znak, Kraków 2020. **NOMINACJA**

45. **Alicja Kędziora, Emil Orzechowski, *Helena Modrzejewska i jej przyjaciele***, Księgarnia Akademicka, Kraków 2020.

Opis relacji jednej z najwybitniejszych aktorek polskich w historii teatru z kręgiem jej przyjaciół. Jednak błędem byłoby zamykanie znaczenia tomu tylko do dziedziny teatru. Patrząc szerzej – przedstawiony zbiór to piękna, wieloaspektowa, budująca rzecz o istocie przyjaźni.

46. **Izolda Kiec, *Ginczanka***, Marginesy, Warszawa 2020. **NOMINACJA**

47. **Leszek Konarski, *Nowa Huta. Wyjście z raju*** (seria: *Historia bez IPN*), Fundacja Oratio Recta, Kraków 2020.

Reporterska opowieść o siedemdziesięciu latach Nowej Huty, od 1949 roku do dnia dzisiejszego, zarówno o tych, którzy we wczesnych powojennych latach uwierzyli w możliwość zbudowania idealnego miasta i temu celowi poświęcili całe swoje życie, jak i o tych zwalczających później wypaczenia socjalizmu, którzy tych pierwszych potępili i skazali na zapomnienie.

48. **Marek Kornat, Mariusz Wołos, *Józef Beck. Biografia***, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Biografia postaci kontrowersyjnej. Autorzy odnoszą się do smutnych epizodów II RP z jego udziałem: rozprawy z opozycją, kursu wobec mniejszości narodowych, agresji na Zaolzie. Przypominają jego udział w odzyskaniu niepodległości, a potem internowanie w Rumunii po wrześniu 1939 roku. Jest też o życiu osobistym, zainteresowaniach, przyjaźniach i antypatiach Becka.

49. **Bożena Kostuch, Bolesław Książek. *Czarodziej z Łysej Góry***, Marginesy, Warszawa 2020.

Opowieść o jednym z najwybitniejszych polskich ceramików, który jako znany już i ceniony artysta, uwiedziony niespotykaną magią małej miejscowości koło Tarnowa, porzucił Kraków i stworzył sobie nowy dom.

50. **Monika Kozioł** (kurator), wystawa ***Stary Rzepecki patrzy na młodego Rzepeckiego***, Bunkier Sztuki, Kraków 2020.

Wystawa retrospektywna Adama Rzepeckiego – artysty uprawiającego malarstwo, fotografię i performance oraz tworzącego instalacje, które w większości powstawały w latach 70. i 80 XX w. Twórca podsumowuje swoje życie i dorobek, stosując ciekawą strategię polegającą na pojawieniu się w dwóch postaciach – dojrzały artysta spotyka samego siebie młodego.

51. **Anna Kozłowska, *Krzysztof Kozłowski. Książka do pisania***, Austeria, Kraków 2020. **NOMINACJA**

52. **Rafał Księżyk, *Dzika rzecz. Polska muzyka i transformacja 1989–1993***, Czarne, Wołowiec 2020.

Opowieść o czasie przemian ustrojowych z perspektywy studiów nagraniowych, klubów muzycznych, artystycznych domów kultury, tras koncertowych, nielegalnych miejscówek, szemranych kontraktów. To właśnie na polskiej scenie spontanicznie realizowała się idea społeczeństwa obywatelskiego i eksplorowano możliwości, które nadeszły wraz z nową epoką.

53. **Katarzyna Kubisiowska, *Głos. Wojciech Mann***, Znak, Kraków 2020.

Rozmowa dziennikarki z radiowcem, który po 55 latach pracy opuścił ukochaną radiową Trójkę, by zacząć kolejną przygodę – w Radiu Nowy Świat. *Głos* to osobista, szczera i bezkompromisowa opowieść o tym, jak zachować niezależność i pozostać sobą w każdych okolicznościach, bez zadęcia, z przymrużeniem oka i na luzie.

54. **Angelika Kuźniak, *Soroczka***, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Niezwykły obraz tego, jak przez lata zmieniał się stosunek do śmierci, naturalistyczne i zarazem metafizyczne uchwycenie tego, co umyka w codziennym zgiełku spraw. Autorka w poetycki sposób opisuje spotkanych na swojej drodze ludzi, którzy ze spokojem oczekują na śmierć.

55. **Marisa de Lempicka, Maria Anna Potocka,** album ***Tamara de Lempicka***, BoSz, Lesko 2020. **NOMINACJA**

56. **Adam Leszczyński, *Ludowa historia Polski***, W.A.B., Warszawa 2020. **NOMINACJA**

57. **Aleksandra Lipczak, *Lajla znaczy noc***, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2020.

W książce rozpiętej między historią a współczesnością, esejem a reportażem autorka dekonstruuje popularne symbole Hiszpanii (flamenco, mozaiki, palmy), odsłaniając ich muzułmańsko-arabskie korzenie.

58. **Elżbieta Łapczyńska, *Bestiariusz nowohucki***, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2020.

Książka odsłania świat do bólu realnej cielesności, przywołuje surrealistyczne obrazy tego, co dzieje się na styku ludzkiego doświadczenia i fizyczności kombinatu, wprowadza bohaterów owładniętych zmysłami, zadaje pytania o tożsamość. Czy robotnicze miasto jest Ziemią Obiecaną?

59. **Mateusz Madejski, *Zosia z Wołynia***, Znak Horyzont, Kraków 2020.

Ta opowieść o Zofii Hołub jest historią XX-wiecznej Polski w pigułce. Bohaterka uciekła przed bandami UPA mordującymi Polaków na Wołyniu, potem unika transportu do Auschwitz, po wojnie wyjeżdża na Ziemie Odzyskane i wychodzi za mąż za żołnierza wyklętego. Autor publikuje rozmowę z własną babcią i odkrywa przed czytelnikami, jak wiele tajemnic i tragicznych wydarzeń skrywa historia większości polskich rodzin.

60. **Anna Malinowska, *Komendant. Życie Salomona Morela***, Agora, Warszawa 2020. **NOMINACJA**

61. **Katarzyna Marczak, *Kaja. Biografia Kai Danczowskiej,*** Universitas, Kraków 2020.

Biografia jest barwną opowieścią o wybitnej skrzypaczce. Przedstawia drogę artystki do sławy, jej spektakularne sukcesy i ciężką, morderczą pracę, uchyla też rąbka tajemnicy prywatności. A fragmenty jej korespondencji, ukazujące życie muzyczne drugiej połowy XX wieku, są rarytasem dla muzyków.

62. **Piotr Marecki, *Polska przydrożna***, Czarne, Wołowiec 2020.

Wciągająca podróż autora, który pojechał w Polskę w ramach wieczoru kawalerskiego, zniknął, wrócił po dwóch tygodniach i napisał książkę o Polsce. Omijając duże miasta, zabytki, kościoły, muzea, gubiąc się na leśnych żwirówkach i polnych szutrówkach, opisał spotkania z mieszkańcami, sfotografował przydrożne atrakcje: szyldy, małą gastronomię, ogródkowe instalacje z opon.

63. **Mata**, płyta ***100 dni do matury*** (ze słynnym kawałkiem *Patointeligencja*), SBM Label, 2020; premiera 18.01.2020.

Debiutancki album studyjny rapera Maty. Pamiątka z czasów szkolnych, jaką artysta sprezentował sobie i słuchaczom. Krążek jest zapisem historii i emocji, które przewijały się podczas beztroskich czasów edukacji. Portret młodego pokolenia.

64. **Zbigniew Mentzel, *Kołakowski. Czytanie świata. Biografia***, Znak, Kraków 2020. **NOMINACJA**

65. **Radosław Młynarczyk, *Hłasko. Proletariacki książę***, Czarne, Wołowiec 2020.

Autor dekonstruuje legendę, demaskuje kreacje, obala mity. Tropi wątki autobiograficzne w utworach i odkrywa zmyślenia, które Hłasko wplótł w swój życiorys. Pokazuje, że zarówno prawda, jak i zmyślenia są tu równie pociągające.

66. **Jan Emil Młynarski,** audycja ***Wesoła fala w przedwojennych klimatach***, Radio Nowy Świat, Warszawa 2020.

Muzyczna podróż w czasie, autor audycji wprowadza słuchaczy w klimat międzywojennej Polski.

67. **Stanisław S. Nicieja, *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych. Tom XV, Wilno***, Wydawnictwo MS, Opole 2020. **NOMINACJA**

68. **Chris Niedenthal, *Zawód: fotograf. Ciąg dalszy nastąpił***, Marginesy, Warszawa 2020. **NOMINACJA**

69. **Dorota Nieznalska** (kurator), wystawa ***Sprawa Stanisława Pyjasa*****,** Bunkier Sztuki, Kraków 2020.

Założeniem wystawy jest przywrócenie pamięci postaci Pyjasa. W perspektywie dzisiejszej dewaluacji wartości nadrzędnych takich jak prawda, odwaga, uczciwość, indywidualizm, nonkonformizm czy szacunek do drugiego człowieka – przeciwstawionych hipokryzji, cynizmowi, serwilizmowi i oportunizmowi.

70. **Marlena Nikody** (kurator), wystawa ***Roman Ingarden. Filozof i fotograf*****,** MOCAK, Kraków 2020.

Monograficzna wystawa z okazji 50. rocznicy śmierci Ingardena, obejmująca blisko 150 jego fotografii powstałych w latach 1942–1970. Ekspozycja obejmuje autoportrety i portrety, przyrodę, architekturę i martwe natury, ujawnia też nieznaną – i pełną wdzięku – twarz fenomenologa.

71. **Michał Nogaś, *Z niejednej półki***, Agora, Warszawa 2020.

Zbiór najciekawszych wywiadów z najważniejszymi autorami z całego świata, w których dziennikarz pyta o inspiracje i źródła. Są tu nigdy niepublikowane wywiady z Dorotą Masłowską czy Jerzym Pilchem oraz rozmowy z czworgiem laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie literatury – Olgą Tokarczuk, Swietłaną Aleksijewicz, Orhanem Pamukiem i Mario Vargasem Llosą.

72. **Andrzej Nowakowski,** album ***Czas. Rynek w Krakowie*****,** Universitas, Kraków 2020.

Album, który jest prywatną opowieścią Andrzeja Nowakowskiego o średniowiecznej przestrzeni, która została dana czasowi. Nie brakuje w nim również melancholijnych kadrów zupełnie pustej, pozbawionej ludzi płyty Rynku, z czasu pandemii.

73. **Michał Pakuła** (reżyseria), spektakl teatralny ***Lem vs. P.K. Dick***, Teatr Łaźnia Nowa, Kraków, premiera: 23.10.2020.

Spektakl oparty na biografii i twórczości dwóch gigantów *science fiction*: Stanisława Lema i wizjonera Philipa K. Dicka. Dzieła obu ekranizowano i adaptowano dla teatru. Obaj w dalszym ciągu inspirują twórców, pisarzy, reżyserów, prowokują do zadawania trudnych egzystencjalnych pytań.

74. **Małgorzata Paluch-Cybulska, Michał Kobiałka** (kuratorzy) – wystawa ***Tadeusz Kantor. Widma***, Cricoteka, Kraków. **NOMINACJA**

75. **Bartosz Panek,** ***U nas każdy jest prorokiem. O Tatarach w Polsce*****,** Czarne, Wołowiec 2020

Poprzez fascynujące życiorysy swoich bohaterów autor przypomina, że kultura tatarska była i jest nieodłączną częścią naszego wspólnego dziedzictwa i choć dzisiaj społeczność tatarska jest nieliczna i podzielona, pamięć o niej musi przetrwać.

76. **Piotr Pawłowski,** ***Dzienniki basowe*****,** Wydawnictwo Zima, 2020.

Historia kilku ostatnich dekad opowiedziana przez basistę *Made in Poland*, kultowej formacji Nowej Fali, erudyty o imponującej wiedzy, wreszcie – długoletniego specjalistę z dziedziny HR, współpracującego z największymi graczami na rynku, a jednocześnie bacznego obserwatora i błyskotliwego komentatora rzeczywistości.

77. **Grzegorz Piątek,** ***Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944–1949***, W.A.B., Warszawa 2020.

Pisarz podejmuje tematykę odbudowy Warszawy po tym, jak po powstaniu niegdysiejszy Paryż Północy obrócił się w stertę gruzów. Daje okazję poznać dzieje miasta, które musiało szybko otrząsnąć się z tragedii i powrócić do żywych. Ludzie stanęli przed dylematem, jak nowa Warszawa ma wyglądać i komu ma właściwie służyć?

78. **Michał Pilikowski,** ***Architekt Akademii. Adolf Szyszko-Bohusz w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych***, ASP, Kraków 2020.

Biografia Adolfa Szyszko-Bohusza, wybitnego architekta, jednej z najważniejszych postaci polskiego życia kulturalnego pierwszej połowy XX w., ze szczególnym uwzględnieniem jego działalności na krakowskiej ASP. Obrazuje także artystyczne środowisko Krakowa. Uzupełnia wiele wątków dotyczących Szyszko-Bohusza z czasów młodzieńczych i ostatniego dramatycznego okresu jego życia.

79. **Jerzy Porębski, Dariusz Kortko,** ***Berbeka. Życie w cieniu Broad Peaku***, Agora, Warszawa 2020.

Historia wybitnego himalaisty Macieja Berbeki zawiera w sobie wszystkie emocje, jakie są udziałem niemal każdego wielkiego himalaisty: radość zdobywania, gorycz porażki, przyjaźń i zdrada, miłość i zadra. Jest jeszcze wielka tajemnica, która czyni tę opowieść fascynującą.

80. **Maria Anna Potocka, Agnieszka Suchar** (kuratorki), wystawa ***Marian Eile. Artysta i redaktor*****,** MOCAK, Kraków 2020.

Prezentacja twórczości redaktora naczelnego legendarnego tygodnika „Przekrój", którego osobowość miała znaczący wpływ na życie kulturalne Krakowa. Wystawa prezentuje również prywatną pasję Eilego – malarstwo o charakterze ekspresyjno-abstrakcyjnym. Ekspozycję uzupełnia wystawa twórców związanych z „Przekrojem", m.in. fotografie Wojciecha Plewińskiego oraz przegląd rysunków Adama Macedońskiego.

81. **Aleksandra Potoczek** (reżyseria), film ***xAbo: ksiądz Boniecki***, Tygodnik Powszechny, Kraków 2020.

Film dokumentalny o ks. Adamie Bonieckim. Intymny portret człowieka w drodze, przedstawia duchownego, który mimo osiągnięcia już sędziwego wieku nadal pozostaje rozdarty między wiarą a niepokojem, jaki budzi w nim kształt współczesnego Kościoła, zwłaszcza jego pozycja w Polsce.

82. **Paweł Potoroczyn, Anne Applebaum,** ***Matka Polka*****,** Osnova, Warszawa 2020. **NOMINACJA**

83. **Irena Powell,** ***Córka, która sprzedała matkę***, Austeria, Kraków 2020.

W intymnej opowieści autorka ukazuje biografię własną i swojej matki na tle tragedii drugiej wojny światowej, z niezwykłą wrażliwością śledząc cień traumy, jaka zaciążyła na ich życiu w powojennych dziesięcioleciach. Powściągliwość i łagodne poczucie humoru stanowią kontrapunkt dramatu – narracji o cudownym ocaleniu.

84. **Elizabeth Revol,** ***Przeżyć. Moja tragedia na Nanga Parbat***, Agora, Warszawa 2020.

Opowieść himalaistki, która w styczniu 2018 roku podjęła wraz z Tomaszem Mackiewiczem wyzwanie zdobycia szczytu Nanga Parbat, zakończone tragiczną śmiercią Polaka mimo brawurowej akcji ratunkowej kolegów z Polski. Co wtedy czuła?

85. **Zbigniew Rokita,** ***Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku***, Czarne, Wołowiec 2020.

Autor pomaga nam zrozumieć dramat krainy leżącej na pograniczu kultur i historii – dlaczego Śląsk ciągle jest „kajś", a nie w centrum polskiej świadomości.

86. **Ula Ryciak,** ***Poławiaczki pereł***, Znak, Kraków 2020.

Opowieść o Polkach, którymi kierował głód przygody, potrzeba udowodnienia światu zdominowanemu przez mężczyzn, że mogą dokonać niemożliwego. Czytamy m.in. o Michalinie Isaakowej, słynnej poławiaczce motyli, czy Jadwidze Toeplitz-Mrozowskiej – popularnej przed wojną śpiewaczce, która podróżuje na norweskie Lofoty i jako pierwsza Polka samotnie dociera do Tybetu.

87. **Stanisław Składanowski,** ***Solidarność. Sierpień 1980***, BoSz, Lesko 2020.

Wyjątkowy album wydany z okazji 40. rocznicy Sierpnia '80 poświęcony strajkom na Wybrzeżu, które zapisały się w historii, dając początek wolnej Polsce. Ten przełomowy czas wspominają uczestnicy tych wydarzeń, a ich teksty uzupełnione zostały fotografiami Stanisława Składanowskiego, które oddają atmosferę tamtego okresu.

88. **Aleksander Skotnicki,** ***Róża Aleksandrowicz – muza malarzy krakowskich I połowy XX wieku***, Wydawnictwo AA, Kraków 2020.

Książka wybitnego hematologa i transplantologa, działacza społecznego, nie jest typową biografią, ale zawiera szkice o pięknej Róży Aleksandrowicz, listy, dokumenty oraz biogramy rodziny i artystów malarzy, którzy chętnie ją portretowali. Byli wśród nich m.in. Jacek Malczewski, Leopold Gotlieb, Vlastimil Hofman czy Teodor Axentowicz – a spotykali ją w sklepie z materiałami papierniczymi w kamienicy Pod Globusem.

89. **Anna Smolar** (reżyseria), spektakl teatralny ***Koniec z Eddym***, Teatr Studio, Warszawa 2020, premiera: 23.10.2020

Spektakl zainspirowany głośną, autobiograficzną powieścią *Koniec z Eddym* Édouarda Louisa, wydaną przed sześcioma laty we Francji. Łączy gatunki i konwencje, przygląda się doświadczeniu systemowego ucisku i stawia pytanie o lojalność wobec korzeni i klasy społecznej.

90. **Justyna Sobolewska, *Miron, Ilia, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu*,** Iskry, Warszawa 2020. **NOMINACJA**

91. **Anna Sulińska, *Olimpijki***, Czarne, Wołowiec 2020. **NOMINACJA**

92.**Wojciech Szot, *Panna Doktór Sadowska***, Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa 2020.

Opowieść o lekarce, naukowczyni, działaczce społecznej, feministce, patriotce, automobilistce, przedsiębiorczyni, lesbijce – bohaterce jednego z najgłośniejszych skandali międzywojennej Warszawy. Autor odtwarza mechanizmy zaszczuwania lekarki przez prasę i przywraca jej miejsce w historii.

93. **Daniel Malchar, Rafał Szumski** (reżyseria), spektakl teatralny ***Ludwiczek***, Teatr im. Słowackiego w Krakowie, premiera 18.09.2020.

Spektakl inspirowany życiem i twórczością Ludwiga van Beethovena. Autorzy zachęcają, by sprawdzić, czy ten głuchy geniusz sprzed wieków jest w stanie poradzić sobie w świecie nastawionym na komercję i schlebianie gustom? Czy w akustycznej przestrzeni, w której miksujemy wysokie z niskim, *sacrum* z *profanum*, Mozarta z Jacksonem, odnajdziemy iskrę bogów?

94. **Monika Śliwińska, *Panny z „Wesela". Siostry Mikołajczykówny i ich świat***, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020. **NOMINACJA**

95.**Magdalena Święch** (kurator), wystawa ***Karol kardynał Wojtyła. Fotografie Adama Bujaka***, Muzeum Narodowe w Krakowie, 2020.

Wystawa fotografii Adama Bujaka koncentruje się na wątkach krakowskich w biografii Papieża, ukazując go jako metropolitę krakowskiego, kardynała i wreszcie jako Jana Pawła II goszczącego w Krakowie podczas pielgrzymek do Polski.

96. **Elżbieta Tabakowska, *Sara – Irena – Elżbieta***, Austeria, Kraków 2020.

Trzy osoby w trzech rolach: bohaterka, narratorka, tłumaczka; tylko tyle i aż tyle. Opowieść wzruszająca.

97. **Jan Tomkowski, *Klan Wyspiańskich***, Arkady, Warszawa 2020.

Portret słynnego klanu, gdzie artystyczne talenty nie były rzadkością, ale geniusz zdarzył się tylko jeden – Stanisław Wyspiański. W jego cieniu pozostają do dziś pozostali bohaterowie tej książki.

98. **Piotr Trybalski, Leszek Cichy, *Gdyby to nie był Everest***, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Trzymająca w napięciu opowieść o tym, jak człowiek sukcesywnie potrafi przesuwać granice swoich możliwości. Opowiada o determinacji i dramatach, w obliczu których stanęli niegdyś wspinacze Leszek Cichy wraz z Krzysztofem Wielickim, jako pierwsi dokonując zimowego wejścia na Dach Świata.

99. **Zofia Turowska, *Osiecka. Nikomu nie żal pięknych kobiet***, Marginesy, Warszawa 2020.

To nie jest typowa biografia. Zawiera liczne wspomnienia przyjaciół Osieckiej, fragmenty jej pamiętników, opowiadań i wierszy, a także archiwalne zdjęcia wykonane przez samą Osiecką. Przypomina fakty, które zatarł czas.

100. **Zofia Wojtkowska, *Wiek ambasadora. Opowieść o życiu Edwarda Raczyńskiego***, Iskry, Warszawa 2020.

Opowieść o prezydencie na uchodźstwie i poecie. Jego długie, ponad stuletnie życie mogłoby posłużyć za scenariusz do filmu. Podczas II wojny światowej był ambasadorem w Londynie, przekazał światu świadectwo Karskiego i jako pierwszy wysłuchał sprawozdania Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Przyjaciel Churchilla, bywalec pałacu królewskiego. Po wojnie jeden z prekursorów idei zjednoczonej Europy.

101. **Zofia Wojtkowska, *Saga rodu Czartoryskich***, Iskry, Warszawa 2020.

Autorska, osobista, barwna opowieść o znaczących dla historii rodziny, a równocześnie dla historii Polski osobach, o ich działalności publicznej (i jej motywach), zasługach i potknięciach, a także o ich życiu prywatnym, rodzinnym, towarzyskim.

102. **Marcel Woźniak, *Tyrmand. Pisarz o białych oczach***, Marginesy, Warszawa 2020.

Biografia Leopolda Tyrmanda, polskiego pisarza i publicysty, popularyzatora jazzu w Polsce, to opowieść o optymizmie i wierze w szczęście, gdy nie ma się żadnych szans. O Złym, który okazuje się Dobrym, oraz o całej szajce Złego.

103. **Marta Wyka, *Tamten świat. Szkice literackie dawne i nowe***, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Na kartach książki przewijają się zarówno młodzi pisarze, nowe lektury, jak i klasycy oraz starzy przyjaciele, m.in. Wisława Szymborska, Ewa Lipska i Jan Błoński. Szkice nie mają charakteru naukowego, są lekkie i przystępne, pełne wspomnień i charakterystycznego refleksyjnego tonu.

(opr. Edyta Wiśniowska)

# Profesor Roman Banaszewski (1932–2021)

**Tekst:** Anna Stafiej **Zdjęcie:** Jan Zych

**Kochał to miasto i był mu wierny.**

Latem 2004 roku trwały intensywne rozmowy na temat świeżo powołanego przez prezydenta Jacka Majchrowskiego pisma „Kraków". Najczęściej spotykali się, dyskutowali późniejsi członkowie kolegium redakcyjnego: Jan Pieszczachowicz, wyznaczony na redaktora naczelnego, Maria Malatyńska, Edward Chudziński i Roman Banaszewski, który miał ściśle określone zadanie – zaprojektować szatę graficzną pisma. Naczelny postawił jeden warunek: na pierwszy rzut oka pismo ma się kojarzyć z Krakowem!

Roman Banaszewski, mimo że urodził się daleko od Krakowa, bo w Janikowie (1932), Liceum Sztuk Plastycznych ukończył w Bydgoszczy i dopiero w 1954 roku przyjechał do Krakowa, by studiować na Akademii Sztuk Pięknych, tak wrósł w to miasto, że nic, co krakowskie, nie było mu obce. Jego ulubionym, relaksującym zajęciem było chodzenie po Krakowie, obserwowanie, poznawanie i to nie tylko klasycznych zabytków miasta, ale także najróżniejszych mniej i bardziej atrakcyjnych zakamarków. Pokochał to miasto i został mu wierny. A z zadania wywiązał się znakomicie! Wystarczył rzut oka na zaprojektowane przez Niego okładki pisma, by poczuć krakowski klimat.

W ASP w latach 1954–1959 studiował malarstwo i grafikę. Dyplom uzyskał na Wydziale Grafiki w Pracowni Litografii u prof. Srzednickiego oraz w Pracowni Plakatu u prof. Makarewicza. W roku 1961 rozpoczął pracę pedagogiczną jako asystent w Politechnice Krakowskiej, ale szybko wrócił do macierzystej uczelni. Był dwukrotnie kierownikiem Katedry Projektowania Graficznego, kierownikiem Pracowni Projektowania Książki i Typografii na Wydziale Grafiki, w okresie 1987–1990 pełnił funkcję prorektora do spraw studenckich. W 1987 roku otrzymał tytuł profesora ASP. Po przejściu na emeryturę w ASP w 2002 roku, podjął współpracę z Europejską Akademią Sztuki w Warszawie. Zamiłowanie do pracy ze studentami zaprowadziło Go do Polsko-Japońskiej Wyższej Szkoły Technik Komputerowych w Warszawie, w której był cenionym wykładowcą.

Pracę naukową i pedagogiczną łączył z działalnością artystyczną, współpracował z wydawnictwami, dla których projektował książki i inne druki, nieprzerwanie zajmował się grafiką, rysunkiem, a przede wszystkim malował! Jego obrazy można zobaczyć w zbiorach muzealnych, galeriach i kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą: oprócz Warszawy, Krakowa, Bydgoszczy, Gdańska spotkamy je w Oslo, Genewie, Tokio, Nowym Jorku, Waszyngtonie, Bonn... Od 1978 roku systematycznie uczestniczył w malarskich plenerach w południowej Francji, a rezultatem tych spotkań były liczne wystawy na terenie Francji, Włoch i Niemiec. Miewał też wystawy indywidualne, dwukrotnie w Pałacu Sztuki w Krakowie i w roku 2010 w galerii Teatru Śląskiego im. Wyspiańskiego w Katowicach.

Artystyczną aktywność Profesora dopełnia działalność społeczna. Był współzałożycielem i aktywnym członkiem elitarnego Rotary Club Kraków Wawel. Swoje obrazy, bardzo chętnie kupowane, przekazywał na aukcje organizowane przez rotarian, a uzyskane ze sprzedaży pieniądze przeznaczał na cele charytatywne. To piękna karta w Jego życiorysie.

I jeszcze jedna pozazawodowa aktywność Romana Banaszewskiego – wioślarstwo! Uprawiał je całe życie, zdobywał medale – wydaje się, że to tak niedawno było, gdy kompletował załogę, by wziąć udział w zawodach seniorów!

Wśród odznaczeń Profesora należy odnotować: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", Odznakę Honoris Gratia, Złoty Laur za Mistrzostwo w Sztuce za rok 2001 – przyznawany przez Fundację Kultury Polskiej.

**Anna Stafiej** – teatrolog naturalizowany m.in. w teatrach Starym, Groteska, im. J. Słowackiego, STU.

# Nuty z pieczątką Generalnego Gubernatorstwa

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Narodowe Archiwum Cyfrowe

***Krakauer Begruessung* to słuchowisko o mało znanej historii poprzedniczki Filharmonii Krakowskiej.**

Chórzyści, którzy zaczynali śpiewać w Filharmonii Krakowskiej, długo nie mogli się nadziwić, dlaczego na otrzymanych przed próbą egzemplarzach zapisu nutowego utworu *Deutsches Requiem* Brahmsa widnieją pieczątki Generalnego Gubernatorstwa. Skąd w tak szacownej instytucji wzięły się ślady po rządach Hansa Franka i jego ekipy, dowiedzą się wszyscy, którzy wejdą na filharmoniczny kanał YouTube i posłuchają audycji *Krakauer Begruessung*. Słuchowisko, w reżyserii

Jerzego Łysińskiego, z udziałem Jerzego Treli w roli Narratora i artystów filharmonii, zilustrowane muzyką Michała Jurkiewicza, interesująco i sugestywnie o tym opowiada.

Oficjalnie uznaje się, że Filharmonia Krakowska pierwszy koncert dała 3 lutego 1945 roku. Rzadko wspomina się, że tak poważna orkiestra nie mogła powstać w ciągu kilku dni, które upłynęły od czasu wyzwolenia miasta od hitlerowskich okupantów. Takie przedsięwzięcie wymaga czasu na zgranie się muzyków, opanowanie różnorodnego materiału itd. Ale artyści występujący pod Wawelem mieli na to kilka lat, gdyż przez niemal całą okupację grali w zespole, który nosił nazwę Filharmonia Generalnego Gubernatorstwa. Ocena moralna ich zachowania nie budzi dziś zastrzeżeń, ponieważ polskie podziemie doskonale wiedziało, że w zespole ukrywają się Żydzi, a także ludzie, którzy w innym wypadku zostaliby wywiezieni do obozów koncentracyjnych albo na roboty do Niemiec.

Niemałe zasługi mieli w chronieniu swoich pracowników główni dyrygenci, którzy do Krakowa zostali ściągnięci przez gubernatora Hansa Franka, hitlerowskiego zbrodniarza, a równocześnie konesera muzyki. Marzył on o posiadaniu orkiestry na najwyższym poziomie, a to mogli mu zapewnić utalentowani jej szefowie.

To właśnie ich historie stanowią dużą część słuchowiska. Pierwszym był Hans Rohr, który stworzył zespół. Znalazła się w nim na przykład pochodząca z Warszawy Helena Olszewska. Świetna harfistka dostała propozycję nie do odrzucenia i musiała przenieść się do Krakowa, dla którego alternatywą miał być Auschwitz – jak ją postraszono. Na korzyść Rohra przemawia jednak to, że pomagał zwalniać z więzień członków rodzin muzyków, a także wspomagał ich finansowo.

Przyzwoicie potrafił zachować się też Rudolf Hindemith, który uwolnił z rąk gestapo kilku filharmoników, argumentując, że muszą zagrać koncert dla Franka. Zaangażowany w ratowanie artystów był też ostatni okupacyjny szef orkiestry Hans Swarowsky, podejrzewany zresztą przez swoich rodaków o związki z Żydami. Mówiono, że to właśnie on przyczynił się do uratowania instrumentów i nut, które miały być wywiezione przez uciekających z Krakowa hitlerowców. Lecz to przede wszystkim odwaga polskich konspiratorów sprawiła, że pozostały one pod Wawelem. Dzięki temu mógł tu odbyć się pierwszy inaugurujący działalność Filharmonii Krakowskiej koncert.

*Krakauer Begruessung*, reż. Jerzy Łysiński, muzyka Michał Jurkiewicz.

**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

## Wyspiański w spichlerzu, dizajnerzy w kamienicy Szołayskich

Gdybym miała mniej pogodny charakter, zwiesiłabym nos na kwintę, martwiąc się, że na razie w Krakowie nie powstanie planowane od dłuższego czasu Muzeum Stanisława Wyspiańskiego. Ale ponieważ jest inaczej, cieszę się, że już od listopada dzieła artysty będziemy mogli oglądać w Europeum – pięknie odremontowanym spichlerzu przy placu Sikorskiego. Zresztą ten rok w Muzeum Narodowym w Krakowie, jak zapowiada jego dyrektor Andrzej Szczerski, upłynie pod znakiem dużych zmian. Już w kwietniu w Arsenale zostanie otwarta na nowo wystawa Galerii Sztuki Starożytnej, w ramach której będziemy mogli oglądać zabytki z kolekcji Czartoryskich i Potockich. Natomiast w Gmachu Głównym czekać będzie na publiczność Galeria Sztuki XX i XXI wieku, która zostanie uzupełniona o niepokazywane tam jeszcze dzieła.

Zresztą sztuka współczesna zajmie znaczące miejsce w muzealnych oddziałach. W kamienicy Szołayskich zostanie otwarta Galeria Dizajnu Polskiego XX i XXI wieku, którą na piętrze budynku uzupełniać będzie Galeria Architektury. Obydwie ekspozycje pozostaną tam do czasu inauguracji Muzeum Dizajnu i Architektury, które ma powstać w dawnym hotelu Cracovia. Tym dziedzinom sztuki poświęcone będą też cztery cykliczne wystawy dotyczące historii nowoczesności. W lipcu w Gmachu Głównym zostanie otwarta pierwsza z nich, nosząca tytuł *Polskie style narodowe*.

Możemy liczyć też w tym roku na kilka innych ekspozycji czasowych. Od marca w kamienicy Szołayskich pod hasłem *Odcienie realizmu* pokazywana będzie twórczość Aleksandra Kotsisa. Podczas wakacji w Gmachu Głównym muzealnicy otworzą wystawę drzeworytów japońskich w wyjątkowej aranżacji architektonicznej, zatytułowaną *Hokusai. Wędrując*. W tym samym budynku od września będzie prezentowana twórczość Ursuli von Rydingsvärd, znanej z monumentalnych rzeźb w przestrzeni publicznej, eksponowanych głównie w Stanach Zjednoczonych. Także na początku jesieni będziemy mogli odwiedzić Sukiennice, gdzie planowany jest pokaz rycin Joachima Lelewela, który był nie tylko historykiem, ale i artystą.

Na koniec wrócę jeszcze raz do Wyspiańskiego. Nieco uspokajają mnie zapewnienia dyrektora Szczerskiego, że o muzeum artysty nie zapomina i że zostanie ono wybudowane. Jednak nastąpi to dopiero po remoncie hotelu Cracovia i Gmachu Głównego.

## Opera Rara z ekranu

Ubiegłoroczna Opera Rara była ostatnim dużym wydarzeniem, w którym mogliśmy uczestniczyć, nim pogrążyliśmy się w pandemicznej rzeczywistości i zaczęliśmy wychodzić z domu w maseczkach, omijając ludzi szerokim łukiem. Dlatego rozczulił mnie cytat z poetki Safony: „Stań jak przyjaciel i spójrz mi w oczy – pogodnie, życzliwie", który stał się hasłem niebawem rozpoczynającej się Opery Rary. Wezmę w niej udział bez zachowywania dystansu społecznego i bez zasłaniania twarzy, gdyż w dzisiejszych warunkach możliwa jest tylko jej wersja *on-line* na platformie Play Kraków.

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu wrócimy do oglądanych niegdyś przedstawień, takich jak *Dydona i Eneasz* Henry'ego Purcella. Spektakl będzie pokazywany 1, 2 oraz 3 lutego. Tytuł ten pojawił się na festiwalu w 2017 roku, a teraz zostanie przedstawiony w wersji scenicznej, przygotowanej przez Natalię Iwaniec. Do repertuaru wróci także *Cassandra* Benedetta Marcella, w tym roku jako prawdziwy teatr jednego aktora i wielkie wyzwanie dla kontratenora Williama Towersa. Reżyser Tomasz Cyz opowieść o wojnie i śmierci połączył tu z czułym, miłosnym wyznaniem w *Just* Davida Langa oraz z solową partią mezzosopranistki Natalii Kawałek w *Vanitas* Salvatore Sciarrina. Spektakl będzie można obejrzeć 7, 9, 10 oraz 12 lutego. Również 7 lutego zabrzmi *Suita liryczna* Albana Berga i *Langsamer Satz* Antona Weberna. Zagra je Airis String Quartet.

Ale to jeszcze nie wszystko. 18, 19, 20 i 21 lutego czeka nas *Il ballo delle Ingrate*, przewrotny moralitet Claudia Monteverdiego w reżyserii Magdy Szpecht, i festiwalowa wersja *Così fan tutte* przygotowana przez Cezarego Tomaszewskiego. Nie zabraknie spektaklu premierowego. Będzie nim *Złoty smok* Pétera Eötvösa, opowiadający o życiu dalekowschodnich emigrantów w Europie. Ta pełna szalonych, nieprawdopodobnych wypadków tragikomedia ma podważyć nasze myślenie o tym, jak powinna wyglądać sztuka zaangażowana społecznie i poruszająca ważne problemy świata. Dzieło wyreżyseruje Karolina Sofulak, a zagra krakowska Spółdzielnia Muzyczna *contemporary ensemble* pod wodzą Edo Frenkela. Daty emisji *Così fan tutte* oraz *Złotego smoka* będzie można znaleźć na Play Kraków.

**Opracowała** Magda Huzarska-Szumiec

## W następnym numerze między innymi:

WIELKA TRÓJKA FINALISTÓW KONKURSU PORTRETY 2020!

Witold Bereś: Rok z pandemią

Krzysztof Zajas, nowy naczelny „Czasu Literatury”: Kultura daje oddech

1 stycznia 2021 roku
odszedł
**prof. ROMAN BANASZEWSKI**
nie tylko niezwykły artysta, nie tylko wrażliwy współtwórca miesięcznika „Kraków”,
ale po prostu dobry człowiek, który potrafił słuchać i odpowiadać.
Igorze – jesteśmy z Tobą.

Zespół miesięcznika „Kraków”

Rys. Piotr Błachut

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

**Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”**
**Wybierz Kraków!**
**Nic, co krakowskie, nie jest nam obce**

**Wydawca:** Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
**Kontakt:** tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,
e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl
**www.miesiecznik.krakow.pl**

**Pismo tworzą:** Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński
**Fotografowie:** Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
**Layout:** Igor Banaszewski
**Strona internetowa:** Piotr Rachwaniec
**Wizerunek pisma i współpraca reklamowa:** Agencja Reklamy Wenecja, ul. Wenecja 2B/3, 31-117 Kraków, agencja@wenecja.com.pl
**Adiustacja i korekta:** Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń
**Druk:** Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.
Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

## Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

**Prenumerata redakcyjna** gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
**Kontakt:** Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120
**Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę:** Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
**Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528**
Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
**Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!**
(11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.
**Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.
**Numery archiwalne:** cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH**, **KOLPORTER**, **GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

# W sieci kultury

**Opracował** Piotr Rachwaniec

**Culture.pl**
Branża gier komputerowych to gigantyczny rynek finansowy. Obecnie wysokobudżetowe produkcje z rozbudowanymi fabułami, hollywoodzkimi aktorami i muzyką symfoniczną stały się mocną konkurencją dla kina, telewizji czy książki – nie tylko w gronie młodszych odbiorców. A kto pamięta, jak nasz premier wręczał prezydentowi zza oceanu egzemplarz gry *Wiedźmin II* rodzimej produkcji? Teraz gry wchodzą do szkół, a więcej na ten temat przeczytacie na Culture.pl

https://culture.pl/pl/artykul/gry-wideo-w-szkole-przewodniki-po-labiryncie-kultury

W pracowniach informatycznych lat 90. ubiegłego stulecia gry miały urok zakazanego owocu – najczęściej były zainstalowane na komputerach (oczywiście w pirackich wersjach), ale w czasie lekcji nie było wolno ich tykać.

(...) Włączenie do szkolnej listy lektur pierwszej gry wideo *This War of Mine* [polskiej produkcji – przyp. red.], to w naszej edukacji wydarzenie na miarę przewrotu kopernikańskiego. Okazało się, że gry są wymarzonym środowiskiem kształcenia, a nie tylko słodką polewą otaczającą gorzką pigułkę nauki. Przede wszystkim pozwalają eksperymentować, uczyć się na własnych błędach, zdobywać umiejętności we własnym tempie. Porażka nigdy nie jest ostateczna – w dobrze zaprojektowanej grze motywuje do tego, żeby próbować dalej. A przecież właśnie takiej nauki, otwartej na eksperymentowanie i porażkę, bardzo w polskiej szkole od dawna brakuje.

**Re: view.pl**
To, jak ogromny wpływ na cały świat mają Chiny, nie trzeba nikogo przekonywać. I nie mam tu na myśli wpływu mikroskopijnych kulek w kolczastych koronach. Chodzi raczej o całkowite uzależnienie gospodarcze od Chin państw zachodnich. Wiele ciekawych wątków na ten temat porusza artykuł w serwisie Re: view.pl

https://thereview.pl/kto-wygra-wyscig-niepokoju/

Podczas gdy stara Europa zakaszle się na śmierć, a USA będą słaniać się na nogach, Chińczycy wznowią działanie taśmy produkcyjnej na globalną skalę. Już teraz to ekonomia z innej planety. A wkrótce już inna, bezkonkurencyjna, galaktyka.

(...) Startujące nieomal z poziomu pługu i nadrabiające wieloletnie zapóźnienia Chiny stopniowo obrastały w inne skojarzenia. Mówiono o nich jako dostarczycielach „chińszczyzny", tanich surowców w każdej ilości, rosnącej wciąż masowej produkcji, wszechobecnej imitacji. Ale też o zatruwaniu środowiska, fałszowaniu patentów, dostarczaniu na ogromną skalę towarów niskiej jakości za konkurencyjną cenę.

(...) I tak oto doczekaliśmy chwili, gdy uczepieni chińskiej pępowiny nie jesteśmy w stanie egzystować na samowystarczalnych warunkach. Doskonale widać to było w reakcjach polityków i mediów w Europie czy Stanach Zjednoczonych na pokazywane w telewizji czy internecie styczniowe obrazki z Wuhan i fabryk w prowincji Hubei.

Rys. Marek Braun

*Ach, czy już pani wie,*
*Moja pani, moja pani,*
*Ach, czy już pani wie,*
*Co się stało na A–B?*
*Boy*

**Opracowała** Magda Huzarska-Szumiec

## Bezdotykowe kropielnice

– No, nie wiem, nie wiem... – pokręcił nosem pan Roman, rencista z Czerwonego Prądnika, zapytany przez nas, co sądzi o bezdotykowych kropielnicach w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach. – Wiecie, ja to lubię jednak zamoczyć dwa palce do połowy i dopiero wtedy się żegnam. A tu tak, jakby prysznic na dłoń człowiekowi kapał – dodał. Wytłumaczyliśmy więc panu Romanowi, że montaż bezdotykowych kropielnic w łagiewnickiej bazylice wymusiły pandemiczne względy bezpieczeństwa i że wszystko to w trosce o zdrowie wiernych, przybywających na modlitwy. Zdawał się rozumieć te argumenty, tym bardziej że zauważył, iż w wielu kościołach wody święconej obecnie nie ma. A tu podstawia się dłoń, niczym pod automat odkażający, i spod kropielnicy spływa stróżka. Dwie kropielnice zostały zamontowane na dwóch filarach przy wejściu do bazyliki, a ich wygląd nie pozostawia złudzeń, że mamy do czynienia z przedmiotem sakralnym. – No to muszę to sprawdzić naocznie – rzucił na odchodne.

## Zajrzeli smokowi do gardła

Rozdzwoniły się telefony zaniepokojonych rodziców z pytaniem, czy nie wiemy przypadkiem, dlaczego w okolicach świąt Bożego Narodzenia Smok Wawelski przestał zionąć ogniem. Jedna mama miała wręcz łzy w oczach, kiedy zwierzała się, jak to wzięła na spacer pięcioletnią Kasię, by pokazać jej prawdziwy ogień buchający z paszczy smoka. A tu nic! Dziecko ogarnęła rozpacz i dopiero tłumaczenie mamy, że może smoki też chorują, oraz batonik orzechowy nieco poprawiły Kasieńce nastrój. Nie mogliśmy więc nie sprawdzić, co to się dzieje z naszym gadem. Rzeczywiście, w jego paszczy nie znaleźliśmy ani iskierki. Okazało się jednak, że ta chwilowa niemoc Smoka Wawelskiego spowodowana jest remontem... jego legowiska, czyli Smoczej Jamy, skąd dochodzi prąd zasilający instalację gazową. – Wiemy już, że są to jakieś kwestie elektryczne, ponieważ sprawdziliśmy gardło smoka i wszystkie palniki, dzięki którym smok zieje ogniem, działają prawidłowo – uspokajał Michał Pyclik z Zarządu Dróg Miasta Krakowa. Dobrze, że to zrobił, bo obawialiśmy się, że może smokowi zaszkodził smog.

## Nawarzą piwa jak w średniowieczu

Lubimy na A–B wtrącić od czasu do czasu wątek alkoholowy. Oczywiście z umiarem i w duchu trzeźwości. A jeśli rzecz dotyczy Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II, wydaje nam się, że wręcz grzechem byłoby nie wspomnieć o pewnym zacnym trunku związanym z tą uczelnią. Otóż pan Sławomir Dryja – naukowiec UP i zarazem dyplomowany piwowar – odkrył recepturę piwa warzonego w Krakowie w wiekach średnich. Mamy oryginalne drożdże i znamy mniej więcej sposób postępowania technologicznego, czyli jak zacierano chmiel, wygotowywano go i w jakich proporcjach dodawano – mówił pan Sławomir w rozmowie z Radiem Kraków. Co ciekawe, aby użyć odpowiednich drożdży, naukowiec wykorzystał osad ze ścian w piwnicach Pałacu Lubomirskich. Piwo Krakowskie Białe, bo taką ma nosić nazwę ów złocisty rarytas, będzie w 90 procentach oddawać zawartość pucharów sprzed setek lat. Ma też kusić gęstą, białą pianą i jasnym, przejrzystym kolorem. I choć w Krakowskim Białym usta będzie można zamoczyć najwcześniej w kwietniu, nam już cieknie ślinka na ten smakowity powrót do przeszłości

## Zatrąbi nam kobieta?

Aby znaleźć się w miejscu pracy, trzeba pokonać 272 schody na wysokość 81 metrów. Zajmuje to mniej więcej trzy minuty. Hejnalista na wieży mariackiej, bo to o nim tu mowa, pracuje przez 24 godziny na dobę, po czym przez 48 godzin odpoczywa. Dmie w trąbkę, oczywiście, co godzinę. Tak przez całe zawodowe życie robił pan Jan Sergiela, który, odchodząc na emeryturę, zwolnił jedno ze stanowisk trębacza hejnału. W grudniu ogłoszono konkurs na ów wakat. Emocje rozbudził udział w konkursie przedstawicielek płci pięknej. No bo, jak to? Kobieta – strażak? Kobieta – trębacz? Kobieta – hejnalista? Przecież to zawsze facet był! Zwłaszcza że aby dostąpić zaszczytu grania hejnału, trzeba przejść żmudną rekrutację, na którą składa się aż siedem etapów, a umiejętność gry na trąbce jest tu tyleż ważna, ile kondycja fizyczna. Znawcy tradycji przypominają jednak, że co prawda sporadycznie, ale zdarzało się, że po trąbkę sięgała i hejnał obwieszczała kobieta. Na przykład sama Krystyna Prońko, podczas zlotu Krystyn na Rynku. My będziemy więc chętnie wyglądać w okienku na wieży mariackiej pani hejnalistki. Wszak mamy czas kobiet. Czyż nie?

Rys. Janusz Stefaniak, *Tajemnice rodowych sreber*

# Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

# Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosiorkiewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zając, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Loręcki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Artur Romanowski, Kraków
Małgorzata i Paweł Jagusiowie, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Zofia Maciaga, Lędziny
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki
Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków
Mariusz Landowski, Tczew
Jadwiga Drąg, Paszczyna
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała
Marta Anna Ronne, Uppsala

# Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

**Wpłaty:**
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków” – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

# Widzicie tego człowieka z torbami?

**Tekst:** Agnieszka Kosińska

**Dziś około 9.30 kierowca autobusu linii 139 w Krakowie poczekał na biegnącego człowieka. Od razu przyszedł mi na myśl jeden z najbardziej znanych wierszy Jehudy Amichaja *Turyści*. Może kierowca poczuł to samo, co Amichaj w Jerozolimie? I każdy z nich wyraził to po swojemu?**

Kiedyś siedziałem na schodach przed bramą twierdzy Dawida, obie
ciężkie torby postawiłem obok. Była tam grupa turystów
wokół przewodnika i służyłem im za punkt orientacyjny. „Widzicie
tego człowieka z torbami? Trochę na prawo od jego głowy jest
łuk z okresu rzymskiego. Odrobinę na prawo od jego głowy". Ale
przesunął się! Przesunął! Powiedziałem sobie: Wyzwolenie nadejdzie, jeśli im powiedzą:
Widzicie tamten łuk z okresu rzymskiego?
Nieważne, obok niego, trochę na lewo, poniżej, siedzi
człowiek, który kupił warzywa i owoce dla swego domu.

Choć od lat 60. ubiegłego wieku świat już się na nim poznał („najczęściej tłumaczony poeta izraelski od czasów króla Dawida", jak zauważa dowcipnie Robert Alter), nie nagrodził Noblem. Jego rówieśnik, polski poeta Herbert pielgrzymował do niego i poświęcił mu wiersz. Zanim słowa zaczęły być mu tak posłuszne (poczuć – łatwizna, spróbuj wyrazić), żył mocno i bogato. Urodził się w Niemczech, zdążył przed nazistami przenieść się do Izraela (do ówczesnej Palestyny), z którym dzielił dni chwały i poniżenia i którego dzień codzienny opisywał. Był żołnierzem, kochał się, miał dzieci, zwykłe małżeńskie i rodzinne troski, uczył w szkole, mieszkał w trudnym i pięknym mieście – Jerozolimie. Z tego życia wysnuł cały kosmos ludzki i nieludzki, a na dodatek tak ściśle go splótł ze świętymi księgami, że Początek wszystkiego, świata i człowieka, niepokojąco przybliża się. Pisał po hebrajsku. A kto pisze w języku proroków i liturgii, musi bardzo uważać, bo ten język pisze się sam. Poszerzył więc hebrajski o mowę codzienną, język ulicy, a wysoki styl biblijny zamienił na szczególną intymność i wrażliwość. Przytoczmy choć kilka tytułów wierszy Amichaja: *Bogowie zmieniają się, modlitwy zostają na zawsze*; *Jestem prorokiem tego, co było*; *Biblijne zwoje, my oboje i inne midrasze*; *Precyzja bólu i mglistość szczęścia. Wszędzie dotyk tęsknoty*; *Jerozolima pełna używanych Żydów*; *Król Saul i ja*; *Ból trwania w obcym miejscu*; *Mama wypiekała mi cały świat*; *Odmienność to miłość*; *I co dotąd w moim życiu? Otwarte zamknięte otwarte*. Jakże zwinna jest wyobraźnia tego człowieka! A jak bliski oryginałowi okazał się polski przekład, choć języki tak odległe. I jest to zdanie samego autora, który zdążył przed śmiercią posłuchać tłumaczeń Tomasza Korzeniowskiego i zadzwonić do niego z podziękowaniem, a pisząca te słowa była świadkiem rozmowy, którą z powodu choroby poety prowadziła jego żona Chana.

Cytowany fragment wiersza pochodzi z tomu *Koniec sezonu pomarańczy. Wybór wierszy*, Świat Literacki, Warszawa 2000, w przekładzie z hebrajskiego Tomasza Korzeniowskiego. Możemy czytać także, dzięki pracy Korzeniowskiego, ostatni tom poety *Otwarte, zamknięte, otwarte*, Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2017, a tłumacz, który postanowił z powodu Amichaja właśnie poświęcić swoje życie językowi hebrajskiemu, pracuje nad wierszami wszystkimi tego dzielnego człowieka. Oby znalazł się równie dzielny wydawca.

**Agnieszka Kosińska:** lubi lubić. Jej strona autorska: https://kosinska-miloszwkrakowie.com

# Wstąp do Klubu, a dostaniesz sKOTLAND YARD z autografem autorki!*

***Kocia trzynastka*, czyli...**
najnowsze wiersze
**Ewy Lipskiej**
z rewelacyjnymi rysunkami
**Sebastiana Kudasa**

## Zapraszamy!

Szczegóły w numerze oraz na
www.miesiecznik.krakow.pl/o-nas/klub-przyjaciol-krakowa/

* oferta ważna do wyczerpania zapasów

Klub Przyjaciół miesięcznika

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY KRAKÓW

zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK
www.miesiecznik.krakow.pl

Dominik Lisik, *Ikebana*, fot. Przemek Szuba